Forma
człowieka

Forma człowieka

Forma człowieka

Krzysztof Grześków

Redakcja:
Natalia Michalczyk

Audio transkrypcja
i współpraca przy redakcji:
Martin Ferensztajn

Projekt graficzny, skład i łamanie:
Laura Grudniewska

Druk i oprawa:
READ ME, Łódź

© Krzysztof Grześków, 2020

ISBN:
978-83-959204-1-7

Audiobook dostępny na:
www.formaczlowieka.pl

Kalin Czerwiński

Poświęcając trzy miesiące na afirmację istnienia Człowieka, wybudowałem osiem pomników Kalina Czerwińskiego. Jest to postać fikcyjna opisana życiorysami ludzi całkowicie od siebie różnych ze względu na czas i miejsce ich urodzenia.

Pierwszy pomnik postawiłem jeszcze w 2018 roku w parku Tołpy.

25 sierpnia 2018 roku, sobota

W pracowni przy ulicy Prusa 37 nie ma nikogo oprócz mnie. Sprawdziłem stabilność postumentu. Wszystko trzyma się jak należy. Forma postaci jest mi obojętna. Przez chwilę szukałem czegoś na OLX i Allegro, ale nie znalazłem nic poza Leninem i Janem Pawłem II. Napisałem, że forma jest mi obojętna, lecz nie na tyle. Zadzwoniłem do kilku znajomych rzeźbiarzy i okazało się, że jeden z nich na trzecim roku studiów wyrzeźbił głowę rozciągniętą w pionie o bardzo smukłych proporcjach. Bez zastanowienia pojechałem do niego, zapłaciłem mu trzysta złotych i po niecałej godzinie na wcześniej przygotowanej kolumnie stanął pomnik Kalina Czerwińskiego.

Siedzę teraz na ławce naprzeciwko niego i patrzę, a on wydaje się wibrować i rozpływać w powietrzu. Jego niedosko-

nałe kształty współgrają z zielenią w tle i dają delikatny efekt mirażu.

Kalin Czerwiński – 51°07'11.9"N 17°03'07"E

Ziemie polskie, 1901 rok. Rozpoczyna się strajk dzieci szkolnych we Wrześni, przeciwko czemu na łamach krakowskiego czasopisma „Czas" protestuje Henryk Sienkiewicz, będący zaraz po publikacji Quo vadis *i* Krzyżaków. *W Krakowie uruchomiono właśnie pierwszy wodociąg, a w Rudzie Łańcuckiej 3 listopada rodzi się Kalin Czerwiński.*

Rodzina jest wielodzietna, ojciec, choć ciężko pracuje, ledwo wiąże koniec z końcem, jednak spośród ośmiorga swoich dzieci wybrał to jedno, w które będzie inwestował. Kalin od urodzenia był wychowywany w duchu teologicznym. W gimnazjum leżajskim jest zdecydowanie ponadprzeciętnym uczniem, ale nie zamkniętym w sobie molem książkowym. Stoi w opozycji do stereotypu geniusza introwertyka, lubi się spotykać z kolegami, często pomaga im w nauce. Później znajduje w tym źródło utrzymania. Dzięki udzielaniu korepetycji może pozwolić sobie na opłacanie mieszkania i kupowanie książek podczas studiów teologicznych we Lwowie. Szybko jednak okazuje się, że marzenie rodziców nie pokrywa się z wizją Kalina. Teologia ma swoje ograniczenia, dogmaty i niepodważalne prawdy, dlatego rozszerza on własne zainteresowania na dziedziny matematyczno-przyrodnicze. Jest niezmiernie ciekawy świata. Pod nadzorem swojego mentora, profesora Stanisława Kulczyckiego, uwagę kieruje na geologię. Powoli odkrywane nowe warstwy ziemi pomagają mu zauważyć ciągłość naszego istnienia.

W jego życiu pojawia się skała osadowa zbudowana z obumarłych roślin, czyli najmłodszy węgiel, jakim jest torf. Niezwykle bogaty w minerały, miękki, delikatny materiał. Węgiel, ale nie do końca. To właśnie jemu Kalin poświęci całe swoje życie, a zacznie od obronionej w 1930 roku pracy doktorskiej. Nie będzie jednak naukowcem całkowicie oderwanym od rzeczywistości. Fascynuje go nauka, ale też Ida Hohenberg, młodsza od niego o jedenaście lat modelka ze Lwowa. Niewątpliwie spowalnia to jego karierę naukową. Razem ze swoją miłością wyjeżdża do Kalisza, gdzie będzie zwykłym nauczycielem biologii w gimnazjum.

W 1939 roku przychodzi wojna, a Kalin zostaje wcielony do wojska. Walczy w kampanii wrześniowej, bierze udział w bitwie nad Bzurą, a potem trafia do niewoli niemieckiej. Tam jakimś cudem udaje mu się przetrwać. W dużej mierze zawdzięcza to swojemu wykształceniu oraz znajomości biologii i fizyki. Potrafi jeść tylko to, co bogate w minerały. Z głębi Niemiec pociągiem towarowym dojeżdża do Oleśnicy. Jego celem jest jednak Wrocław. Dookoła ludzie cieszą się wolnością, zajmują nie swoje domy, a radzieccy żołnierze piją wódkę i tańczą z niespotykanymi w naszym klimacie zwierzętami.

Wrocławskie zoo istnieje od 1865 roku, wiele przetrwało, lecz ta wojna miała na nie dramatyczny wpływ. Dyrektor ogrodu, widząc cierpienie bombardowanych i ostrzeliwanych zwierząt, nakazał otwarcie bram. Wojna się skończyła, ogrodu nie ma, a Kalin za pół litra bimbru odkupuje od rosyjskich żołnierzy wielbłąda, na którym pokonuje ostatnie trzydzieści kilometrów do swojego celu, Wrocławia. Tam na Ołbinie zajmuje piękne studwudziestometrowe mieszkanie przy ulicy Rozbrat z dużym

balkonem otwartym na rozległe tereny parkowe. Razem z Kulczyckim obmyślają plan, jak zorganizować i powołać do życia uniwersytet i politechnikę. Nie jest łatwo. Wrocław został zniszczony w siedemdziesięciu procentach, a same budynki politechniki i uniwersytetu prawie nie istnieją po tym, jak w 1945 roku od mostu Grunwaldzkiego do Szczytnickiego Niemcy zorganizowali tymczasowe lotnisko. Dzielnica naukowa – tak w okresie przedwojennym określano ten obszar miasta. Mieszkała tu cała wrocławska kadra profesorska, jednak wszystko zmieniło się 23 lutego 1945 roku, kiedy Karl Hanke razem z naczelnym architektem miasta, Richardem Konwiarzem, podjęli decyzję o wyburzeniu znacznej części domów mieszkalnych, dwóch kościołów i budynków akademickich w celu utworzeniu pasa startowego. W ciągu dwóch miesięcy zniknęła cała zabudowa, a w miejscu domów pojawiły się walce drogowe. Wymiary pasa wynosiły trzysta metrów szerokości na tysiąc trzysta długości. Podczas jego budowy Festung Breslau była ostrzeliwana przez radzieckie samoloty, straty w ludziach były ogromne. Wehrmacht zmuszał do pracy robotników, a ponieważ młodzi mężczyźni walczyli i często ginęli na froncie, zaczęto sięgać po kobiety i dzieci. Zginęło trzynaście tysięcy osób, co w odniesieniu do długości pasa daje dziesięć osób na metr.

Teraz po tych zgliszczach biegają Czerwiński razem z Kulczyckim, ten pierwszy trzyma w ręku karabin. Szukają mikroskopów, próbek i innych pomocy naukowych, przydatnych w organizacji zajęć ze studentami. Przywrócenie uczelni do stanu używalności nie jest jednak łatwym zadaniem, chociażby ze względu na to, że wyposażenie sal dydaktycznych zostało zniszczone lub rozkradzione w blisko stu procentach. Mimo to co chwilę w ich sercach pojawia się nadzieja, kiedy widzą zaangażowanych studentów i współpracowników. Na przykład krzesła przyniesiono do sal wykładowych z Hali Stulecia, gdzie jeszcze kilka tygodni wcześniej swoje konferencje organizowało NSDAP. W wyniku tego wielkiego zaangażowania i wielkiej wiary z budynku w ruinie powstał w ciągu kilku tygodni prowizoryczny uniwersytet, a sam Kalin mógł ponownie zająć się ukochanym torfem.

Jego kariera nabiera niezwykłego tempa. Stopień doktora habilitowanego zdobył na wydziale matematyczno-przyrodniczym w 1948 roku. Trzy lata później odznaczono go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a w 1952 został pierwszym rektorem Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu.

Jest teraz 1961 rok, 28 kwietnia, piątek, wczesne popołudnie. Kalin idzie ze swojego gabinetu do sali wykładowej, która pęka w szwach już godzinę przed zajęciami. Studenci go uwielbiają, głównie z tego powodu, że przekazuje ogromny zasób wiedzy naukowej w sposób ciekawy i przystępny, ale też jest dla nich źródłem i przykładem czystej, wielkiej wiary. Uczy tego, że nie powinno się poddawać i bez względu na wszystko warto dążyć do postawionego sobie celu. Jako namacalny dowód podaje siebie. Na badania nad torfem poświęcił znaczną część życia i mimo porażek, braku finansowania, sprzeciwów ze strony środowiska medycznego dalej nie odpuszcza. Jest tytanem pracy. Wykład zaczyna się i kończy punktualnie co do sekundy. Prowadzący pakuje notatki do eleganckiej, czarnej walizki pod kolor garnituru, opuszcza uczelnię i przechodząc przez swój ulubiony park Nowowiejski, idzie do domu. Tam czekają już na niego żona Ida i córka Ewa, przygotowane do wyjazdu na weekend majowy. W poniedziałek wypada Święto

Pracy, więc uczelnie są nieczynne. W końcu nadeszły ciepłe dni i Czerwiński może zabrać rodzinę na Mazury, gdzie jak co roku będzie biegał od znaleziska do znaleziska ze szkłem powiększającym. Przebadał większość torfowisk w Polsce, zdobył uznanie w świecie nauki jako wybitny uczony z zakresu botaniki, ale wciąż mu mało. Jego cel to nie zyskanie sławy, tylko znalezienie leku. Jest szalenie pewny siebie. Na wszelkie sceptyczne pytania odpowiada, że ludzie będą się kąpać w jego preparatach w celach upiększających, lecz to nie wszystko: wydobędzie on takie frakcje torfowe, które będą leczyły z wielu chorób. Faktycznie, udaje mu się. Ogłasza to w roku 1963. Wywołuje tym samym ogromną sensację, ale również silny opór środowiska medycznego. Od momentu upowszechnienia jego rewolucyjnego odkrycia nazywany jest „zbawcą z bagien". Tysiące ludzi liczy na to, że PT, czyli preparat torfowy, będzie w stanie choćby w małym stopniu pomóc im pokonać raka.

Kalin często chodzi do wrocławskiego zoo, by odwiedzić wielbłąda, którego tam oddał. W ten sposób zapoznaje się z Antonim Gucwińskim, dyrektorem ogrodu, z którym wyleczyli małpę z raka sutka za pomocą właśnie PT. Ponadto jakiś mężczyzna, kiedyś umierający na stwardnienie rozsiane, rozgłasza we Wrocławiu, że Czerwiński jest cudotwórcą. To wszystko powoduje, że jego dom przy ulicy Rozbrat nazywany jest odtąd „świątynią nadziei". Dochodzą do niego listy z całego świata zarówno z prośbami o pomoc, jak i z podziękowaniami. Wydarzenia toczą się jak wielka, błyskawicznie rosnąca kula śnieżna. W latach 80. piszą do niego Wałęsa i Episkopat Polski. Ludzie sprawiają, że umiera Kalin profesjonalny naukowiec, a rodzi się znachor.

Z okna swojego mieszkania Czerwiński widzi setki osób oczekujących z niecierpliwością na jego wyjście. Faktycznie, wielu widziało w nim zbawcę, ale też wielu umierało, wierząc w cudowne właściwości preparatu. Ludzie mimo tak trudnych przejść jak strata bliskich nie mieli do niego żalu, gdyż twierdzili, że jeśli on nie jest w stanie pomóc, to już nic innego nie można zrobić.

W 1987 roku profesor występuje w telewizji wrocławskiej i mówi: „Nie jesteśmy w stanie pomóc wszystkim. Przyjmiemy w tym tygodniu jeszcze sto osób i zamykamy listę". Wiadomość ta trafia też do ogólnokrajowych mediów, takich jak Teleexpress. *Następnego dnia ludzie czekają na Kalina jak na papieża. Ulica jest szczelnie wypełniona, milicja kieruje ruchem. Profesor przychodzi rano, tłum koczujących ustępuje mu drogi, ale sporo ludzi łapie go za elegancki płaszcz i krzyczy. Matki podrzucają swoje chore dzieci, inni obnażają rany, byleby dostać trochę magicznego płynu w kolorze herbaty. Kalin jest coraz bardziej krytykowany przez środowiska naukowe, ponieważ nie ma wykształcenia medycznego ani chemicznego. To zwykły botanik, jednak prasa z końcówki lat 80., a w ślad za nią setki – jeśli nie tysiące – ludzi odmieniają słowo „nadzieja" przez wszystkie przypadki. Zaczynają się ogólnospołeczne zbiórki pieniędzy, angażują się w nie również instytucje państwowe, Operetka Wrocławska wystawia przedstawienia, z których dochód przeznaczony jest na rozwój pracowni przy ulicy Rozbrat. Kobiety rezygnują ze zwyczajowego kwiatka na Dzień Kobiet, a zaoszczędzone pieniądze przekazywane są właśnie na badania nad torfem. Do pracowni na Ołbinie co kilka tygodni przyjeżdża ciężarówka wypełniona tonami torfu. Jest on składowany w piwnicy, a tam – oczyszczany, traktowany kwasami, destylo-*

wany, osuszany. Produkcja trwa dzień i noc.

W 1988 roku na listę oczekujących wpisanych jest już dwadzieścia tysięcy osób, jednak preparatu ciągle brakuje. Wtedy sekretarz Komitetu do spraw Nauki i Postępu Technicznego pisze do ministra edukacji narodowej: „Informuję towarzysza ministra o niepokojącym postępie prac nad preparatem torfowym. Należy podjąć szereg kroków zmierzających do natychmiastowego uruchomienia produkcji, która powinna gwarantować zaspokojenie potrzeb społecznych i eksportu, a tym samym wyeliminować manipulację na czarnym rynku".

Pod naciskiem opinii publicznej rząd rozpoczyna badania nad preparatem, żeby stwierdzić, czy jest on lekiem antynowotworowym. Skutkuje to tym, że w 1989 roku preparat zostaje zarejestrowany, ale nie jako antyrakowy, tylko jako immunomodulator, czyli środek wzmacniający odporność. Czerwiński uznaje to za połowiczny sukces, nie ukrywa, że nie może się doczekać momentu, w którym jego preparat zostanie oficjalnie uznany za lek.

Nadchodzi początek lat 90., kiedy na łamach opiniotwórczych gazet, takich jak „Wprost" czy „Polityka", wypowiadają się lekarze twierdzący, jakoby PT przyspieszał rozwój nowotworu. Mimo to do Wrocławia przyjeżdża Barbara Piasecka-Johnson, kontaktuje się z profesorem i razem otwierają Torf Corporation. Produkcja idzie pełną parą i trwa do dziś, tak jak walka o uznanie preparatu za lek przeciwnowotworowy.

Kalin Czerwiński zmarł w 1996 roku, a park przy ulicy Nowowiejskiej, po którym lubił się przechadzać, nazwano jego imieniem.

17 października 2019 roku, czwartek

Ktoś rozbił głowę Kalina, a wrocławski Zarząd Zieleni Miejskiej zdemontował postument. Pojechałem więc do fabryki elementów budowlanych G&A, znajdującej się jakieś trzydzieści kilometrów od Wrocławia. Tam byłem umówiony na odbiór silikonowej formy, z której mógłbym masowo odlewać pomniki.

Teraz jestem w swoim domu rodzinnym w Lwówku Śląskim i proszę ojca o pomoc w przygotowaniu pierwszego odlewu. Opiera się i robi to niechętnie, a samą ideę mojej podróży krytykuje z góry na dół, po czym żegna się ze mną, mówiąc: „Tylko ty się nie wygłupiaj z tymi pomnikami". Zdziwiły mnie te słowa, a może trochę liczyłem na coś innego, bo wyjazd traktowałem bardzo poważnie, sprzedałem auto i sporządziłem testament. Podróż rozpocząłem 20 października 2019 roku.

20 października 2019 roku, niedziela

Jest trzecia rano. Dopiero co przyleciałem do Bejrutu. Już na lotnisku w Warszawie mówiono, że trzy dni temu zaczęły się protesty, przez co może być trudno przedostać się w głąb miasta. Tak też było. Drogi okazały się w większości poblokowane, gdzieniegdzie paliły się opony. Pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła tuż po wyjściu z terminala, była jednak fala gorąca. W tych warunkach czekałem jakiś kwadrans. Ghassanowi w końcu udało się przedrzeć przez miasto i przyjechać po mnie czarnym jeepem wranglerem.

Po drodze do mieszkania minęliśmy trzy checkpointy, punkty kontrolne prowadzone przez wojsko. Trzeba było tylko zwolnić. Ghassan wystawiał rękę, mówiąc *marhaba*, takie arabskie „cześć", i wtedy nas przepuszczali. Do domu jechaliśmy około dziesięciu minut. Tam spaliliśmy parę papierosów, pogadaliśmy, a następnie poszliśmy spać.

Wstałem o dziesiątej. Razem z Olą i jej synkiem Olivierem zjedliśmy arabskie śniadanie. Rozmawialiśmy kilka godzin, wspominając czasy Erasmusa w Lincoln, bo to właśnie tam poznałem ją bliżej i przedstawiłem jej przyszłego męża, Ghassana Nabil el-Kobrosli, gdy przyprowadziłem go na wódkę na King Street. Dopiero około osiemnastej czy dziewiętnastej postanowiłem wyjść na miasto. Wszędzie trwały protesty. Naprawdę niesamowita atmosfera, wszyscy tańczyli, śpiewali. Ola wytłumaczyła mi, że ludzie buntują się przeciwko tak trudnym warunkom życia, bo na przykład prąd, co może zaskakiwać, jest dostępny tylko dwanaście godzin dziennie. Przez pozostałą część dnia płynie z generatora, a co za tym idzie – jest trzy razy droższy, ponieważ trzeba doliczyć cenę ropy. W dodatku mieszkańcy nie mają wody ciepłej ani pitnej. Wody z kranu mogą używać co najwyżej do kąpania się lub sprzątania, z kolei do gotowania zupy, mycia warzyw albo robienia herbaty bezpieczniej jest kupić butelkowaną od Nestlé. Ważne, żeby była właśnie tej marki, bo wszystkie inne tańsze są tak złej jakości jak ta z kranu. Mnie Nestlé kojarzyło się głównie z płatkami śniadaniowymi, ale po sprawdzeniu okazało się, że to największe na świecie przedsiębiorstwo spożywcze, które potrafi świetnie dostosować się do potrzeb rynku. W przypadku Bejrutu taką potrzebą była czysta woda. W życiu codziennym, mimo że Libańczycy są do tego przyzwyczajeni, jest to szczególnie uciążliwe i kosztowne. Ponadto rząd stale podnosi podatki, co również ma wpływ na sytuację zwykłych ludzi. Nie mają oni dobrych dróg, opieki socjalnej, publicznych usług medycznych i tak dalej. Dlatego strajkują.

Wieczorem, około dwudziestej, byłem już w centrum miasta, gdzie wszyscy bawili się i śpiewali arabskie pieśni. Spędziłem w tłumie dwie–trzy godziny. W drodze do domu zatrzymałem na ulicy taksówkę, prowadził jakiś starszy pan. Przez okno wytłumaczyłem mu, że mieszkam w dzielnicy Hadas, naprzeciwko ambasady Filipin. Odpowiedział, że wie, gdzie to jest i może mnie tam zawieźć za dziesięć dolarów. Jechaliśmy kilka minut, po czym kierowca zaczął się gubić, a ja zdałem sobie sprawę, że ewidentnie nie odnajduje się w ruchu drogowym. Prowadził bardzo nerwowo, aż w końcu zahaczył o zaparkowane auto i urwał lusterko. Kiedy po kilkunastu minutach błądzenia dojechaliśmy na miejsce, zbulwersowany staruszek domagał się więcej pieniędzy w ramach rekompensaty za straty wynikające ze stłuczki.

Tak zakończył się pierwszy dzień mojego pobytu w Libanie.

21 października 2019 roku, poniedziałek

Dzisiaj wypada dzień porodu Oli. Razem z całą rodziną, czyli Ghassanem, Olą i Olivierem, pojechałem do szpitala. Tam, ku mojemu zdziwieniu, okazało się, że budynek przypomina pięciogwiazdkowy hotel, a Ola została przyjęta jak księżna Kate. Dostała prywatną salę z tarasem, własną pie-

lęgniarkę i sprzątaczkę, która co dziesięć minut wchodziła, aby odkurzyć i zapytać, czy wszystko jest w porządku.

Sam poród trwał może pół godziny. Później pielęgniarki zawołały mnie i Ghassana, żeby nam pokazać, jak kąpią małą Lylę. Wciąż byłem zszokowany komfortowymi warunkami, wręcz nieporównywalnymi do polskich. Wszystko dlatego, że mają tutaj tylko prywatną służbę zdrowia, a Ola jest objęta ubezpieczeniem architekta. To nie tyle ubezpieczenie Oli, ile Ghassana i jego rodziny.

Podczas gdy Ghassan został z Olą i nowo narodzonym dzieckiem w szpitalu, ja udałem się na poszukiwania wypożyczalni aut. Niestety większość sklepów, firm czy instytucji była tego dnia zamknięta ze względu na strajki.

22 października 2019 roku, wtorek

Ghassan po szybkim śniadaniu zabrał Oliviera i pojechał do szpitala. Wcześniej jednak zamówił dla mnie taksówkę do Halaal, czyli wypożyczalni samochodów, którą polecił mi zastępca polskiego konsula. Pojechałem tam odebrać swojego nissana micrę z automatyczną skrzynią biegów. Zapytałem obsługę, gdzie mógłbym kupić biały beton, kielnię i wiadro. Niestety nikt nie był w stanie mi pomóc. Na szczęście po wyjściu w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów zauważyłem sklep budowlany.

Po zakupach pojechałem odwiedzić Olę, a następnie udałem się w stronę domu. Stamtąd wziąłem kąpielówki, ręcznik i wybrałem się na plażę, by nabrać trochę piasku. Jeszcze

rano byłem zestresowany tym, że będę prowadził, ale okazało się, że tutaj nikt nie przestrzega zasad ruchu drogowego. Ponadto dzięki automatycznej skrzyni biegów i niewielkim rozmiarom samochodu po południu jeździłem nim już jak po Wrocławiu.

Plaża była niesamowicie brudna, jako że bezdomni syryjscy uchodźcy traktują ją jak łazienkę i nadużywają publicznych toi toiów. Tak czy siak, nabrałem brudnego, ale nadal piasku, wróciłem do domu i zalałem formę Kalina.

23–24 października 2019 roku, środa–czwartek

Wstałem około godziny dziesiątej, bo o jedenastej miałem się spotkać z Mariuszem Mieczkowskim, zastępcą polskiego konsula w Bejrucie. Zadzwonił on jednak pół godziny przed umówionym spotkaniem i odwołał je ze względu na zablokowane drogi oraz nadmiar obowiązków. Powiedział, że może uda nam się zobaczyć, ale dopiero w piątek. Otworzyłem maila i przeczytałem odpowiedź syryjskiej ambasady w Warszawie: pomimo ich starań i mojego zaangażowania nie są w stanie udzielić mi wizy turystycznej. Jednak pani, z którą bardzo przyjemnie się rozmawiało, powiedziała, że jeśli pojadę na granicę, to prawdopodobnie będę mógł ją przekroczyć. Nie wie tylko, jak poradzę sobie z powrotem.

Do Syrii chciałem pojechać po to, żeby zobaczyć wojnę, czyli przyczynę tragicznych warunków życiowych Syryjczyków, także tych w Libanie. Jadąc tutaj, miałem nadzieję, że uda mi się przeanalizować zabudowę mieszkaniową obozów dla

uchodźców oraz to, jak czasowe rozwiązania architektoniczne zmieniały się w długotrwałe. W internecie sprawdziłem kilka ciekawych miejsc, które mógłbym dzisiaj odwiedzić, i znalazłem między innymi najstarszy obóz w Libanie wybudowany dla Palestyńczyków – Burj Barajneh. Wsiadłem do auta i nastawiłem kamerkę GoPro, żeby nagrywała całą trasę.

Po dziesięciu minutach wjechałem do całkowicie innego świata, pełnego bałaganu, chaosu, reklam i częściowo zerwanych przewodów elektrycznych. To dalej Liban, ale w bardziej intensywnym wydaniu. Przejechałem może dwa kilometry w tej dzielnicy, zanim znalazłem miejsce parkingowe. Po jakichś dwustu metrach spaceru moją uwagę zwróciła bardzo wąska uliczka, nad którą wisiała pajęczyna przewodów. Czytałem, że rocznie około siedemdziesięciu osób ginie tutaj od porażenia prądem. Wyciągnąłem telefon, by zrobić zdjęcie plątaniny kabli. Wtedy podbiegły do mnie dzieci, wrzeszcząc coś po arabsku. Z góry ktoś krzyczał, żebym uważał, bo maluje elewację i farba może kapać, a po chwili pan na wózku inwalidzkim zaczął mnie wypytywać, co tu robię. Czy jestem dziennikarzem? Nie, jestem architektem, a dzisiaj turystą. Później podszedł do nas jakiś chłopak. Miał ze dwadzieścia pięć lat i kontynuował temat. Koniec końców powiedzieli mi, żebym opuścił to miejsce. Wyszedłem z nimi na główną ulicę, gdzie się pożegnaliśmy. W tamtym momencie wydawało mi się, że wszystko jest w porządku.

Po mniej więcej minucie zaczepiło mnie kilku agresywnych Arabów. Nie mogłem się z nimi dogadać po angielsku, więc

zadzwoniłem do Ghassana. On uspokoił sytuację i się rozłączył. Zatelefonowałem do niego jeszcze raz, tym razem z podziękowaniami. Jednak chwilę później na skuterach podjechało do mnie trzech mężczyzn. Nie wylegitymowali się. Powiedzieli tylko, żebym oddał telefon i dokumenty. Na początku oczywiście się opierałem, ale nic to nie dało. Na telefonie szybko włączyłem udostępnianie lokalizacji i wysłałem ją Ghassanowi. Zmusili mnie krzykiem, żebym wsiadł na skuter i zamknął oczy.

Po kilku minutach wjechaliśmy na jakieś podwórko. Krzyczałem, że mają mnie puścić, bo nic nie zrobiłem. Zresztą nawet nie wiedziałem, kim oni są. Poprowadzili mnie przez wąski korytarz, później klatką schodową na piętro, aż do pomieszczenia bez okien. Tam podali mi butelkę wody i kazali czekać. Napiłem się, ale pomyślałem, że woda może być zatruta, więc szybko ją wyplułem. Zaprowadzili mnie do pokoju obok, w którym było szczelnie zasłonięte okno. Zaczęli mnie przesłuchiwać, sprawdzać mi telefon i kamerkę GoPro. Pytali, jak tu dotarłem. Gdy odparłem, że samochodem, to zażądali kluczyków. Opowiedziałem im, jak dokładnie znalazłem się w Libanie, przedstawiłem całą historię znajomości z Ghassanem. Wtedy powiedzieli, że muszą sami wszystko sprawdzić, lecz wciąż nie mówili nic o sobie. Zabrali wszystkie moje rzeczy i poszli do innego pomieszczenia; jeden z nich został, żeby mnie pilnować. Kiedy mnie uprowadzili, było chyba przed szesnastą. Przez dwie godziny, gdzieś tak do osiemnastej, sprawdzali moje rzeczy. Po pierwszej godzinie czekania nieco się uspokoiłem, zwłaszcza że zaczęli mnie częstować papierosami. Spaliłem kilka i podjąłem próby rozmowy, jednak dalej nie chcieli

powiedzieć, kim są. Po chwili wrócił człowiek, który mnie tu sprowadził, i powiedział, że jeszcze kilka minut i będę wolny.

Około osiemnastej trzydzieści wyprowadzili mnie głównym wyjściem i kazali mi wsiąść do czarnego SUV-a, na tylne siedzenie. Okna były szczelnie zasłonięte firankami. Nie jechaliśmy długo. Następnie znowu klatką schodową poprowadzili mnie na pierwsze piętro, a stamtąd do pomieszczenia, w którym siedział olbrzymi, naprawdę olbrzymi człowiek. Nie mówił po angielsku. Na wszystkie pytania, które mu zadawałem, odpowiadał: *no*. Kilka razy zapytałem o wizerunek człowieka wiszący na ścianach w pokoju. Przedstawiał Araba, brodacza z chustą na głowie. Olbrzym jednak niewzruszony, uśmiechając się, odpowiadał: *no*. Starałem się rozluźnić atmosferę swoimi głupimi żartami, ale nie przynosiło to żadnego efektu.

Kiedy dochodziła dwudziesta trzydzieści, przyszło do nas dwóch chłopaków pachnących perfumami. Chyba byli w moim wieku, tyle że tak ze trzy razy lepiej zbudowani i odrobinę niżsi. Zapytali, co robię w Burj Barajneh i jak się tu znalazłem. Tak jak wcześniej odpowiedziałem, że jestem tylko turystą, na co oni: „Tylko turystą? To teraz wstań i wyciągnij ręce do tyłu". Założyli mi kajdanki, złapali mnie za ręce i poprowadzili w dół. Znowu wsadzili mnie do czarnego SUV-a, ale teraz na przednie siedzenie. Pasów nie mogłem zapiąć, bo miałem kajdanki. Prowadzący „policjant" wyłożył syrenę na zewnątrz. Wtedy pomyślałem sobie: „Całe szczęście, że to policja. Przecież Polska i Liban żyją w dobrych stosunkach, więc prawdopodobnie niedługo

mnie wypuszczą".

Jechaliśmy bardzo szybko. Rzucało mną po samochodzie. Po czterech–pięciu minutach przejechaliśmy przez rogatkę na komisariat. Tam znowu zaprowadzili mnie do biura przesłuchań i po raz kolejny odbyło się sprawdzanie. Powyciągali wszystko z mojego plecaka, zaczęli liczyć pieniądze i kserować dokumenty. Zapytali, czy ludzie, którzy mnie zatrzymali, używali przemocy. Padło też pytanie, czy biorę narkotyki. Po (chyba) kwadransie do pokoju wszedł następny policjant. Wyciągnął taką malutką klepsydrę z białym proszkiem w środku i zapytał: „Co to?". Cały czas myślałem, że robią sobie żarty. Kajdanki, syrena – to nie było potrzebne. Nawet nie wyglądałem na kogoś, kto mógłby w jakikolwiek sposób im zagrozić. W końcu odpowiedziałem, że nie mam bladego pojęcia, że widzę to pierwszy raz na oczy. Wtedy mężczyzna dodał, że znalazł to w aucie. Całe to przesłuchanie ciągnęło się gdzieś do dwudziestej drugiej trzydzieści.

Później wsadzili mnie do samochodu i przewieźli na kolejny posterunek policji, gdzie procedura zaczęła się od nowa: znowu wszystko wyciągają, sprawdzają, kserują i tak dalej. Tym razem jednak kazali mi stanąć przy ścianie w celu zrobienia zdjęć. Potem otworzyli kopertę, z której po kolei wyciągali moje dokumenty. Wśród tego wszystkiego była klepsydra z białym proszkiem. Wtedy zdałem sobie sprawę, że to nie są żarty, i zacząłem krzyczeć, że nigdy wcześniej tego nie widziałem, że to nie jest moje i że nie mam pojęcia, skąd to mają. Kazali mi wyjąć sznurówki z butów, ściągnąć pasek, schować to do plecaka i się rozebrać. Napomknąłem im,

że w związku z tym, że nic nie zrobiłem, zachowują się bardzo niehumanitarnie. Nie zareagowali na to. Zamiast tego kazali mi się odwrócić i rozchylić pośladki, żeby mogli sprawdzić, czy niczego tam nie ukrywam. Wezwali dwóch mężczyzn w żołnierskich mundurach, którzy zaprowadzili mnie do swojego wojskowego samochodu.

Znowu odbyliśmy pięciominutową przejażdżkę, po której trafiłem już nie na komisariat, ale do więzienia. Tamtejsza obsługa nie była tak „profesjonalna". Wszyscy mieli oczy mocno przekrwione, jakby byli albo po alkoholu, albo po narkotykach. Zamknęli mnie w zimnej celi, w której spędziłem jakąś godzinę. Pocieszałem się myślą, że będę tutaj sam, ale tak dobrze to się nie skończyło. Po godzinie zaprowadzili mnie do pomieszczenia, w którym musiałem się przedstawić. Oczywiście nie zrozumieli mnie i od tamtej pory byłem „Krisi from Holland". Wtedy pewien bardzo, bardzo ciemnoskóry mężczyzna zabrał mnie do toalety, gdzie miałem się rozebrać. Po tym, jak ściągnąłem koszulkę, powiedziałem, że tyle wystarczy. Przydusił mnie do ściany, ściągnął mi jeszcze spodnie i zapytał: „Are you shy? Don't be shy". Rzucił moje rzeczy na mokrą od moczu toaletową podłogę i kazał się ubrać. Przeszliśmy do korytarza, na którego końcu po obu stronach były cele, a zza krat wystawały ręce. Jak się później okazało, lewa cela była przeznaczona dla Syryjczyków, a prawa dla wszystkich innych narodowości, głównie Libańczyków. Początkowo ciemnoskóry mężczyzna prowadził mnie do lewej celi, ale z prawej osadzeni wołali coś w rodzaju: „Daj go do nas", i tam też wylądowałem.

Widok był bardzo filmowy, jak z więzień w Wenezueli czy

Argentynie. Pomieszczenie o wymiarach mniej więcej siedem na siedem metrów, bez okien, na ścianie po lewej stronie od wejścia trzy pary drzwi. Pierwsze prowadziły do aneksu kuchennego o długości jednego metra, niesamowicie brudnego, drugie pod prysznic, do którego nie zaglądałem, a trzecie to była toaleta muzułmańska, czyli bez miski ustępowej, tylko z brodzikiem w podłodze. W celi było około piętnastu dwupiętrowych prycz. Dziewięćdziesiąt procent z nich zajmowali więźniowie. Zaraz po przekroczeniu progu zapytano mnie, za co tu trafiłem. Początkowo chciałem powiedzieć, że nie mam pojęcia, że robiłem tylko zdjęcie i wtedy mnie porwali, ale zdałem sobie sprawę, że coś takiego mogłem mówić na komisariacie, a tu niekoniecznie dobrze to wpłynie na mój wizerunek. Wówczas stało się coś, czego nie rozumiem. Zachowałem się jak nie ja. Odpowiedziałem, że szkoda gadać, że te pojeby robią mi to już nie pierwszy raz. Odwróciłem się w stronę człowieka, który mnie przywitał, czyli szefa celi, i powiedziałem, że chcę górną pryczę i papierosa. Usłyszałem: „OK, no problem". Zapaliliśmy.

Jeden z więźniów był z Niemiec, drugi z Turcji, prawie wszyscy władali komunikatywnym angielskim. Po krótkiej rozmowie zająłem swoje łóżko ze śmierdzącym kocem i małą poduszką. Szef celi dał mi buteleczkę wody i pół herbatnika, nie przyjmując odmowy. Plecami przysunąłem się do ściany i obserwowałem, czy się do mnie nie zbliżają. Nad środkowymi drzwiami, za kratą, wisiał telewizor, a w nim wyświetlano film o ludziach z nadprzyrodzoną mocą, z większością akcji umiejscowioną we Włoszech. W tle leciała muzyka Depeche Mode. Gdy film się skończył, chłopacy musieli się

wspinać jeden na drugiego, by wyłączyć prąd. Starałem się nie panikować, ale myśl, że w aucie z wypożyczalni znaleźli biały proszek albo że czytają moje konwersacje na telefonie, nie dawała mi spokoju. Nie wiedziałem, co mam robić. Z jednej strony myślałem sobie, że to tylko kolejna szalona historia, która mi się przytrafiła, a z drugiej – zaczynałem wierzyć, że to faktycznie była kokaina.

O piątej rano obudziły mnie śpiewy arabskie. Pochodziły z celi Syryjczyków. Odkąd usnąłem, co dziesięć minut się budziłem i za każdym razem widziałem przed sobą nową twarz człowieka, który zaczynał swój dzień od modlitwy. Wydaje mi się, że trwało to do szóstej. Trudno jednoznacznie stwierdzić, bo zabrali mi zegarek, byłem w celi bez okien, no i włączono strasznie rażące światło. Więźniowie zaczęli się przykrywać kocami i poduszkami, bo chcieli jeszcze chwilę pospać. Jedynie jakiś młodszy chłopak usiłował zbudować coś w rodzaju parawanu czy parasola przeciwsłonecznego ze swoich ubrań, ale nie przewidział, że światła w pomieszczeniu ustawione są równomiernie ze wszystkich stron, więc na nic zdają się jego zmagania. Przyznam, że pomimo tragizmu całej sytuacji wyglądało to zabawnie.

Później włączyli głośniki, z których słychać było wyczytywane imiona i nazwiska. „Krisi from Holland" było piąte w kolejności. Ktoś z celi wtedy krzyknął, że mam się ustawić pod kratą. Razem z trzema Syryjczykami i Libańczykiem zostaliśmy przeprowadzeni do tej samej zimnej celi, w której wylądowałem dzień wcześniej. Trzymali nas tam jakąś godzinę. Siedzieliśmy cicho, w końcu Libańczyk zapytał ochroniarza o czas. Okazało się, że jest siódma rano.

Wydaje mi się, że po mniej więcej godzinie skuli nas gęsiego i zaprowadzili do biura. Tam po raz kolejny pytano mnie o przyczynę zatrzymania. Odpowiadałem im po polsku, bo ze względu na ich znikomą znajomość języka angielskiego komunikacja między nami była tak czy siak na poziomie zerowym, a ja już po prostu byłem zmęczony całą tą sytuacją. Następnie żołnierze z wycelowaną w nas bronią kazali nam iść na zewnątrz do metalowej więźniarki. Jeszcze przed wyjściem z więzienia zapytałem o mój plecak. Odpowiedzieli, że nie jest mi potrzebny, skoro i tak za kilka godzin tam wrócę. Wtedy mnie zamurowało. Te słowa brzmiały mi w uszach jak mantra. Czułem się, jakby ktoś mnie uderzył w głowę.

Jak wspominałem, kazali nam wejść do małej więziennej ciężarówki z niewielkim okienkiem zabezpieczonym kratami. Było bardzo ciasno, scena jak z amerykańskiego filmu. Przewieźli nas na posterunek policji, w którym byłem już dzień wcześniej. Każdemu założono osobne kajdanki i kazano czekać na korytarzu na przesłuchanie. Atmosfera biurowa, nieumundurowani policjanci przechodzili z pokoju do pokoju, trzymając w rękach stosy dokumentów. Razem z nami na korytarzu siedział młody praktykant – wyglądał jak Clark Kent, starannie ułożone włosy, superproste, białe zęby, dobra dykcja i słaby angielski. Każdemu starał się udzielić dobrej rady.

Po dwóch godzinach czekania zaproszono mnie do biura kierownika działu, bo tylko on dobrze mówił po angielsku. Rozmawialiśmy kilka minut. Zadzwonił do Ghassana, który odebrał dopiero za drugim razem, a po rozmowie

z nim kazał ściągnąć mi kajdanki, zrobił kawę i zaczął opowiadać o podróżach do Europy. Cały czas mówił o Kopenhadze jako o stolicy Polski. Nie wiedziałem, czy powinienem mu zwrócić uwagę. W końcu jednak to zrobiłem, ale chyba trochę za późno, bo zrobiło się bardzo niezręcznie. Co chwilę wracałem na korytarz i znowu do biura, fragmentarycznie opowiadając o swoim życiu, o podróżach i o historii znajomości z Ghassanem. Wreszcie padło pytanie o Izrael. Wiedziałem, że co prawda nie mam pieczątki w paszporcie, ponieważ wyrobiłem nowy, ale oni mają mój telefon i dostęp do Instagrama, a tam jest kilka zdjęć z Tel Awiwu. Powiedziałem prawdę, wplatając wyjazd do Izraela w sto innych podróży zagranicznych. Wypytywali o każdy szczegół i daty, których nie pamiętałem w stu procentach. Rozmowa zakończyła się pozytywnie. Powiedziano mi, że muszę poczekać jeszcze tylko na ekspertyzę z działu technicznego na temat zawartości mojego telefonu.

Od tamtej pory, siedząc na korytarzu, myślałem o zdjęciu Ghassana palącego haszysz, które zrobiłem kilka dni wcześniej. Dołączył do nas inny więzień, pochodzący z Iranu. Chłopak około dwudziestu pięciu lat, schludnie ubrany. Zwróciłem mu uwagę, że ma rozpięty rozporek, i chwilę się pośmialiśmy. Wezwano go do biura przesłuchań, drzwi były otwarte, więc słyszałem dokładnie, jak krzyczą, że ma fałszywy paszport i że odsyłają go do Iranu. Wracając na korytarz, wzruszył ramionami, uśmiechnął się i usiadł na krześle. Wtedy, po kilku minutach ciszy, Clark Kent udzielił mu dobrej rady: „I tell you, you lie, we not help".

Około godziny trzynastej kierownik wezwał mnie do siebie i kazał mi podpisać dwanaście stron zeznań, których oczywiście nie byłem w stanie przeczytać ani potwierdzić. Dał mi mój telefon i poprosił o pokazanie zdjęcia, które zrobiłem w Burj Barajneh. W międzyczasie zaczął opowiadać historię o masażach, które wypróbował w Czechach. Przejrzeliśmy wszystkie zdjęcia w moim telefonie. O kilku z nich coś opowiedziałem. Po chwili do biura ktoś przyniósł teczkę z całym moim życiem: zdjęcia sprzed dziesięciu lat importowane z Google Drive, konwersacje z WhatsAppa i relacje z Instagrama, historię z Paulem, z bronią zakupioną przed wyjazdem do Afryki i z używkami. Powiedziałem, że jestem tylko człowiekiem, nie mogę tego skomentować. Przekartkowaliśmy wszystko. Zadał jeszcze kilka pytań i powiedział, żebym wrócił na korytarz. Mniej więcej o trzynastej trzydzieści oddano mi paszport wraz z innymi dokumentami i przewieziono mnie z powrotem do więzienia. Tam spod sterty bagaży wydobyłem plecak podpisany „Krisi from Holland". Później odebrałem swojego nissana micrę z parkingu przy więzieniu, odjechałem kilkaset metrów, wysiadłem, zrobiłem sobie zdjęcie polaroidem na tle więzienia, wsiadłem do auta i zacząłem płakać. Płakałem aż do momentu, w którym dojechałem do mieszkania Oli i Ghassana. Tam pokrótce opisałem swoje ostatnie dwadzieścia cztery godziny, wypiłem dwa piwa, zjadłem obiad i około piętnastej poszedłem spać.

25 października 2019 roku, piątek

Po ostatnich przygodach spałem dwadzieścia godzin. Przeszedł mi zapał do zwiedzania i stawiania pomników… Przynajmniej na razie. Zaproponowałem Ghassanowi pomoc w pracach domowych. Niedawno się wprowadzili, więc brakowało takich rzeczy jak karnisze, lampy i tym podobne.

Zakupy wyglądały komicznie. Pojechaliśmy do sklepu z karniszami. Na środku stało biurko, a całe pomieszczenie dookoła było wypełnione zasłonami. Za biurkiem siedział chłopak mający może dwadzieścia lat. Ghassan podszedł do niego, usiadł na krześle naprzeciwko, wyciągnął papierosy i zaczęli je palić. Rozmawiali o żabkach i firankach w taki sposób, jakby to było całe ich życie. Dyskutowali tak przez dwie i pół godziny, aż w pewnym momencie przerwałem konwersację i powiedziałem, że powinniśmy po prostu zdecydować, które bierzemy. Po następnym kwadransie wyszliśmy ze sklepu z dwiema aluminiowymi rurkami. Spędziliśmy w sklepie prawie trzy godziny, a kupiliśmy jedynie trzy metry rur. Wróciliśmy do domu i prace wyglądały podobnie jak wybór karniszy. Na początku trzeba było znaleźć odpowiednie narzędzia, potem wiertła i wybrać miejsce. Mieliśmy zamontować karnisze w dwóch pokojach. Pracę zaczęliśmy po kolejnych dwóch czy trzech godzinach przygotowań poprzedzonych debatą, w którym pomieszczeniu powinniśmy zacząć.

Skończyło się tak, że w tym dniu tylko w jednym pokoju zawisł karnisz, a na nim zasłony. Ola była jednak zadowolona, a Ghassan robił wszystko, by co chwila przychodziła do pokoju i chwaliła postępy naszych prac.

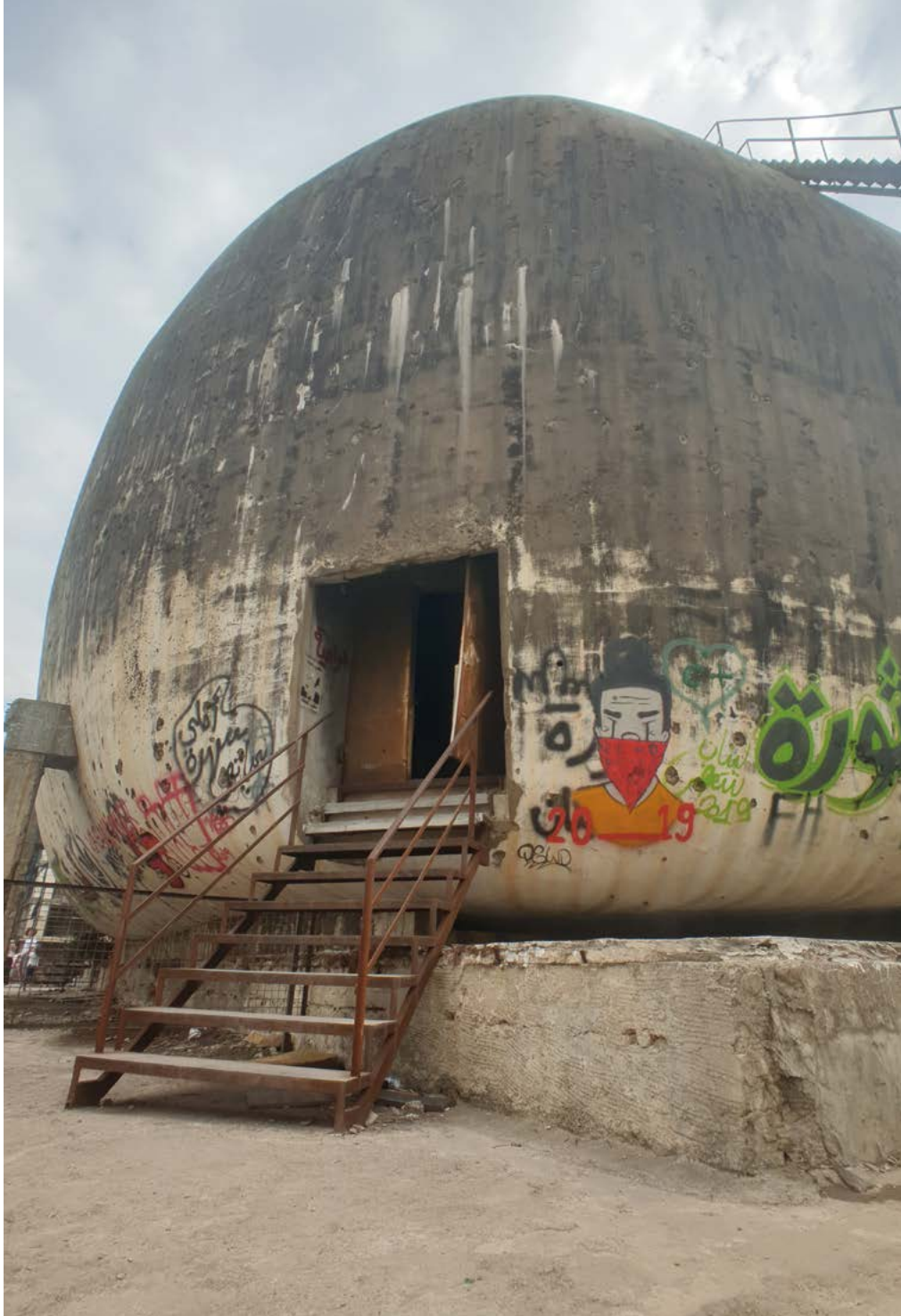

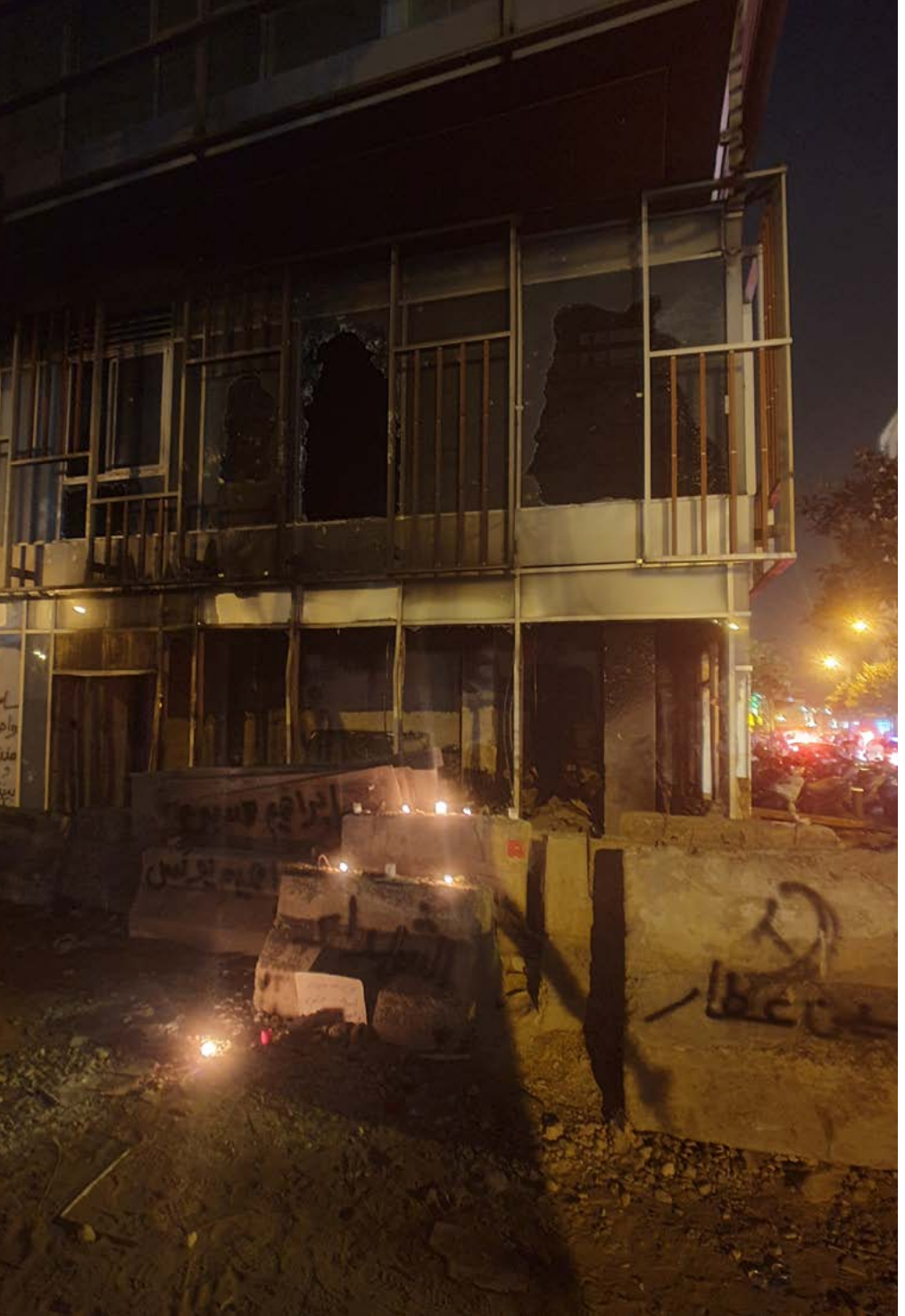

26 października 2019 roku, sobota

Po śniadaniu wybraliśmy się na *kazdurę*, czyli taką arabską przejażdżkę. Polega to na tym, że pije się kawę, spotyka ze znajomymi i robi zakupy. Wszystko to z samochodu. Ghassan siadł za kierownicą swojego jeepa wranglera, a na tylnym siedzeniu posadziliśmy Oliviera. Na początku podjechaliśmy pod czerwony przydrożny punkt – sklepik spożywczy. Często przy takich miejscach stoją ekspresy do kawy. Ghassan otworzył okno i krzyknął, żeby ktoś przyszedł, zamówił dwie kawki, dwie butelki wody i zapłacił cztery tysiące lir. Później, gdy wolno jechaliśmy w stronę centrum miasta, spotkaliśmy znajomego, który w mieszkaniu Ghassana i Oli układał kable do internetu. Krótka pogawędka i po chwili znowu zatrzymaliśmy się przy sklepie, tym razem po papierosy.

Chciałem kupić hidżab, taką czarną chustę, którą noszą muzułmanki po osiągnięciu wieku dojrzałości. „Prorok powiedział: «Od kiedy dziewczyna zacznie miesiączkować, nie jest właściwe dla niej, by pokazywała swoje ciało oprócz tego i tego», i wskazał na dłonie i twarz" (Sunan abu Daud, przekazała Aisza). Niezależnie od tego, co powiedział prorok, moim zdaniem jest to bardzo tajemnicze, a co za tym idzie – niesamowicie kobiece i seksowne. Udało mi się kupić dwie, dla mamy i Valerii.

Na końcu naszej *kazdury* dojechaliśmy do domu, a tam Ola przy kolacji napomknęła, że jej były pracodawca, Nadin, organizuje finisaż swojej wystawy. To architekt, który zajmuje się też sztuką – rzeźbi słonie, zazwyczaj z metalu. Nie rozumiałem tego, ale pomyślałem, że skoro tu jestem,

warto go odwiedzić, a przy okazji zobaczyć libańską pracownię architektoniczną. Do pokonania miałem może dwadzieścia kilometrów, lecz przez to, że większość dróg była poblokowana, jechałem tam ponad dwie godziny. Z czterdziestostopniową gorączką czułem się jak bohater filmu *Dzień Świstaka*. Już trzeci raz okrążałem dzielnicę, a żołnierz nakazywał mi jechać w prawo. Mimo strachu, który w dalszym ciągu odczuwałem, otworzyłem okno i z uśmiechem na twarzy powiedziałem, że robią ze mnie idiotę. Pośmialiśmy się trochę i w końcu pozwolili mi dołączyć do protestujących. Musiałem się rozpychać swoim nissanem micrą, ale ostatecznie udało mi się przedrzeć. Dojechałem do jakiejś malutkiej wioski, gdzie okazało się, że finisaż wystawy został odwołany.

28 października 2019 roku, poniedziałek

Najwyższy czas, by postawić Kalina. Dzień wcześniej wyciągnąłem go z formy, wszystko ładnie wyszło… No, może podstawa delikatnie się ukruszyła, ale nie widziałem w tym żadnego problemu. Zapakowałem go do auta i pojechaliśmy do centrum. Myślałem, że postawię go przed głównym meczetem w Bejrucie, Mohammed Amin. Budynek ten, zajmujący około jedenastu tysięcy metrów kwadratowych, z czterema minaretami i wielką kopułą pośrodku, został ufundowany przez byłego premiera. Kiedy już wydawało mi się, że znalazłem dla Kalina odpowiednie miejsce, popatrzyłem na niego z pewnej odległości i stwierdziłem, że wygląda, jakby był tam przypadkowo – na jakimś obsikanym murku, a dookoła niego namioty protestujących.

Postanowiłem więc jeszcze trochę pochodzić w poszukiwaniu lepszej lokalizacji. Żołnierze z długą bronią, których było co niemiara, przypominali mi o historii sprzed kilku dni.

Zaraz obok meczetu stoi dość specyficzny budynek po starym kinie, w całości wykonany z żelbetu, w kształcie jajka. Gdy protesty rosły w siłę, ludzie wdrapywali się na jego dach po kruchej, wątłej stalowej drabince. Robiły to nawet kilkuletnie dzieci, co w końcu i mnie przekonało do tego miejsca. Budynek stał się symbolem rewolucji, a ja pomyślałem, że słowa Kalina: „Prawdziwa wolność. Wrota między światami. Nowe marzenie", mogłyby się tu wpasować. Zacząłem krążyć, by po kilku minutach znaleźć odpowiednie miejsce przy głównym wejściu. Przytwierdziłem pomnik klejem montażowym, po czym zrobiłem kilka zdjęć pozującym przy nim młodym ludziom buntującym się przeciwko rządowi.

Kalin Czerwiński – 33°53'37.3"N 35°30'20.8"E

1 listopada 1944 roku alianci coraz bardziej napierają na Niemcy, Francuzi są coraz bliżej przejęcia Strassburga, a w Sajdzie, trzecim co do wielkości mieście w Libanie, rodzi się Kalin Czerwiński.

Jesteśmy przy wybrzeżu Morza Śródziemnego, jakieś czterdzieści kilometrów od Bejrutu. Mieszka tu niewiele ponad sto tysięcy mieszkańców, a większość z nich zajmuje się rybołówstwem i handlem na bazarach. Całe miasto składa się z wąskich uliczek wyłożonych straganami, a na jednym z nich, między wor-

kami wypełnionymi przyprawami, przesiaduje Baha al-Deen, ojciec Kalina, starający się utrzymać rodzinę. Jest on bardzo wierzącym i praktykującym muzułmaninem i wkłada wiele wysiłku, by przekazać dzieciom swoje nastawienie do religii. Tak mija dzień za dniem. Chaos, krzyki, handel, bieda, aż w końcu w 1946 roku, kiedy Kalin ma dwa lata, francuskie oddziały wojskowe wycofują się z Libanu, a lokalni przedsiębiorcy zaczynają dostrzegać możliwość sprawowania władzy w swoich małych ojczyznach.

Sajda to miasto, do którego w wyniku palestyńskiego exodusu przybywało coraz więcej uchodźców. Początkowo umieszczano ich w obozach stworzonych z długich szeregów namiotów. Jednak w związku z ciepłym, czy też bardziej neutralnym, przyjęciem po pewnym czasie zaczęły się one zmieniać w budynki mieszkalne, a z biegiem lat wytworzyły nawet własny zarząd, dzięki czemu obozy stały się swoistymi enklawami. Cała rodzina Czerwińskich była przyjaźnie nastawiona do Palestyńczyków. Z czasem mieli oni coraz bardziej podobne spojrzenie na świat, jak również zbliżone poglądy polityczne.

W 1958 roku z inicjatywy libańskich muzułmanów wybucha powstanie. Chcą oni przyłączenia Libanu do Zjednoczonej Republiki Arabskiej, czyli megapaństwa, w którego skład miałyby wchodzić Syria, Egipt i Liban. Baha al-Deen, pragnąc odrodzenia i zjednoczenia krajów arabskich, popiera powstanie i tym samym rozpala błysk w oku swojego syna. Jednak urzędujący prezydent Szamun prosi o pomoc Stany Zjednoczone, które szybko odpowiadają, wysyłając tam pięć tysięcy żołnierzy. Tak zaczyna się długi okres wojny libańsko-libańskiej, w której uczestniczy też rodzina Czerwińskich.

W wieku dwudziestu lat Kalin wyjeżdża do Bejrutu, gdzie zaczyna studia na Uniwersytecie Arabskim. Zainspirowany ojcem, wybiera zarządzanie i marketing. Tam też wstępuje do Arabskiego Ruchu Narodowego, zgodnie z poglądami zakorzenionymi mu w dzieciństwie. Jest on przedsiębiorczym aktywistą, jednak widząc brak możliwości szybkiego rozwoju i zarobienia dużych pieniędzy, po roku rzuca studia i wyjeżdża. Nie tylko on tak robi. Wielu młodych Libańczyków, przytłoczonych złą sytuacją materialną, przenosi się do sąsiedniej Arabii Saudyjskiej, w której podobno spełniają się sny. Kalin nie ma tam żadnych koneksji, więc trudno mu rozpocząć karierę biznesmena. Zaczyna od udzielania korepetycji z matematyki. Tak właśnie poznaje swoją przyszłą żonę, Irakijkę Nidal Bustani, która po dwóch miesiącach znajomości zachodzi w ciążę.

Ich sytuacja materialna nie jest łatwa, ale nadzieja i chęć podbicia świata aż kipią w ciele młodego Kalina. Po kilku miesiącach rozpoczyna on pracę jako księgowy w jednej z saudyjskich firm, w której uczy się jej funkcjonowania i bycia przedsiębiorcą. Pracuje tam trzy lata, żeby w 1969 roku założyć swoją małą firmę podwykonawczą o nazwie Ciconest. Pomaga mu to, że otrzymuje zlecenia z przedsiębiorstwa, w którym był księgowym. Finanse nowej już rodziny Czerwińskich znacznie się poprawiają. Po kilku miesiącach rodzi im się drugi syn, Saad.

Kalin zachowuje się jak pokerzysta. Co więcej, gra o wielkie stawki cudzymi kartami. Już po roku, będąc pewnym kolejnego zlecenia, wykupuje spółkę Oger, a w ciągu kolejnych sześciu miesięcy buduje hotel Massar, dzięki któremu zarabia fortunę i zyskuje sobie przychylność samego króla Arabii. Obraca się w coraz wyższych kręgach, robi coraz poważniejsze interesy.

Wtedy też poznaje Nazik Audi, z którą po kilku miesiącach bierze ślub, porzucając tym samym Nidal. Od tamtej pory kariera Kalina nabiera rozpędu. W Arabii Saudyjskiej sytuacja finansowa jest fantastyczna. Z roku na rok przybywa inwestycji, a wszystkie najlepsze zlecenia zgarnia zaufany już Kalin Czerwiński. Po trzynastu latach emigracji dostaje obywatelstwo Arabii Saudyjskiej i do Libanu wraca jako specjalny wysłannik rodziny królewskiej.

Młody biznesmen poszerza swoje imperium o bankowość i telekomunikację. Nie zgarnia jednak wszystkiego dla siebie. Zachowuje się jak prawdziwy filantrop i podnosi poziom życia dużej części biednego libańskiego społeczeństwa. Tworzy szkoły, kliniki i uniwersytety. Są to piękne gesty, które niosą też oczywiste korzyści, między innymi popularność, którą łatwo przekształcić w poparcie polityczne. Jest on dalekowzrocznym idealistą i wierzy w moc edukacji w zakresie wprowadzania zmian w społeczeństwie, co już po kilku latach przynosi mu wymierne zyski.

Coraz częściej traktowany jest jako filantrop, wręcz zbawca narodu libańskiego. Zwykli ludzie nie patrzą już na prezydenta ani premiera. Uwagę poświęcają człowiekowi czynu i zmian: Kalinowi Czerwińskiemu. W tym okresie cały kraj objęty jest wojną domową. W skrócie można powiedzieć, że walki toczą się między radykalną prawicą, czyli Kataebem, wspieranym przez Izrael, a Organizacją Wyzwolenia Palestyny, współpracującą z Libańskim Ruchem Narodowym.

Z roku na rok konflikt narasta, wciąż dochodzi do nowych zamachów i rozlewu krwi. W związku z obecnością Organizacji Wyzwolenia Palestyny na terenie Libanu 6 czerwca 1982 roku Izrael rozpoczyna inwazję w celu wypchnięcia Palestyńczyków z kraju. By ich do tego zmusić, wojsko zaczyna bombardowanie i oblężenie stolicy, Bejrutu. Tak kończy się pierwsza faza wojny domowej, a lider OWP, Jasir Arafat, ledwo zbiega z ruin. Musi uciekać do USA. Zmniejszenie się wpływów OWP w Libanie skutkuje przejęciem jej zadań przez grupy prosyryjskie, takie jak Hezbollah.

Konflikt zażegnano dopiero w październiku 1989 roku w miejscowości Taif. To wydarzenie kluczowe dla zakończenia wojny domowej, a sam Kalin Czerwiński zasłynął tym, że opłacił wydatki wszystkich stron uczestniczących w konferencji. Wyraził tym samym chęć dialogu i polityczne opanowanie, tak bardzo potrzebne przyszłemu przywódcy Libanu. Społeczeństwo to dostrzega i już dwa lata później, w 1992 roku, Czerwiński zostaje wybrany na premiera libańskiego parlamentu. Tydzień po objęciu urzędu pokazuje swoją wrażliwość na napięcia między religiami, powołując rząd składający się w równej części z chrześcijan i muzułmanów. W skład jego agendy wchodzi również wynegocjowanie umowy pokojowej z Izraelem oraz odbudowanie Libanu do stanu środkowo-wschodniej stolicy handlowej poprzez zainwestowanie dziesięciu miliardów dolarów w naprawę infrastruktury kraju. Kalin nigdy nie przestał być biznesmenem, uważał, że pokój można nie tylko wynegocjować, ale też kupić, co popchnęło go w stronę korupcji. Nie wahał się przed kupowaniem drogi do celu czy to dla Libanu, czy to dla siebie.

W 2004 roku prezydentowi, popieranemu przez Syryjczyków, udaje się przeprowadzić nowelizację konstytucji dającą możliwość przedłużenia kadencji obecnej głowy państwa.

Czerwiński na znak protestu zrzeka się stanowiska, jednak dalej walczy o wzmocnienie suwerenności Libanu i realizację uchwały ONZ zakładającej wycofanie wszelkich sił obcych z obszarów jego ojczyzny. Przez ponad rok z dużymi sukcesami wzbudza w społeczeństwie nastroje antysyryjskie, wskutek czego wzrasta ryzyko zamachu na jego osobę.

Jest 14 lutego 2005 roku, poniedziałek, wczesne popołudnie, Kalin razem z całym konwojem jedzie wzdłuż wybrzeża miasta, a po jego lewej stronie rozpościera się piękny widok na Morze Śródziemne. W końcu skręcają w głąb miasta i przejeżdżają pomiędzy dwoma wysokimi budynkami. Jednym z nich jest Hotel Świętego Jerzego, pod którym stoi czarny SUV wypakowany sześćset osiemdziesięcioma kilogramami materiałów wybuchowych. Siła wybuchu jest tak potężna, że w miejscu eksplozji powstaje prawie pięciometrowy krater. Ginie jeden z najbogatszych ludzi na świecie, filantrop i zbawca narodu libańskiego, wraz ze swoimi ośmioma ochroniarzami.

Pod naciskiem społeczeństwa i Narodów Zjednoczonych dwa miesiące później Syria wycofuje swoje wojska z Libanu, tym samym kończąc dwudziestodziewięcioletnią okupację. Po śmierci Kalin osiąga to, o co walczył za życia.

Ugrupowanie Strumień Przyszłości, na którego czele staje syn Kalina, Saad, zwycięża w wyborach parlamentarnych, a po kilku następnych latach pozwala mu objąć stanowisko szefa rządu. Jego nieudolne sprawowanie władzy doprowadza jednak do kolejnej fali protestów jesienią 2019 roku.

Poszukiwania miejsca dla pomnika nie zajęły mi dużo czasu.

Sądzę, że zostało ono dobrze dobrane. W tle widać meczet, a w charakterystycznym budynku po dawnym kinie prowadzone były wykłady o wolności i prawach obywateli.

Po jakiejś godzinie wróciłem do domu. Od chwili wyjazdu miałem w głowie plan, by robić w każdym kraju mały tatuaż, który pod koniec podróży złożyłby się w całość. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, czy będę to kontynuował, ale Bejrut i historia z więzieniem bez wątpienia zasłużyły na tatuaż.

Na początku porwania udostępniłem Ghassanowi swoją lokalizację na WhatsAppie. Ostatnie przesłane koordynaty prawdopodobnie pokazywały siedzibę Hezbollahu, bo to tam wyłączyli mi telefon. To właśnie zdecydowałem sobie wytatuować na ramieniu: koordynaty miejsca, w którym zniknąłem. W studiu Deep Ink Tattoo chłopakowi, który robił tatuaż, opowiedziałem całą swoją historię. Stwierdził, że mu przykro, ale nawet on nie czuje się bezpiecznie w Burj Barajneh. Jego matka tam mieszka, a kiedy on do niej idzie, ściąga kolczyk, żeby nie prowokować nieprzyjemnych sytuacji. Jego zdaniem miałem szczęście, że zatrzymał mnie Hezbollah, a nie Palestyńczycy. Dzięki temu siedziałem tylko jedną noc, a nie dziesięć dni.

Wróciłem do domu, telefonem zrobiłem zdjęcie swojego ramienia, po czym zadzwoniłem do tatuażysty. Przypomniałem sobie, że w języku arabskim pisze się z prawa do lewa, i bałem się, że jego Photoshop zmienił tekst przy wklejaniu. Nie dość, że wpakowali mnie do więzienia, to jeszcze miałbym na ręce jakieś z dupy cyferki. Ten miły chłopak wytłumaczył mi jednak, że przednia kamera telefonu pokazuje odbicie lustrzane, więc wszystko jest OK.

29 października 2019 roku, wtorek

W końcu jadę na spotkanie z Mariuszem Mieczkowskim. Umówiliśmy się w restauracji o nazwie Karawan, z której rozpościera się przepiękny widok na panoramę miasta. Cały lokal okazał się pusty, a na jego drugim końcu siedział mężczyzna w wieku około czterdziestu lat, z dokładnie wyprasowaną błękitną koszulą i święcącymi zębami. Tak prezentował się zastępca polskiego konsula w Bejrucie. Już przez telefon opowiedziałem mu historię z więzieniem. Wydaje mi się, że to z jej powodu ostatecznie postanowił się ze mną spotkać. Powiedział, że nieczęsto zdarza mu się słyszeć o takich sytuacjach. Myślę, że jest tak dlatego, że ludzie związani z polską ambasadą są zamknięci w swoim środowisku. Podróżują samochodami z czerwonymi blachami od ambasady do własnych mieszkań, czasem zahaczają o prywatne plaże.

Po kilkunastu minutach rozmowy przeszliśmy na interesujący mnie temat uchodźców syryjskich. Niewątpliwie Mariusz posiadał szeroką wiedzę w tym zakresie. Opowiedział mi o tym, jak rząd libański w kwietniu 2019 roku wprowadził definicję zabudowy tymczasowej, która może być wykonana z materiałów stałych, takich jak stal, cegła, pustaki i tym podobne, oraz mieć wysokość maksymalnie dwóch cegieł. Reszta musi być konstrukcją namiotową. W górskiej części kraju, czyli północno-wschodniej, ze względu na opady i możliwe osuwiska rząd wyraził zgodę na wysokość pięciu cegieł.

Organizacje pozarządowe pomagające Syryjczykom już od siedmiu lat asystują w budowaniu ich domów, czyli – bądź co bądź – w tworzeniu stabilnych konstrukcji. Rząd, wprowadzając nowe prawo, przekreślił ich wszystkie dotychczasowe dokonania. Ponadto nie pozwolił na kwestionowanie zapisów ustawy, co w rezultacie mogło skutkować tylko wyburzeniem. Ludzie, którzy nie chcieli się poddać i nie dostosowali wysokości swoich domów, musieli ustąpić miejsca armii i koparkom. Tym samym kilkaset tysięcy uchodźców pozostaje bez dachu nad głową.

Na koniec naszego spotkania Mariusz jeszcze kilkukrotnie przestrzegł mnie przed wyjazdem z Bejrutu ze względu na napiętą sytuację w regionie i blokady drogowe.

Jest późne popołudnie, rozmyślam nad tym, co mi się przydarzyło w Libanie, oraz tym, co usłyszałem przed chwilą od Mariusza. Tymczasem ktoś po drugiej stronie ulicy sprząta balkony ambasady Filipin. Zgodnie z relacjami Ghassana pod ten budynek co jakiś czas przyjeżdżają luksusowe auta z zamożnymi Libańczykami.

Wynajęcie służby z Filipin kosztuje około dwustu dolarów miesięcznie. Tutaj, jak powiedział Ghassan, jest to normalne. Ola dodała, że gdy projektowali budynek wielorodzinny, mieli obowiązek zapewnienia pokoju o powierzchni dwóch metrów kwadratowych – mógł być bez okna – w którym miałaby spać służba. Sami Libańczycy są według mnie leniwi i niechętnie cokolwiek robią. Nawet śmieci wystawiają jedynie na klatkę schodową, żeby ktoś je później zabrał. Gdy jadą autem, nie chce im się wysiadać, więc krzyczą przez okno, by przyniesiono im kawę czy papierosy. Może tak zostali wychowani… Jednak dziwne dla mnie było to, że Mariusz, zastępca konsula, zastanawiał się nad

wynajęciem służby do opieki nad swoimi dziećmi. Nie jest to zakorzenione w polskiej kulturze i w sumie nie wiem, czy warto przechodzić na stronę niewolnictwa.

30 października 2019 roku, środa

Już nie Bejrut, wyjechałem na północ. Ola poleciła mi dwa miejsca w górach. Jedno z nich to takie kolorowe jeziora, coś podobnego do tego, co jest w Sudetach, a drugie – jaskinia z wodospadem. Widoki były niesamowite, a drogi odblokowane (wbrew temu, co mówił zastępca konsula).

Pojechałem jakieś sto kilometrów na północ, później odbiłem na wschód. Pogoda dopisywała, ale wahania temperatur były dość spore. Podczas gdy w Bejrucie było około dwudziestu pięciu stopni, tutaj, w górach, już tylko dziesięć.

Może po dwudziestu minutach turystyki górskiej postanowiłem pojechać do Baloue Balaa, bo tak nazywał się wodospad. Po raz kolejny przekonałem się, że Liban to nie Niemcy. Nie obowiązują tutaj przepisy BHP, a podejście do bezpieczeństwa jest bardzo luźne. Skarpy na pięćdziesiąt… a nawet sto metrów w dół były zabezpieczone nie barierkami, tylko sznurkiem, którego przechodzący musieli się trzymać, by nie spaść. Pode mną sto metrów przepaści, a pięćdziesiąt metrów nade mną naturalne kamienne sklepienie z otworem, z którego leje się woda. Przepiękny, wręcz nieziemski widok.

W drodze powrotnej co chwilę słyszałem strzały, byli to polujący myśliwi. Po trzydziestu kilometrach dojechałem do przymorskiego miasteczka, Kada Dżubajl. To kolejne bardzo turystyczne miejsce. Uliczki, stragany pełne butów – wszystko przygotowane z myślą o bogatych turystach. Zjadłem tam jakiś drogi, zimny obiad i skontaktowałem się ze znajomą Valerii, Glorią, która pracowała dla organizacji UNHCR. Od jakiegoś czasu umawialiśmy się na spotkanie. Zaproponowałem dzisiaj, za godzinę, bo tyle dzieliło mnie od Bejrutu.

Gloria to niesamowicie konkretna osoba. Już po kilku pierwszych zdaniach okazało się, że jej angielski mnie przytłacza. Nie potrafiłem jej odpowiedzieć na wszystkie zadane pytania. Oprócz tego, że dzieliła nas bariera językowa, to jeszcze byłem po całodniowej wycieczce i nie do końca się otrząsnąłem z więziennych przygód. Chociaż brakowało mi słów, słuchałem jej z przyjemnością. Miała dwadzieścia jeden lat, gdy wyjechała do Syrii, gdzie współpracowała z uniwersytetem w Damaszku. Od pięciu lat mieszka już w Bejrucie. Pomimo napiętej sytuacji wciąż chce pomagać tamtejszym uchodźcom. Nauczyła się mówić po arabsku, naprawdę niesamowicie zaangażowana osoba. Nawiązując do mojej historii sprzed kilku dni, opowiedziała mi o tym, jak jej chłopak z Jordanii został zatrzymany za palenie trawy, za co trafił do więzienia na trzy miesiące. Jestem teraz pewny, że trzy miesiące w takich warunkach mogą bez problemu złamać psychikę człowieka. Odkąd nawiązaliśmy kontakt, Gloria przestrzegała mnie, żebym był ostrożny w Libanie. Najpierw myślałem, że przesadza, ale po historii z więzieniem zmieniłem zdanie.

31 października 2019 roku, czwartek

Pojechałem do muzeum sztuki współczesnej, które okazało się zamknięte. Zjadłem obiad w pobliskiej włoskiej restauracji i postanowiłem obejrzeć budynek Saint George, pod którym zabito Haririego. Frontowa fasada była całkowicie zakryta billboardem z napisem „Stop Solidere". Jest to spółka akcyjna odpowiedzialna za odbudowę centralnego dystryktu Bejrutu, wspierana jeszcze przez byłego premiera i znienawidzona przez społeczeństwo za to, że pod przykrywką wielkiej odbudowy państwa pozbawiała ludzi mieszkań. Budynek jest ogromy… To chyba największy pomnik zmarłej osoby, jaki widziałem.

1 listopada 2019 roku, piątek

Kilka dni temu ja miałem gorączkę, a dzisiaj ma ją połowa rodziny Kobroslich. Z tego powodu musieliśmy się wybrać do miejscowości oddalonej o pięćdziesiąt kilometrów, gdzie przyjmuje pediatra Oliviera. Dojechaliśmy do mniej więcej stutysięcznej Sajdy. Kiedy wjeżdżaliśmy do miasta, Ghassan zorganizował nam krótką *kazdurę* po willach bogatych ludzi. Była to jedna z jego ulubionych rozrywek i oczywiście wiązała się z późniejszymi opowieściami i komentarzami. Jeszcze przed wizytą u lekarza wstąpiliśmy do fryzjera. W planach mieliśmy odwiedziny w domu rodzinnym Ghassana, a jego ojciec nie mógł przecież zobaczyć Oliviera bez przystrzyżonych i pokrytych żelem włosków. Tam po raz pierwszy zobaczyłem męską depilację. Smarują zielonym woskiem uszy i nos, a później jednym ruchem sprawiają, że mężczyzna wygląda na zadbanego.

Godzina dwunasta, środek dnia roboczego. Wchodzimy do domu rodzinnego Ghassana, a tam prawdziwie świąteczna atmosfera. Kilkanaście osób, wnuczki, bracia, dzieci czekają na obiad. Mama Ghassana ma sześćdziesiąt parę lat, a wygląda na maksymalnie czterdzieści, taka okrąglutka, puszysta, ale na twarzy nie można dostrzec ani jednej zmarszczki. W kuchni pomaga jej Bantu, dziewczyna na oko dwudziestoletnia, która pochodzi z Etiopii i pracuje dla rodziny od dwóch lat. Włada komunikatywnym angielskim i zarabia dwieście dolarów miesięcznie. Wydaje mi się, że jest dobrze traktowana, bo cały czas widziałem uśmiech na jej twarzy. Okazała się jednak bardzo wstydliwa. Gdy podałem jej rękę, odwróciła się, uśmiechnęła i pochyliła głowę. Bez przerwy chodzi i coś robi, odkurza, myje podłogę. Ojciec Ghassana ma siedemdziesiąt pięć lat i pali papierosa za papierosem. W pewnym momencie odwrócił się i spytał mnie o przygodę z Hezbollahem. Nie czekając na odpowiedź, stwierdził, że on go nie popiera, i zaczął swoje dywagacje na tematy polityczne. Taka pełna chata. Cały czas siedzą przy stole i jedzą, są lekko przy kości i non stop palą.

Ghassan urodził się w Sajdzie. Z łatwością da się dostrzec sentyment, którym darzy to miasto. Po tym, jak zostawiliśmy Oliviera z dziadkami, postanowił oprowadzić mnie po dobrze mu znanych miejscach. Cała rodzina żyje z dwóch sklepików z przyprawami. Podobne sklepy widziałem na starym mieście w Jerozolimie. Duże worki, jak na ziemniaki, wystawione przed straganem. Znajdziesz tam: sól, pieprz, zioła, suszoną paprykę… Zapytałem Ghassana, jak to moż-

liwe, że cała jego rodzina jest w stanie z tego wyżyć. Powiedział, że mogą mieć miesięcznie nawet dwadzieścia tysięcy dolarów obrotu, a koszty znikome. W środku sklepu, przy dużym biurku, siedział jego brat, Rami, palił papierosa, a ludzie po kolei podchodzili, pakowali przyprawy do woreczków i zostawiali zapłatę. Komiczna sytuacja, ale jakoś się z tego utrzymują, najwyraźniej dają radę.

Wybraliśmy się do meczetu, gdzie ściągnęliśmy buty oraz umyliśmy trzy razy stopy, głowę i ręce, jak nakazywały rytuały. Razem z innymi mężczyznami kłanialiśmy się do ziemi, a potem wstawaliśmy i powtarzaliśmy to kilkukrotnie. Na ledowej tablicy przed nami wyświetlały się godziny i minuty kolejnych modlitw. Podobno wszystko było powiązane z ruchem Słońca. Wtedy pierwszy raz widziałem Ghassana poważnego i dorosłego.

Później wąskimi uliczkami, przypominającymi mi te z Burj Barajneh, przeszliśmy na cmentarz. Religia muzułmańska nakazuje, aby pogrzeb zmarłej osoby odbył się nie później niż dwadzieścia cztery godziny od śmierci. Wynika to z klimatu i wysokich temperatur, w których rodził się islam. W pustynnym słońcu ciało szybko zaczyna gnić i tym samym rozwijają się bakterie, które zagrażają ludziom. Zanim jednak pochówek się odbędzie, ciało musi zostać przygotowane. W przeciwieństwie do tego, co znamy z tradycji europejskiej, islam odradza specjalne upiększanie ciała. Oni nie łamią rąk po to, żeby prosto leżały, nie stosują makijażu ani nie zakładają lakierowanych butów. Ponadto nie używa się tutaj drewnianych trumien, tylko białego kawałka płótna, w który owija się nieboszczyka. Muzułmanie układają swoich zmarłych twarzą skierowaną w stronę Mekki, aby w dniu sądu ostatecznego ułatwić im zmartwychwstanie. Tradycja zdecydowanie odradza, by w obrzędach na cmentarzu uczestniczyły kobiety, gdyż przyjmuje się, że pogrzeby powinny się odbywać w ciszy i bez głośnego zawodzenia czy płaczów. Miałem nadzieję, że zobaczymy taki obrządek, ale cmentarz był już przepełniony, a same pochówki zdarzają się tutaj niezwykle rzadko.

Po wszystkim wróciliśmy do domu, gdzie znowu zaczęliśmy rozmawiać, siedząc przy stole i co chwilę coś podjadając. Zapytałem siostrę Ghassana, Nanę, czy nie chce wyjechać z Libanu. Powiedziała, że nie ma takiej opcji, kocha Sajdę, kocha Liban, a ponadto jest zaręczona z chłopakiem, który mieszka w Bejrucie. Przez strajki i protesty bardzo rzadko się spotykają, ostatnio widziała go dwadzieścia cztery dni temu. Nie mogą jeszcze razem mieszkać, bo ojciec jest bardzo surowy wobec swojej jedynej córki, a ona, ku mojemu zdziwieniu, w pełni to akceptuje.

2 listopada 2019 roku, sobota

Mój ostatni dzień w Bejrucie. W centrum handlowym kupiłem kąpielówki na Tajlandię i Wietnam. Razem z Ghassanem i Olivierem poszliśmy na dłuższy spacer po porcie, a następnie wybraliśmy się do restauracji Karawan, która tak bardzo przypadła mi do gustu. Tam, ku swojemu zaskoczeniu, znowu spotkałem Mariusza. Wytłumaczył mi wtedy, że cała polska ambasada się tutaj stołuje. Po krótkiej rozmowie okazało się, że żony polskich dyplomatów są Libanem

zachwycone. Na moje pytanie, jak mogą im nie przeszkadzać brud, stosunek do kobiet czy brak publicznego transportu, odpowiedziały krótko, że nie zwracają na to uwagi. Wspomniały też, że myślą o zatrudnieniu kogoś do pomocy przy pracach domowych.

Połączyliśmy trzy stoliki i zrobiliśmy sobie wielką ucztę. Po posiłku wyszedłem z Mariuszem na papierosa. Opowiedział mi o trudach życia polskiego dyplomaty, o tym, jak bardzo tęskni za pierogami ruskimi i Bożym Narodzeniem, a na koniec poprosił mnie, żebym wysłał mu zdjęcia z dalszych etapów podróży.

Wieczorem Ghassan zamówił szyszę, którą już po kilku minutach przywiózł nam na skuterze jakiś człowiek. Razem z napiwkiem i dwoma smakami wszystko kosztowało dwa dolary, czyli około ośmiu złotych. W końcu dołączyła do nas Ola – po raz pierwszy, odkąd tutaj przyjechałem. Początkowo nie pozwalało na to dziecko, później dzieci, ale teraz udało nam się spędzić przyjemny wieczór, pełen rozmów i wspomnień.

3 listopada 2019 roku, niedziela

Siedzę na lotnisku w Kuwejcie. Podróż zacząłem od małych problemów, bo miałem trzy kilo nadbagażu. Jedyną rzeczą, którą mogłem wyrzucić, był cement do odlewania Kalina, więc w Bangkoku znowu będę musiał znaleźć sklep budowlany. Kiedy się przepakowywałem, ktoś do mnie podszedł i zapytał, czy jestem z Polski. Miał czterdzieści dwa lata, na imię Łukasz i był z Wrocławia! Do Bejrutu przyleciał tylko

na dwa dni, a gdy opowiedziałem mu historię z więzieniem i Hezbollahem, odparł, że za taką przygodę byłby w stanie zapłacić.

W samolocie usiedliśmy razem i podczas wspólnego obiadu usłyszałem historię jego życia. Pod koniec lat 90. stał we Wrocławiu na bramkach przy klubach. Pierwszy seks, jak powiedział, uprawiał z dziwką i jakoś wpadł w taki tryb życia. Mówił, że nie odczuwa głębokich uczuć, wszystko traktuje przedmiotowo. Sam nazywał siebie egoistą, egocentrykiem, ale za to sprawiedliwym. Przełomowym momentem w jego życiu była akcja, w której nie uczestniczył. Chłopacy podobno do niego dzwonili, jednak nie mógł odebrać, bo właśnie pukał się na tylnym siedzeniu samochodu. Mieli kogoś pobić, ale jednemu z nich odbiło, a ponieważ miał broń, to jakoś tak się stało, że zabił człowieka. Wszyscy poszli do więzienia, poza Łukaszem. Nie wiem, na ile koloryzował, ale czułem, że mówi szczerze. Dwa miesiące pracuje jako taksówkarz na lotnisku Kopernika, a miesiąc jeździ po świecie, jak powiedział, zaliczając kolejne kraje. Ma mapę świata z miejscami, które chce odhaczyć. Kilka razy podkreślał, że nie jest zwykłym taksówkarzem, bo wozi VIP-ów z lotniska do miasta. Jest nimi zafascynowany, mówi, że chce się uczyć od ludzi, którzy coś osiągnęli, chce przejąć ich zachowania i styl życia.

Po wylądowaniu w Kuwejcie musiałem czekać na samolot do Bangkoku jeszcze osiem godzin, dlatego miałem nadzieję, że uda mi się wyskoczyć z Łukaszem do centrum miasta. Wydaje mi się, że byłby dobrym przewodnikiem. Nie dali mi jednak wizy. W konsekwencji pożegnałem się z nim i za-

czałem dramatyczne poszukiwania piwa w kraju, w którym nikt nie pije alkoholu.

4 listopada 2019 roku, poniedziałek

Podczas lotu siedziałem obok szwajcarskiego kierowcy TIR-a. Zaraz po przedstawieniu się powiedział, że leci do swojej dziewczyny z Tajlandii. W kolejnym zdaniu wspomniał, że w Europie zarabia pięć tysięcy euro miesięcznie, za co przez rok może się utrzymać razem ze swoją dziewczyną oraz jej rodzicami i kuzynostwem w wiosce położonej dwieście kilometrów na północ od Bangkoku. Pokazał mi zdjęcia ukochanej. Faktycznie piękna, kompletnie niepasująca do szczupłego, podstarzałego typa z brzuszkiem piwnym. Na pierwszy rzut oka takie kupowanie uczuć wydaje się obrzydliwe. Jednak po krótkim researchu dowiedziałem się, że piękne Tajki nierzadko zakochują się w mało urodziwych Europejczykach. W przeciwieństwie do Tajów traktują oni bowiem kobiety z szacunkiem i miłością.

Po wylądowaniu i dwugodzinnej odprawie kupiłem za niecałe dziesięć złotych kartę SIM z internetem. Kiedy już mogłem odpalić na telefonie Google Maps, poczułem się bezpieczny. Koło godziny dwunastej byłem w hotelu. Tam szybko się rozpakowałem i zamówiłem taksówkę. Kierowca, palący papierosa, zatrzymywał się przy kolejnych sklepach budowlanych. Po kliku minutach miałem już dwa kilogramy cementu (po tajsku *pusiment*), kielnię oraz wiadro. Na wszystko wydałem około trzystu pięćdziesięciu batów.

Później razem z moim uśmiechniętym taksówkarzem pojechaliśmy do wypożyczalni skuterów Emma. Właścicielem firmy był Walijczyk, a jego żona, Tajka, prowadziła księgowość. Wypożyczyli mi skuter o pojemności stu dwudziestu pięciu cc, założyłem kask i ruszyłem. Po drodze zatrzymałem się na obiad i piwko, którego co chwilę ktoś mi dolewał. Potem, przejeżdżając obok placu budowy, zwróciłem uwagę na rozsypany piasek. Podszedłem do robotników i zapytałem, czy mógłbym go sobie trochę zabrać. Niewątpliwie wzbudziłem ich zainteresowanie, ale nie widzieli w tym problemu. Wróciłem do hotelu, włożyłem swój uniform i zalałem formę Kalina.

Po dwugodzinnej drzemce pojechałem na zwiedzanie Bangkoku, a zacząłem od dzielnicy Soi Cowboy. Przechadzając się, rozmawiałem z Paulem na WhatsAppie. Wtedy spotkałem przepiękną dziewczynę, która okazała się *ladyboyem*. W trójkę pogadaliśmy, pośmialiśmy się, spaliliśmy po papierosie i poszedłem dalej. Wchodziłem po kolei do klubów: na każdej scenie stało kilkanaście dziewczyn, a nagie kelnerki, łapiąc mnie za rękę, zachęcały do kupna piwa. Co chwilę moją uwagę zwracał napis „ping-pong show". Można wykupić dwadzieścia pięć albo pięćdziesiąt piłeczek, które kobiety wsadzają sobie do pochwy – ty dostajesz rakietkę, a one w ciebie strzelają. W samej dzielnicy spędziłem godzinę, może dwie, wypiłem piwko i pojechałem na Khaosan Road. To najbardziej znana ulica w Bangkoku.

Jest godzina trzecia rano, a ja jem skorpiona na patyku i przeciskam się między ludźmi tańczącymi, śpiewającymi i popijającymi *bucket drink*, czyli takie wiadro pełne

alkoholu. Ruch był niesamowity, do hotelu wróciłem około czwartej.

5 listopada 2019 roku, wtorek

Gdy tylko się obudziłem, wyciągnąłem Kalina z formy. Biały cement idealnie się do tego nadaje, jednak trochę za mało go rozrobiłem, dlatego rzeźba nie miała prostokątnej podstawy i kończyła się na szyi. Ponieważ o godzinie czternastej miałem umówioną wycieczkę rowerową, którą wcześniej zarezerwowałem przez internet, umyłem tylko zęby i wsiadłem na swój skuter. Bangkok okazał się niesamowicie duży. Mimo że mieszkałem w centrum, do każdego celu miałem około trzydziestu kilometrów. To tak, jakbym z Lwówka za każdym razem musiał jeździć do Jeleniej Góry.

Spóźniłem się, moja grupa już odjechała, ale właściciel biura był na tyle miły, że dowiózł mnie do niej skróconą drogą. Naszym przewodnikiem był Black, tak kazał do siebie mówić, mimo że jego prawdziwe imię to Soszoł Kan. Zabrał nas do lokalnej – slumsowej – restauracji, gdzie w trakcie rozmowy próbowaliśmy różnych potraw. Wtedy dowiedziałem się, że Tajowie zarabiają około piętnastu tysięcy batów miesięcznie, co daje tysiąc pięćset złotych. Black ponarzekał trochę na koszty utrzymania w stolicy Tajlandii. Po posiłku odłączyliśmy się od reszty grupy i wyszliśmy na papierosa. W pewnym momencie, tak jakby z dumą, wskazał na swój czarny plecak i powiedział: „Wiesz, co ja w tym plecaku przewoziłem? Półtora kilograma metamfetaminy". Mówił, że kiedyś był trenerem nurkowania i jednocześnie przemytnikiem narkotyków na granicy pomiędzy Tajlandią a Malezją.

Po obiedzie, przeciskając się wąskimi uliczkami, pojechaliśmy do świątyni w kształcie wielkiego złotego Buddy. W środku było muzeum. Pomimo mistycznej atmosfery wszystko wyglądało plastikowo, pewnie przez bezsensowne eksponaty. Można było tam zobaczyć między innymi kolekcję zegarków czy też lasek, którymi podpierali się członkowie rodziny królewskiej. Chyba wszyscy to zauważyliśmy, bo po wyjściu w naszej grupie zapanowała dużo luźniejsza atmosfera, nie mogliśmy przestać się śmiać. Największą atrakcją tej wycieczki było przeciskanie się między straganami, kiedy próbowaliśmy nadążyć za naszym – obytym z takimi warunkami – przewodnikiem.

Ludzie w Bangkoku wystawiają przed domy kompletnie bezużyteczne bibeloty na sprzedaż. Nie mam pojęcia, kto to kupuje i jak można na tym zarabiać. Po pożegnaniu z Australijczykiem Jimem i parą z kraju, którego nazwy nawet nie pamiętam (jakaś wyspa między Filipinami a Japonią), wsiadłem na skuter i pojechałem do polecanego przez Blacka wieżowca Sky Tower. Tutaj nagrywano *Kac Vegas*. Podziwiając przepiękną panoramę miasta, wypiłem whisky za tysiąc dwieście batów i zagryzłem ją potrójną porcją darmowych orzeszków i oliwek. Atmosfera była co najmniej dziwna. Dookoła mnie same Włoszki w podeszłym wieku z dużymi dekoltami, obsługiwane przez młodych tajskich adoratorów z wyżelowanymi włosami.

Stamtąd pojechałem do dzielnicy RCA. Znajdują się tam są najbardziej znane kluby w Bangkoku, takie jak Onyx czy Ro-

ute 66. Była jednak dwudziesta druga, więc trochę za wcześnie. Wtedy naprzeciwko zobaczyłem salon z masażem. Do tej pory obawiałem się takich miejsc, myśląc, że większość z nich świadczy usługi seksualne, ale miałem jeszcze godzinę do otwarcia klubu i plecy zmęczone całodziennym noszeniem plecaka, więc spróbowałem. Drzwi otworzyła starsza pani i zaproponowała mi tajską herbatę, po czym zapytała: „Trzydzieści czy sześćdziesiąt minut?". Najpierw powiedziałem: „trzydzieści", ale po pierwszych pięciu minutach masażu poprosiłem o godzinę. Ze studia po prostu wyleciałem jak nowo narodzony prosto do Route 66. Tam zachwycił mnie wystrój. Lampy, oświetlenie, wizualizacje czy projekcje na kurtynach dymnych… Wszystko to, pomimo tandetnej muzyki, robiło wielkie wrażenie.

Było już bardzo późno, więc postanowiłem wrócić do domu. Jadąc skuterkiem, trzymałem nawigację między nogami, nieumyślnie ją włączając i wyłączając, co czasem skutkowało wjeżdżaniem na drogę szybkiego ruchu. I tak pewnie zamiast trzydziestu zrobiłem sześćdziesiąt kilometrów, a po drodze zahaczyłem o bardzo zdegradowane dzielnice. Kiedy się zatrzymywałem, żeby sprawdzić drogę, podchodziły do mnie prostytutki i proponowały mi swoje usługi. Raz, zaskoczony, przewróciłem się razem ze skuterem i wpadłem w jakieś koryto z odwodnieniem i kanalizacją.

Trzy kilometry przed hotelem zatrzymałem się przy wózku z jedzeniem, który prowadziła babcia w wieku około siedemdziesięciu lat. Była bardzo miła, nawet dała mi w prezencie łyżkę, żebym mógł spokojnie zjeść w hotelu. Jechałem i co chwilę spoglądałem na kupione jedzenie, które wyglądało jak brudna woda w worku. Pomyślałem, że jednak wolę nie ryzykować. Paczkę zostawiłem gdzieś pod śmietnikiem i zatrzymałem się w knajpie przed hotelem, gdzie zamówiłem piwo. Przy stoliku obok siedziały trzy osoby, chyba rodzeństwo. Wszyscy w wieku około dwudziestu pięciu, może trzydziestu lat. Chłopak, kierowca taksówki, z uszkodzoną jedynką, dziewczyna obok, nie wiedzieć czemu udająca jego narzeczoną, i ta druga, która chyba starała się mnie zamęczyć swoim beznadziejnym angielskim. Była już pijana i niezwykle upierdliwa. Jedynym pozytywnym akcentem tej kolacji było to, że nauczyłem ją mówić „digongo" (pierwsze słowo wypowiedziane przeze mnie na tym świecie). Przedziwna sytuacja, nie do końca rozumiałem ich poczucie humoru. Zjadłem, wypiłem kieliszek wódki z lokalnym menelem, po czym wróciłem do hotelu.

6 listopada 2019 roku, środa

Trzeci dzień w Bangkoku. Wstałem późno, bo dalej odczuwałem zmianę czasu. O godzinie trzynastej wyruszyłem na poszukiwania odpowiedniego miejsca dla pomnika. Plecak był bardzo ciężki, sama forma ważyła około dwudziestu kilogramów. Zaparkowałem na – wydaje mi się – nielegalnym parkingu, po czym chciałem przygotować sobie klej, który miałem w tubce. Jednak gdy nacisnąłem pistolet, wyleciała zatyczka i oblałem nie tylko swój skuter, ale też pięć innych. Naprzeciwko stał kierowca autobusu i uśmiechał się do mnie, a ja zawstydzony spytałem, czy ma może chusteczkę.

Po krótkim spacerze znalazłem postument przy głównym

wejściu do Wat Pho, czyli jednej z największych i najstarszych świątyń w Bangkoku. Jest w niej ponad tysiąc wizerunków Buddy, w tym ten słynny, leżący. Postument, przed którym stałem, służył chyba do zaglądania za mury świątyni. Ja jednak pomyślałem, że dla przechodniów może być idealnym miejscem do oglądania Kalina. Trochę się bałem, bo znajdował się naprzeciwko Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ministerstwa Obrony Narodowej, których teren patrolowała armia żołnierzy.

Oparłem się o murek i na chwilę usiadłem, żeby rozważyć wszystkie za i przeciw. Rozpakowałem jeszcze raz klej i zauważyłem, że dookoła jest bardzo dużo tuk tuków. To chyba było ich miejsce do odbioru turystów. Początkowo kierowcy spoglądali na mnie podejrzliwie, ale już po dziesięciu minutach pili ze mną coca-colę, którą zresztą wszystkim kupiłem. Zapytałem, czy jeśli postawię na postumencie głowę, którą właśnie trzymam, to będą mogli mnie sfotografować. Wyciągnąłem portfel i dałem każdemu po sto batów. Ustawienie pomnika poszło bardzo sprawnie, a odzew turystów był natychmiastowy. Co kilkanaście sekund ktoś podchodził, by zrobić sobie z nim zdjęcie. Teraz w świątyni Wat Pho można znaleźć tysiąc pomników Buddy i jednego Kalina.

Kalin Czerwiński – 13°44'48.5"N 100°29'39"E

9 czerwca 1981 roku, mała wioska w prowincji Chiang Mai. Temperatura sięga trzydziestu pięciu stopni, a powietrze jest wilgotne i gorące. Całe pomieszczenie wypełniają odgłosy kropli odbijających się od blaszanego dachu. To bardziej wiata niż budynek. Co chwilę ktoś przechodzi obok do podwórkowej toalety i nieśmiało zagląda do środka. Właśnie w takich warunkach rodzi się Kalin Czerwiński. Jego rodzice nie odnajdują się w tym świecie. Od kilku miesięcy nieustannie przemieszczają się w poszukiwaniu jakiejś tymczasowej pracy, a sam Kalin jest bardziej wynikiem przypadkowego seksu po ciężkim dniu pracy na polu ryżowym niż owocem wielkiej miłości – bez wątpienia to ubóstwo scementowało związek jego matki z ojcem.

Ojciec ma dwie lewe ręce i zdecydowanie nie radzi sobie w życiu. Wciąż szuka nowych wymówek, unika nawet krótkich, sezonowych prac. Matka z obawy, że umrą z głodu, już dwa dni po porodzie idzie do pobliskiego farmera, by poprosić go o pracę. Nie jest zła na męża, robi to bardziej instynktownie, tak jakby akceptowała jego bezradność. Udaje jej się. Od tej pory wstaje o szóstej rano, karmi piersią małego i przez kolejne dziesięć godzin zajmuje się młóceniem ryżu. Po powrocie jest bogatsza o osiemdziesiąt batów i malutką miseczkę ryżu, którą udało jej się ukraść. W wiacie, którą opuściła o wschodzie słońca, nic się nie zmieniło, jakby zatrzymał się tam czas. Kalin leży na prowizorycznym, malutkim łóżeczku, osłoniętym ścianką uformowaną ze starych mebli, a mąż siedzi na krześle, patrzy na dość ruchliwą, jak na tę wioskę, ulicę i obserwuje padający deszcz.

Przez kolejne trzy lata każdy dzień wygląda tak samo, oprócz tego, że od pierwszego roku życia Kalin zdobywa coraz szersze terytoria. Na początku pełza, później raczkuje, a po trzech latach biega z kijem po podwórku i ogłasza, że jest królem wioski. Po następnych kilku latach biednego, ale też beztroskiego dzieciństwa, chcąc pomóc matce w utrzymaniu rodziny, wstępuje do zakonu, gdzie – ogolony na łyso, w pomarańczowej sutannie

– zajmuje się żebractwem. Ponadto od mnichów dostaje jedzenie, które pod koniec dnia przynosi swojej rodzinie. Poza strawą stara się też zapewnić krewnym rozrywkę. Przebiera się za malutką kobietę, maluje się szminką i odstawia z dnia na dzień coraz bardziej urozmaicany teatrzyk. Matka pęka ze śmiechu, a ojciec spogląda z niepokojem, obawiając się, że Kalin okaże się kathoey – tak nazywa się w Tajlandii osobę identyfikującą się z płcią przeciwną lub wykazującą jej cechy biologiczne. Jego obawy z każdym przedstawieniem są bardziej zasadne. Kalin zapuszcza włosy, dba o cerę, podkrada ubrania matce, i to już nie tylko w ramach wieczornego teatrzyku.

Jako dwunastolatek razem z koleżanką wybiera się na miejski festyn, którego główną atrakcją są walki muay thai. Tam, skuszony nagrodą wysokości pięciuset batów, czyli tygodniową wypłatą jego matki, po prostu wbiega na ring, gdzie ku zdziwieniu wszystkich, mimo swojej wątłej sylwetki, wygrywa turniej. Z dumą przynosi do domu obfitą kolację i z podbitym okiem opowiada o atrakcjach tego wieczoru. Od tamtej pory nie myśli już o żebraniu ani zbieraniu ryżu. Chce ćwiczyć, walczyć i zarabiać więcej. Jego chęć bycia delikatniejszym, lżejszym – bycia kobietą – rozwija się równolegle z pragnieniem walki i zwyciężania. O świcie chodzi na treningi muay thai, a po południu jedzie do pobliskiego miasta, żeby kupić sobie puder czy szminkę, udając, że to dla jego mamy. Z tygodnia na tydzień odnosi coraz większe sukcesy, dlatego trener proponuje mu, żeby zamieszkał w obozie razem z innymi zawodowcami. W ten sposób spełnia się marzenie Kalina, ale pojawia się też zagrożenie: musi żyć bardzo blisko z nabuzowanymi, młodymi chłopakami, korzystać ze wspólnego prysznica i wymykać się z internatu, żeby podglądać dziewczyny. Nie są dla niego obiektami pożądania,

ale raczej wzorami do naśladowania, wręcz ideałami, do których chciałby dołączyć. Jego rówieśnicy oczywiście zauważają, że coś jest nie tak, i po którejś z kolei wygranej walce Kalina, może w ramach żartu, może z zawiści, zabierają go na wieczór z prostytutką.

Jego stale uwydatniające się kobiece cechy pozbawiają trenera wiary, że zobaczy, jak jego szesnastoletnia gwiazda z chłopca staje się mężczyzną. Jest inaczej: Kalin z chłopca staje się kobietą. Trener nie ma jednak nic przeciwko temu i robi z tego nie lada show w ramach promocji. W walkach muay thai chodzi nie tylko o zwyciężanie, ale też o wykreowanie postaci, która przyciągnie do siebie rzesze fanów, widzów, a w konsekwencji i pieniądze. Wspólnie z trenerem ustalają, że nie będą zmieniali jego sposobu walki, czyli zostawią styl zwierzęcy, zacięty, cały czas przypominający jego pierwszą walkę o pięćset batów na kolację dla rodziny, jednak równocześnie będą starali się podkreślić jego kobiecość. To właśnie trener wymyślił, by Kalin nosił makijaż i prezentował bardziej efektowną wersję tańca przed walką.

Pod koniec marca 1998 roku, w wieku szesnastu lat, stoczył on chyba najbardziej znaczącą walkę w swojej karierze, i to nie dlatego, że jak zwykle wygrał, tylko dlatego, że znokautował przeciwnika, pochylił się nad nim i pocałował go w policzek, zostawiając na nim ślady szminki. Mówił, że to wyraz współczucia i miłości. Od tamtej pory stało się to pewnym rytuałem, a przegrani, nie dość, że upokorzeni fizycznie, nie potrafili sobie z tym poradzić psychicznie. Był to jakby ostatni cios rujnujący karierę, bo publiczność wykrzykiwała do swoich niedawnych ulubieńców, że zostali pokonani przez kobietę.

W Tajlandii kathoey *jest zjawiskiem akceptowanym społecznie, jednak do pewnych granic. W Bangkoku bez problemu można przeprowadzić operację zmiany płci, lecz jeśli urodziło się mężczyzną, to w dowodzie osobistym na zawsze pozostanie taka informacja. Można wprowadzić jedynie inny zapis, oznaczający tę trzecią opcję, ale nigdy nie można formalnie stać się kobietą. Rodzi to niezliczoną ilość problemów, takich jak pobór do wojska mężczyzn delikatnych i uważających się za pełnoprawne kobiety. Po osiągnięciu szczytu w tajskim boksie Kalin, zdając sobie sprawę ze wszystkich zagrożeń, postanawia zrealizować swoje drugie marzenie i po kilkumiesięcznej terapii hormonalnej decyduje się na zmianę płci. Nie jest to takie łatwe. Zgodę muszą wyrazić jego rodzice, a ojcu, który z niepokojem patrzył na wieczorne teatrzyki, ręka drży także przy podpisywaniu dokumentów z pozwoleniem na przeprowadzenie operacji. Udaje się jednak. W 1999 roku Kalin kończy karierę bokserską, staje się kobietą, adoptuje dziecko i odtąd przy pełnym poparciu społeczeństwa prowadzi życie celebrytki, Kaliny Czerwińskiej.*

Słońce zachodziło, a złotem zdobione pagody pięknie odbijały światło. Czułem się dobrze. To właściwy czas na zwiedzanie świątyni Wat Pho. Nie było już tam tłumów, spotykałem kogoś może raz na kilka minut. Nie mogłem przestać robić zdjęć i wtedy zza rogu wybiegł czarny kotek, a za nim truchtał mnich buddyjski, trzymając drugiego kota, szarego, na rękach. Posiedziałem jeszcze chwilę w spokoju, głęboko pooddychałem i wróciłem do swojego skutera.

W drodze powrotnej pojechałem do dzielnicy Chinatown.

Teraz siedzę w jakiejś knajpce, piję piwo i czekam na swoją kolej, żeby wsadzić stopy do akwarium z rybkami obgryzającymi martwy naskórek.

7 listopada 2019 roku, czwartek

Po drodze do Bangkok Art and Culture Centre zatrzymałem się na śniadanie w lokalnym fast foodzie. Była to kuchenka gazowa, a obok niej drewniany stolik. Zamówiłem jedzenie i poprosiłem o szklankę wody. Kucharz powiedział, żebym ją sobie nalał z naczynia ustawionego kilka metrów dalej. Podszedłem więc do dużego garnka wypełnionego zimną wodą, złapałem jeden z kubków i zacząłem pić. Wtedy z oddali usłyszałem głos kucharza wykrzykującego, że woda pitna jest w drugim pojemniku. Dokładnie w tym momencie w moim żołądku zaczęło się coś gotować. Ledwo powstrzymałem się od wymiotów, ale chęć wróciła, bo po kilku minutach sprzedawca przyniósł mi przypalony makaron. W głowie mam takie bardzo wyraziste wspomnienie, jak babcia Gienia podaje mi odgrzewany obiad ze spalonej patelni. Miło było pomyśleć o babci i powrotach ze szkoły, podczas gdy sam siedziałem wśród krzykliwych Tajów na ruchliwej ulicy.

Obok mnie siedziało małżeństwo z państwa leżącego w górach i graniczącego z Nepalem (znowu nie pamiętam nazwy). Mężczyzna powiedział, że cały czas biega po górach, bo tam właśnie mieszka, ale na Mount Everest nie wszedł, i wtedy się uśmiechnął. Para przyjechała do Bangkoku, ponieważ tutaj jest ponoć bardzo dobra opieka medyczna,

a dziecko będzie miało zapewnione odpowiednie warunki do przyjścia na świat.

Ze względu na problemy żołądkowe, nie skończywszy śniadania, wybrałem się na wystawę „Prostytucja to normalna praca", składającą się z kilku ładnych zdjęć podpisanych „Work is work", „Work to do" i tym podobne. Po jakiejś godzinie czy dwóch, pełny zrozumienia dla tajskich prostytutek, przechodziłem obok śniadaniowego stoiska, a pod stołem zobaczyłem swoje drogie, bo przecież kupione na wyprawę życia, okulary. Zadowolony, że udało mi się je znaleźć, wsiadłem na skuter i zacząłem błądzić po tutejszych uliczkach.

W planach miałem zobaczenie domu amerykańskiego szpiega, Jima Thompsona. GPS pokazywał, że jestem na miejscu, ale musiałem przejechać całą dzielnicę oraz zrobić trzy i pół kilometra, by dojechać do drugiej strony ślepej uliczki. Pan Thompson początkowo był szpiegiem, ale zafascynował się Tajlandią i samym Bangkokiem, gdzie postanowił osiąść. Tutaj też rozpoczął produkcję tajskiego jedwabiu, który skutecznie promował na cały świat: wymyślał coraz nowsze patenty, wzbogacał wzornictwo, łączył kulturę chińską z tajską, a następnie sprzedawał to wszystko na rynku amerykańskim. Tak stał się milionerem, żeby w roku 1967 zniknąć w malezyjskich górach. Teraz jego dom to jedna z głównych atrakcji w Bangkoku.

Na obiad poszedłem do szkoły podstawowej, którą przypadkiem zobaczyłem, gdy jechałem już do hotelu. Nie było to turystyczne miejsce, dzięki czemu za dwadzieścia batów, czyli za jakieś dwa złote, z gromadką dzieci zjadłem ramen – mięso z makaronem zalane wodą. Wszystko to popiłem mlekiem. Wtedy zorientowałem się, że za czterdzieści minut zamykają wypożyczalnię skuterów, a to przecież mój ostatni dzień w Bangkoku. Przyznam, że po tych kilku ostatnich dniach prób i błędów prowadziłem już jak lokalny kierowca. Po tym, jak na czas dotarłem do walijskiego biznesmena, spacerem poszedłem w stronę hotelu. Miałem dobre wspomnienia po ostatnim masażu, więc wszedłem do kolejnego salonu. Tym razem jednak odniosłem wrażenie, że siedemdziesięcioletnia kobieta chce połamać mi kości. Po czterdziestu minutach wyszedłem stamtąd, czując się jak pobity.

8 listopada 2019 roku, piątek

Sajgon. Po drodze z lotniska poprosiłem taksówkarza o pomoc w znalezieniu sklepu z cementem. Początkowo starał się wykręcić, tak jakby nie chciał na mnie zarobić, mimo że proponowałem mu coraz większe pieniądze. W pewnym momencie zatrzymał się i powiedział, żebym spróbował w tym sklepie po prawej. Tak też zrobiłem, ale ekspedientka odesłała mnie do sklepu po drugiej stronie ulicy. Tam kupiłem cement, a przebiegła obsługa zapytała, czy nie potrzebuję piasku, wiadra i kielni, na co przytaknąłem i poprosiłem jeszcze o klej. Zapakowałem wszystko do swojego nowego wiadra, wróciłem na drugą stronę ulicy, po czym wsiadłem do białego auta.

Kierowca popatrzył na mnie, ale nie ruszał, dopóki nie krzyknąłem: „No jedź!". Przejechaliśmy może z pięćdziesiąt metrów, gdy usłyszałem, że ktoś wali w bagażnik samocho-

du. To był mój pierwszy kierowca, który miał moje rzeczy w bagażniku, a teraz nas gonił, bo obserwował całą sytuację. Zajrzał przez okno: okazało się, że siedzę z głupim uśmiechem i wiadrem cementu na tylnej kanapie niewłaściwej taksówki. W dodatku kiedy z niej wyszedłem, znowu wsiadłem nie do tego auta. Wtedy mój kierowca popatrzył na mnie jak na wariata, a ja po prostu – wydaje mi się – byłem przeszczęśliwy, że udało mi się zdobyć wszystkie materiały na budowę Kalina.

Zatrzymałem się w hotelu Ambasador. Boy hotelowy nie tylko wniósł mi bagaż i zorganizował skuter, ale też zabrał moje brudne ubrania do pobliskiej pralni. W tajskiej wypożyczalni skuterów mówili, że Bangkok to pestka w porównaniu z Wietnamem, i mieli rację. Na głowie miałem materiałowy czepek zamiast kasku, palca nie spuszczałem z klaksonu i jeździłem razem z innymi kierowcami na czerwonym świetle, powoli zakochując się w Ho Chi Minh. W hotelu zalałem formę Kalina, a zasypiając, cały czas słyszałem ulicznych sprzedawców: *miao ciao hao*.

9 listopada 2019 roku, sobota

Już o siódmej trzydzieści wyjechałem na wycieczkę zorganizowaną przez biuro, którego siedziba mieściła się niedaleko hotelu. Zapłaciłem dwieście tysięcy dongów, czyli jakieś czterdzieści złotych. Pierwszym punktem podróży była świątynia, w której wszyscy wierni byli ubrani na biało i nosili typowe dla Wietnamu słomiane kapelusze.

Kiedy zamykam swoją pracownię we Wrocławiu, szarpię za klamkę, licząc trzy razy do trzech i cztery razy do pięciu. Zaczęło się to jeszcze na zielonej szkole, gdy wmówiłem sobie, że jeśli nie poprawię pościeli cztery razy przed zaśnięciem, to moi rodzice umrą. To wszystko wydaje mi się niczym w zestawieniu z absurdalną sytuacją, którą spotkałem tutaj. Patrząc na zachowanie ludzi przed świątynią, miałem wrażenie, że oni wszyscy popadli w paranoję. Podczas wspólnej modlitwy kapłan, używając gwizdka jak do sterowania ruchem, przepędzał wszystkich ludzi, którzy próbowali przekroczyć linię świątyni. Idąc tak wzdłuż sztucznie utworzonej przez nawet nie wiem jaką religię granicy, oddaliłem się trochę od kościoła. Wtedy zauważyłem rozgięte kraty w ogrodzeniu, a za nimi duży park i mnóstwo skaczących małych małpek. Przecisnąłem się między barierkami i po kilkunastu minutach spaceru tym specyficznym parkiem zobaczyłem hamak. Bujał się w nim chyba bezdomny z tego małego miasteczka, a obok niego siedziała malutka Wietnamka w podeszłym wieku. Nie miała połowy zębów, ale za to uśmiech od ucha do ucha. Próbowałem z nimi porozmawiać. Ja po angielsku (trochę po polsku), oni po wietnamsku, śmialiśmy się do rozpuku.

Przewodnikiem mojej grupy był Miki. Dwudziestosiedmioletni chudzielec w znoszonych butach i rozdartych spodniach. Co chwilę starał się nas rozbawić, ale tak jak w Tajlandii nie było mi łatwo zrozumieć ich poczucia humoru. Pojechaliśmy na obiad, chyba każdy z naszej wycieczki zamówił piwo albo dwa i w końcu wszyscy zaczęli ze sobą rozmawiać. Po tym, jak dotarliśmy do Cu Chi, miejsca, na które czekałem, bo słyszałem, że można tam spróbować strzelania z prawdziwej ciężkiej broni, Miki zrobił nam

wstęp. Przedstawił krótki rys historyczny, w którym dokładnie wyjaśnił, że nie istnieje coś takiego jak wojna wietnamska, jest tylko wojna amerykańska. Następnie pokazał nam wszystkie wynalazki żołnierzy z Wietkongu, pułapki zbudowane z bambusa, linek czy gwoździ, wyglądające trochę jak średniowieczne maszyny tortur. Cała armia komunistów zaopatrzona była jedynie w broń, którą udało im się ukraść od Amerykanów albo skonstruować własnoręcznie.

Kolejnym punktem wycieczki były tunele. Szedłem zaraz za lokalnym przewodnikiem, a za mną lekko schorowana muzułmanka przy kości. Wszyscy dziwiliśmy się, że chce zejść pod ziemię, ale ona obstawała przy swoim. Po dziesięciu metrach obróciła się i nie wiedzieć czemu zaczęła iść tyłem. Czekałem z przewodnikiem na końcu tunelu i tylko patrzyliśmy, jak klinuje się coraz bardziej. Jakimś cudem cała grupa wyszła jednak z podziemi i mogłem w końcu sprawdzić, ile waży AK-47. Trochę dużo to jednak kosztowało, bo za dziesięć nabojów trzeba było zapłacić ponad sto złotych, a żeby je wystrzelać, wystarczyło tylko kilka sekund.

Po wszystkim wróciliśmy do autobusu, starsza Australijka wyciągnęła kapelusz i zaczęła zbierać napiwki dla Mikiego. Każdy z nas wrzucił po dziesięć dolarów, a on popłakał się, odbierając pieniądze. Po powrocie do Sajgonu zdrzemnąłem się trochę, by późnym wieczorem pojechać na lotnisko po Valerię.

10 listopada 2019 roku, niedziela

Poranek. Dzień zaczęliśmy od przejażdżki skuterem.

Już wczoraj w drodze z lotniska Valeria bardzo pozytywnie mnie zaskoczyła. Nie musiałem jej długo namawiać, żeby ryzykując życie, jeździła ze mną po ulicach Ho Chi Minh. Z biegiem czasu stało się to dla nas jedną z głównych atrakcji.

Pojechaliśmy na cmentarz. Tam na parking zapraszali nas wychudzeni ludzie bez zębów, z dużym prawdopodobieństwem heroiniści. Ja przeżyłem ten szok już kilka dni wcześniej, ale wiedziałem, że dla Valerii są to pierwsze doznania z Wietnamu. Sprawiało mi to szaloną radość, bo nie wiadomo dlaczego byłem prawie pewny, że przebije się ona przez biedę, brud czy gorące powietrze i powoli zakocha się w tym klimacie, tak samo jak ja. Początkowo współczujesz tym wszystkim ludziom, ale po chwili dostrzegasz w powykręcanym z bólu grymasie twarzy szczery uśmiech czy łzę w oku. Obok nich widzisz malutkie kotki, przywiązane za szyję cienkim, krótkim sznurkiem wykonanym z folii. Myślisz, że one cierpią, ale podchodzisz, zaczynają się do ciebie łasić i zdajesz sobie sprawę, że innego życia nie znają, dla nich jest to naturalne. Wkrótce składasz broń i nie chcesz zmieniać Wietnamu, tylko go poznawać i starać się zrozumieć.

Minęliśmy pomnik obsypany sztucznymi kwiatami i doszliśmy do wejścia, gdzie pośrodku leżał obrzmiały pies. Wyglądał na naprawdę schorowanego. Ktoś z wnętrza krzyknął, żebyśmy zdjęli buty. Przeciskając się obok grubego psa, weszliśmy do pomieszczenia, którego ściany wyłożone były urnami, a przed nimi stały czarno-białe zdjęcia ludzi z zapadniętymi oczami. Następny pokój ukazał cał-

kowicie inny obraz. Były tam trzy kobiety. Krzyczały. Jedna z nich obierała ryby, druga mieszała coś w garnku, a trzecia sikała szlauchem po posadzce. Nie wiem, czy to był cmentarz, czy zaplecze kuchni. Musieliśmy ściągnąć buty, by okazać szacunek, co skutkowało tym, że później w skarpetkach przechodziliśmy przez toaletę z zalaną podłogą.

Stamtąd pojechaliśmy na największy bazar w mieście. Podczas przechadzki naszą uwagę przykuły streetfoodowe jedzenie i zachowanie kucharzy, którzy gotując, obcinali sobie paznokcie u stóp czy z pęsetą w ręku wyszukiwali wszy we włosach. W pewnym momencie usłyszałem: „Hey, Kris! Look!". Odwróciłem się, a tam grubszy pan, w wieku pięćdziesięciu lat, z uśmiechem na twarzy, wyciskał pryszcz na plecach swojego rówieśnika.

Pośrodku bazaru było patio, a jego centrum zdobiły cztery smoki. Dwa po północnej stronie i dwa po południowej. Siedliśmy na ławce naprzeciwko, a ja wyciągnąłem puszkę z klejem dwuskładnikowym. Myślałem, że nie będę robił tutaj bałaganu, dlatego po prostu wycisnąłem całą tubkę do puszki i zacząłem go w niej rozrabiać. Gdy byłem już gotowy i chciałem przygotować marmurowe podłoże, do smoków podeszła matka z dzieckiem, po czym zaczęli robić sobie zdjęcia. W tym czasie puszka z klejem przez niezrozumiałe dla mnie reakcje chemiczne coraz bardziej rozgrzewała się w moich dłoniach. Kiedy miejsce było już wolne, klej stał się twardy jak kamień. Trochę zirytowany poprosiłem Valerię, żeby poczekała z Kalinem, a ja rozpocząłem poszukiwania sklepu budowlanego.

Już po kilku minutach okazało się, że na bazarze, na którym się znajdujemy, można kupić tylko jedzenie. Lokalni sprzedawcy przekierowali mnie do jakiegoś innego miejsca, oddalonego o dwa kilometry. Puszka przykleiła mi się ręki, a resztka kleju wylała się na moją prawą nogawkę. Byłem spocony, brudny i już niesamowicie podirytowany. W końcu udało mi się kupić dokładnie taki sam klej jak wcześniej, o nazwie Dragon Glue. Wróciłem do Valerii, która właśnie wpatrywała się w kobietę zwracającą swój obiad bezpośrednio przy naszej ławce. Szybko przygotowałem podłoże, na którym przykleiliśmy głowę Kalina.

Kalin Czerwiński – 10°44'57.8"N 106°39'3.5"E

19 maja 1893 roku, Hoang Tru, mała wioska pięć kilometrów od Vinh. W drewnianej chacie z dachem z liści palmowych poprzeplatanych bambusem rodzi się Kalin Czerwiński. Warunki panujące w domu w porównaniu z resztą społeczeństwa są bardzo dobre. Jego ojciec, Sinh Sac, jest w końcu cesarskim sędzią. Niezwykle surowym, co w oczach władzy czyni go jeszcze bardziej wartościowym. Mały Kalin dorasta u boku starszego o dwa lata brata i młodszej siostry. Dzieciństwo ma dostatnie i beztroskie. Rodzeństwo z pasją poznaje świat, a każdy nowy dzień to kolejna przygoda. Ojciec jest konfucjańskim uczonym. Oznacza to, że głęboko wierzy w hierarchię społeczną, w której sam znajduje się dość wysoko. Przestrzega tradycji, czystości, ładu i porządku. Ponadto swoim dzieciom przekazał najważniejszą wiedzę: jak słuchać ludzi i w jaki sposób to później wykorzystać. W edukacji swoich podopiecznych duży nacisk kładzie również na samorozwój i naukę języków, co sprowadza się głównie do wysłuchiwania szerszego grona ludzi i uczenia się

od nich.

W wieku dziesięciu lat, zgodnie z konfucjańską tradycją, Kalin otrzymuje nowe imię, Kalin Zrealizowany. Jego sytuacja zmienia się, gdy ojciec zostaje zdegradowany za nadużycie władzy po tym, jak lokalny wpływowy człowiek umarł w wyniku nałożonej na niego kary. Po jakimś czasie Sinh Sac dostaje propozycję pracy jako cesarski biurokrata, ale odmawia, ponieważ nie chce być całkowicie podporządkowany Francuzom. Podejście ojca sprawia, że Kalin już od młodości jest buntowniczo nastawiony do okupantów.

Mimo to otrzymuje francuską edukację w Quoc Hoc of Hue (liceum dla dzieci uzdolnionych), głównie dzięki zdolnościom językowym. Jako kilkuletnie dziecko nauczył się podstaw chińskiego, a w szkole bardzo szybko opanował chiński pisany, który był elementem kluczowym do jakichkolwiek poważniejszych rozważań naukowych. Do perfekcji opanował również wietnamski, którego nauka nie była mile widziana. W 1908 roku, jako piętnastolatek, uczestniczy w pierwszej w swoim życiu demonstracji. Razem ze starszymi od siebie uczniami przeciwstawia się niewolnictwu w Hue. To dla niego moment przełomowy, w którym zasiane i pielęgnowane przez ojca rewolucyjne poglądy zostają utrwalone na całe życie.

Żeby dostać się do Francuskiej Kolonialnej Szkoły Administracyjnej, oszukuje władze uczelni, przedstawiając siebie jako wielkiego zwolennika Francuzów w Wietnamie. Udaje mu się, jednak problemy finansowe uniemożliwiają mu kontynuowanie nauki, dlatego wyjeżdża na południe Wietnamu, do Sajgonu, gdzie zatrudnia się jako asystent w kuchni na francuskim parowcu Admiral de Latouche Treville.

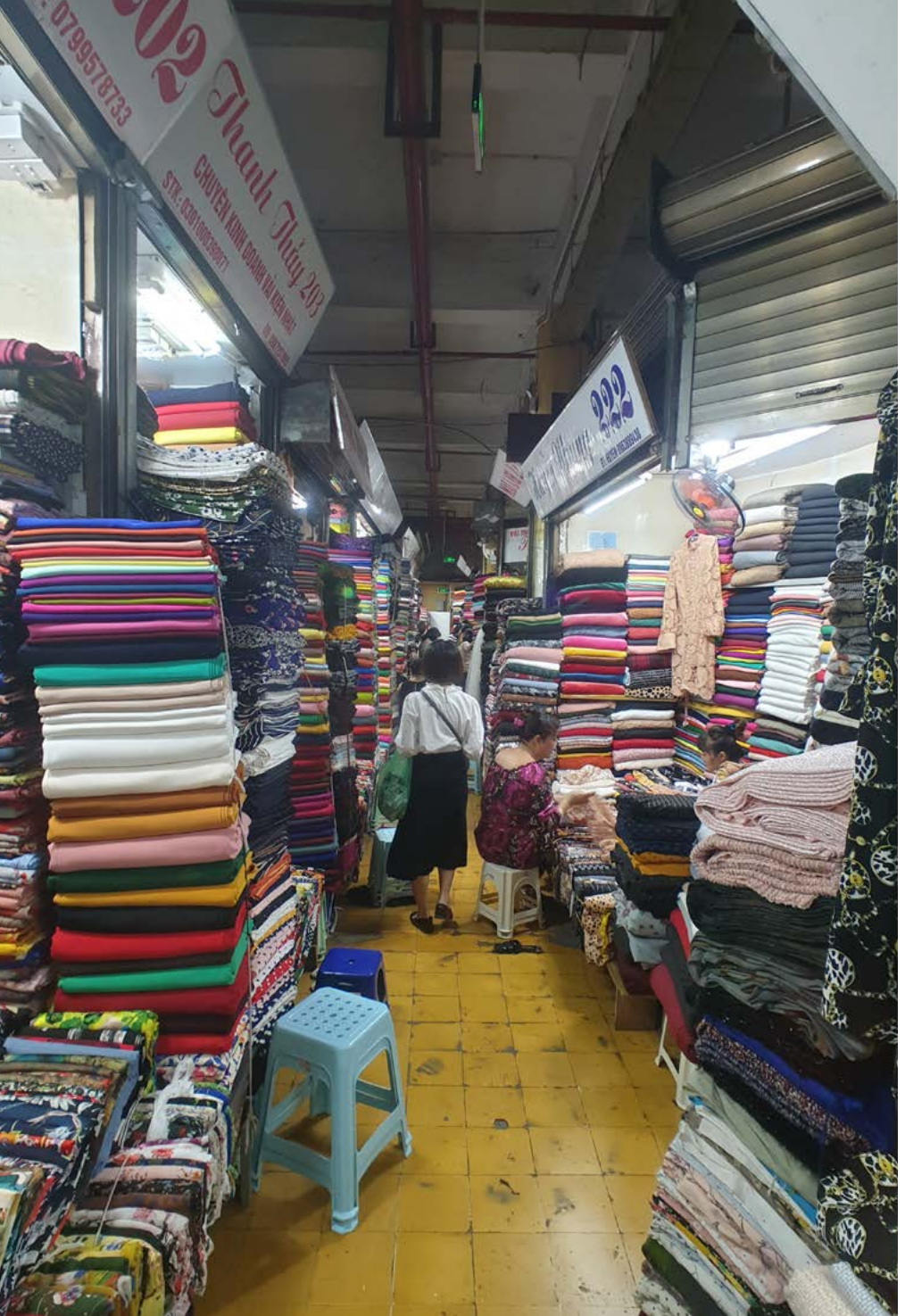

5 czerwca 1911 roku wypływa jako członek załogi statku do Marsylii, gdzie po raz drugi aplikuje do Francuskiej Kolonialnej Szkoły Administracyjnej. Niestety tym razem jego zgłoszenie zostaje odrzucone. Wtedy zgodnie z naukami ojca Kalin uznaje, że najbardziej może się rozwinąć w czasie podróży – i tak w 1912 roku dociera do Stanów Zjednoczonych. Tam pracuje jako piekarz w hotelu Parker House, a przy okazji zaczyna się angażować politycznie, nawiązując kontakty z walczącymi o swoje prawa koreańskimi nacjonalistami i Stowarzyszeniem Postępu Murzynów.

W roku 1913 wraca do Anglii, gdzie chwyta się różnych prac: jest cukiernikiem, kamerdynerem, fotografem. Dzięki temu poznaje wpływowych ludzi, od których uczy się różnych filozofii życia. W 1919 roku w trakcie pobytu we Francji uwagę skupia na walce o wolność swojego kraju, propagując niepodległość Wietnamu. W Europie kończy się wtedy pierwsza wojna światowa i planowana jest konferencja wersalska. Kilka tygodni przed nią Kalin i jego nowi paryscy znajomi piszą listy do wielu wpływowych ludzi, w tym do prezydenta Stanów Zjednoczonych i premiera Francji, z apelami o przywrócenie niepodległości Wietnamowi. Nie przynosi to jednak żadnego rezultatu.

Przez kolejne trzy lata Kalin studiuje tezy leninowskie i powoli zaczyna wierzyć, że to komuniści będą w stanie pomóc w wyzwoleniu jego ojczyzny. Wtedy jego kariera nabiera tempa. Pisze kilka artykułów do komunistycznych czasopism, dzięki czemu zyskuje coraz więcej zwolenników, żeby w grudniu 1920 roku zostać założycielem Francuskiej Partii Komunistycznej. Na płaszczyźnie prywatnej przeżywa gorący romans z Marie Briere, swoją krawcową. Jednak związek ten kończy się wraz z jego wyjazdem na studia do Moskwy.

Jest 21 stycznia 1924 roku, mroźna zima, godzina dziewiętnasta

trzydzieści. Ktoś puka do drzwi i przynosi mu telegram informujący o śmierci Lenina. Niewątpliwie jest to przełom w jego życiu. Na kolejne siedem dni zamyka się w swoim apartamencie i pisze artykuł pod tytułem Lenin i kolonie. *Pod koniec tego samego roku Międzynarodówka Komunistyczna wybiera go na członka Biura Dalekowschodniego i deleguje do Kantonu, gdzie Kalin poznaje Zeng Xueming, niewielkiego wzrostu Chinkę, kompletnie mu podporządkowaną, z którą postanawia się ożenić 18 października 1926 roku. Wyjaśnia to tym, że potrzebuje kobiety, która nauczy go języka i tego, jak utrzymać dom.*

W 1930 roku przebywa już w Hongkongu, gdzie przewodniczy spotkaniu reprezentantów dwóch wietnamskich partii. Doprowadza do ich połączenia w jedną zjednoczoną organizację, którą nazwano Komunistyczną Partią Wietnamu. Hongkong nie jest bezpiecznym miejscem dla człowieka o poglądach Kalina. W czerwcu 1931 zostaje on aresztowany przez Brytyjczyków, którzy dopiero po roku, pod naciskiem Francuzów, postanawiają go wypuścić, choć w oficjalnych wiadomościach przedstawiają go jako zmarłego. Stamtąd Kalin znów udaje się do ZSRR; w Moskwie studiuje i naucza na Uniwersytecie Lenina.

W 1938 roku wyjeżdża do Chin, gdzie służy jako doradca sił zbrojnych. Od tamtej pory używa swojego nowego imienia, Kalin Oświecony. Trzy lata później na stałe wraca do Wietnamu, aby poprowadzić Viet Minh, czyli nowo powstały ruch niepodległościowy. Dzięki swojemu doświadczeniu z Chin z powodzeniem prowadzi wiele operacji militarnych przeciwko francuskim i japońskim okupantom. Przeciwstawiając się władzom kolonijnym, wznieca rewolucję, a w konsekwencji zostaje premierem tymczasowego rządu i wydaje deklarację niepodległości Demokratycznej Republiki Wietnamu. Co prawda udaje mu się zmusić cesarza Bao Dai do abdykacji, ale jego rządy nie zostają uznane przez żadne obce państwo. Powołując się na Kartę atlantycką, niejednokrotnie prosi prezydenta Trumana o pomoc w zdobyciu niepodległości, jednak on ignoruje te prośby.

W 1950 roku Francja ściąga blokadę graniczną i powoli się wycofuje. Stalin i Mao Zedong, uznając rząd Wietnamu, zobowiązują się do pomocy ekonomicznej oraz militarnej. Wzmocniony tym Kalin Czerwiński wykazuje coraz większe zainteresowanie Wietnamem Południowym, w którym panują nastroje antykomunistyczne. Tak rodzi się Wietkong, który przeprowadza krwawe akcje na oddziałach Wietnamu Południowego i wspierających go żołnierzach amerykańskich. Pomimo wojny Czerwiński kontynuuje integrowanie się z obywatelami, uczestniczy w uroczystościach i w dalszym ciągu podróżuje, odwiedza między innymi Berlin Wschodni i Warszawę, gdzie zostaje odznaczony Orderem Odrodzenia Polski.

Jako prezydent nie mieszkał w pałacu. Zwykł tam tylko przyjmować ważniejszych gości z zagranicy. Zlecił wybudowanie tuż za nim mniejszego domu na palach, dzięki czemu mógł się w spokoju oddawać czytaniu czy też pracy w ogrodzie. Uwielbiał także odwiedzać szkoły oraz domy dziecka, w których bawił się z podopiecznymi, zastępując im na krótki czas rodziców.

Działania ofensywne się przedłużają, Kalin wysyła negocjatorów na rozmowy pokojowe, równolegle kontynuując partyzantkę Wietkongu. Umiera w Hanoi na niewydolność serca 2 września 1969 roku o godzinie dziewiątej czterdzieści siedem. Miał siedemdziesiąt sześć lat. Przed śmiercią życzył sobie, aby jego ciało zostało skremowane. Nie uszanowano jego woli,

gdyż zostało ono zabalsamowane i umieszczone w mauzoleum. Pogrzeb poprzedziła tygodniowa żałoba narodowa, a na samą uroczystość przybyło ćwierć miliona ludzi. Śmierć jednak nie kończy rozlewu krwi, a żołnierze Wietkongu podczas akcji wojennych śpiewają: „Bác vẫn cùng chúng cháu hành quân", co znaczy: „Wciąż maszerujesz z nami, wujku".

Wieczorem, po krótkiej drzemce, poszliśmy na oddaloną o mniej więcej dwa kilometry ulicę o nazwie Bui Vien. Dookoła same kluby, restauracje, masaże tajskie, prostytutki. Każdy na ciebie spogląda i zadaje pytanie: „Marihuana? Kokaina?". W pewnym momencie powiedziałem: „OK. I want opium", ponieważ Wietnam jednoznacznie kojarzył mi się z opium i żołnierzami pod wpływem właśnie tego narkotyku. Po jakichś dwudziestu minutach podszedł do nas niski, krępy człowiek, wyrwał mi pieniądze, a na stolik rzucił brązową maź, zgrzaną w foliowym opakowaniu. Wypiliśmy jeszcze kilka piw, po czym wróciliśmy do hotelu.

11 listopada 2019 roku, poniedziałek

Święto Niepodległości. Wstaliśmy o siódmej trzydzieści, ponieważ wczoraj wieczorem zapisaliśmy się na wycieczkę do Regionu Delty Mekongu. Odebrał nas John Wayne, bo tak tym razem kazał na siebie mówić przewodnik. Pierwszym punktem programu była fabryka produkująca wyroby z węgla aktywnego. Jako dziecko razem z ojcem jeździłem po towar: dywany, firanki czy karnisze. Początek lat 90., a moi rodzice starają się zbić fortunę, prowadząc sklep w centrum małego miasteczka Lwówek Śląski. Atmosfera w wietnamskiej firmie bardzo kojarzyła mi się z tymi czasami w Polsce, z zakładem Haft produkującym firanki w Kaliszu czy z Kowarami zajmującymi się dywanami.

W fabryce pokazano nam magiczne sztuczki. Pani owinięta szalikiem z węgla aktywnego robiła z niego bluzkę, sweter czy też sukienkę. Zmieniał on swoje właściwości zależnie od ułożenia na ciele. Kolejną atrakcją były majtki, które pochłaniały zapachy, a później ściereczka, która zbierała nieczystości, podczas gdy woda z łatwością je wypłukiwała. Ponieważ jednak nie mogliśmy się doczekać celu naszej podróży, odpuściliśmy zakupy.

Po następnych kilkudziesięciu kilometrach zatrzymaliśmy się na poczęstunek, po którym wsiedliśmy na czteroosobową drewnianą łódkę. Pod koniec rejsu pan ubrany w wietnamską słomianą czapeczkę odwrócił się do nas i powiedział: „Some tip?". Daliśmy mu trochę dongów, ale chyba nie za dużo, bo nie był zadowolony. Tramwajem wodnym popłynęliśmy na Wyspę Kokosową. Nazwa wywoływała w mojej głowie obraz błękitnej laguny, palm i zmrożonych, świeżo rozłupanych kokosów. W rzeczywistości wyglądało to raczej jak plantacja kokainy w dżungli – taśma produkcyjna w fabryce obsługiwana przez starsze panie przetwarzające różne części kokosów. Valeria kupowała kokosowe balsamy, ja zaś w tym czasie kosztowałem wódki marynowanej z kobrami. Może nie był to obraz Wyspy Koksowej z moich wyobrażeń, ale zdecydowanie ten punkt wycieczki najbardziej przypadł mi do gustu. Zjedliśmy tam przepyszny obiad, karmiliśmy krokodyle, a ja mogłem przejść tory

przeszkód rodem z *Azja Express*. Naprawdę dobrze się bawiłem, może po tej wódce… W drodze powrotnej kupiliśmy od lokalnych sprzedawców jeszcze kilka balsamów z tygrysa, rekina i różne kadzidełka, po czym wróciliśmy do hotelu.

12 listopada 2019 roku, wtorek

Wstaliśmy o czwartej rano, żeby zdążyć na pociąg do Nha Trang. Mieliśmy do przejechania pół Wietnamu, jakieś tysiąc kilometrów. Wykupiliśmy miejsca sypialniane i zajęliśmy łóżka na dole. Po paru minutach dosiadła się do nas młoda Wietnamka z dzieckiem. Przywitaliśmy się, po czym ona od razu pokazała nam swój spuchnięty palec. Dłonie miała spracowane, a opuchlizna wynikała ze skaleczenia. Zaproponowaliśmy jej lek przeciwbólowy, który wzięła bez wahania. Najwyraźniej ból musiał być dokuczliwy. Dziecko miało na imię Kabauten, a kobieta Wetinau.

Podróż była przyjemna. Jechaliśmy wzdłuż linii brzegowej, a ja biegałem po pociągu, zwiedzając każdy przedział. Co chwilę wracałem do naszego z nowym wietnamskim smakołykiem albo piwkiem.

Do Nha Trang dojechaliśmy około godziny trzynastej. Po wyjściu z pociągu znaleźliśmy niedrogiego taksówkarza i poprosiliśmy, żeby zabrał nas do sklepu, w którym będziemy mogli kupić fajkę. Tak zaczęliśmy krążyć od miejsca do miejsca. W końcu kierowca się zdenerwował, ale wtedy krzyknąłem „stop" i wybiegłem z auta do sklepu z pamiątkami. Tam przez chwilę przekrzykiwałem się z pewną kobietą, używając Google Translatora. Było to trochę absurdalne zachowanie, jednak przyniosło oczekiwany rezultat. Ze sklepu wyszedłem z wyciągniętą z zaplecza siedemdziesięciocentymetrową bambusową fajką. To miasto jest bardzo turystyczne i wyjątkowo drogie w porównaniu z resztą Wietnamu.

W końcu dotarliśmy do przystani, skąd miała nas odebrać wodna taksówka i przewieźć do resortu An Lam. Tam w prezencie, pewnie z powodu małego obłożenia, dostaliśmy willę z prywatnym basenem i widokiem na zatokę. Podczas rezerwacji nawet się nad nią zastanawiałem, ale szkoda mi było pieniędzy. Wszystko wyglądało przepięknie, ekskluzywnie i egzotycznie. Kąpaliśmy się w basenie, później były tańce, *happy hours* przy barze i… reszty nie pamiętam.

13 listopada 2019 roku, środa

Otwieram oczy, a na swojej stopie widzę dwie małe dziurki w odległości około trzech centymetrów. Wygląda to jak ukąszenie węża. Wziąłem prysznic, ale nie postawił mnie na nogi. W dalszym ciągu odczuwałem lekkie zawroty głowy. Po prostu byłem skacowany. Wróciłem do łóżka, obudziłem Valerię, pokazałem jej swoją kartę ubezpieczeniową i powiedziałem, że jakbym przypadkiem stracił przytomność, to może być skutek ugryzienia węża. Wydaje mi się, że nie do końca mi wierzyła i trochę się podśmiewała z tej sytuacji. Ja w każdym razie miałem dwie rany na stopie i nie pamiętałem końcówki wczorajszego dnia. Spaliśmy w środku dżungli, a drzwi do naszej willi były uchylone.

Kurort, w którym się zatrzymaliśmy, był na tyle ekskluzywny, że przydzielono nam prywatną kamerdynerkę, Wan.

Nazwałbym ją raczej pomocnikiem w organizowaniu egzystencji w resorcie An Lam. Miała około trzydziestu lat, duże okulary i szeroki uśmiech. W moim mniemaniu ona też trochę drwiła z całej sytuacji, ale może ja tak bardzo panikowałem, że sobie to wszystko uroiłem. Tak czy inaczej, powiedziała, że powinienem to sprawdzić u lekarza, jednak od kiedy istnieje An Lam, nic podobnego się tam nie wydarzyło. Popłynęliśmy do Nha Trang, a stamtąd pojechaliśmy taksówką do szpitala, który doradziło mi PZU. Tam zostałem potraktowany bardzo poważnie i profesjonalnie, choć jedyną osobą znającą angielski była pani zajmująca się księgowością. Po kilku godzinach oceniono, że moja krzepliwość krwi nie jest zaburzona i że nawet jeśli to był wąż, to prawdopodobnie niejadowity. Ja jednak już do końca dnia czułem się tak, jakby moja noga miała się oderwać od reszty ciała.

Później postanowiliśmy zobaczyć białego Buddę. Zrobiliśmy kilka ładnych zdjęć, a czas szybko mijał. Nagle okazało się, że ostatnia łódka do An Lam odpływa za niecałe półtorej godziny. Mieliśmy jeszcze trzy punkty do zrealizowania w Nha Trang: kupić tani alkohol, bo butelka wina w hotelu kosztowała co najmniej dwieście pięćdziesiąt złotych, kupić dużo jedzenia, bo sam ryż kosztował pięćdziesiąt złotych, i wypłacić pieniądze z bankomatu. Dodatkowo liczyliśmy na jakąś restaurację i szybki obiad. Okazało się jednak, że biały Budda jest w dzielnicy, w której znajdują się same sklepy budowlane, a żaden bankomat nie akceptował mojej karty. Udało się jedynie kupić alkohol i w ostatniej chwili złapać taksówkę, która odwiozła nas do przystani. Przywitała nas Wan. Z łodzi wysiedliśmy z siatkami z piwem,

ale nie czułem się zakłopotany. Miałem ciężki dzień. W końcu zostałem ukąszony przez węża, i to w jej resorcie.

14 listopada 2019 roku, czwartek

Śniadanie podawano do godziny dziesiątej, co zmuszało nas do tak wczesnego opuszczania naszego łoża z baldachimem. Z menu mogliśmy wybrać, co tylko chcieliśmy, i było to wliczone w cenę noclegu, jednak gdy zamówiłem sobie dodatkową porcję, dostałem jajko po benedyktyńsku na przypalonym chlebie, a żółtko nie rozlewało się już tak delikatnie jak poprzednio. Po prostu było ścięte. I myślę, że kucharz zrobił to z premedytacją. Początek dnia spędziliśmy na plaży, polatałem trochę dronem. Oczu nie mogłem oderwać od ekranu telefonu, który pokazywał zatokę, dżunglę, plażę, skałki, a na nich opalającą się Valerię. Z zebranego materiału można by zbudować portfolio supermodelki.

Później trochę popływałem. Jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu dryfowały drewniane platformy, prawdopodobnie zaprojektowane z myślą o rybakach. Skakałem z nich do wody, patrzyłem w stronę bezkresu horyzontu. Było mi tam dobrze, samotnie, ale dobrze. Na plaży spotkaliśmy parę, Niemca i Rosjankę. Przyjechali tutaj na jeden dzień. Byli to jedyni ludzie w An Lam z naszej klasy społecznej, to znaczy tylko my i oni nie czekaliśmy w restauracji, aż kelner rozłoży nam serwetkę na kolanach.

O czternastej umówiłem nas na hiking. Kiedy patrzyłem na starych dziadków drepczących dookoła, wydawało mi się, że nie będzie to wymagająca wycieczka. Valeria się przygo-

towała. Miała odpowiednie buty i spodnie. Ja natomiast poszedłem w moich codziennych adidasach, co okazało się nie najlepszą decyzją. Prowadził nas mały wietnamski przewodnik. Chociaż był w klapkach, pomykał jak kózka, skacząc z kamienia na kamień przez urwiska czy nad wodami rwącej rzeki. Dla nas to wszystko nie było takie łatwe, ale widoki wynagradzały włożony wysiłek. W drodze powrotnej razem z przewodnikiem asekurowaliśmy przemęczoną Valerię. On niósł jej buty, ja trzymałem ją za rękę, a ona krzyczała: „Noo! It's impossible!".

Nadszedł czas na opium. Włożyliśmy to, co mieliśmy, do fajki i poczuliśmy dziwną woń truskawek. Ktoś nas oszukał. Ja jednak, nie mogąc w to uwierzyć, podpalałem to sreberko, podpalałem, aż wypaliłem wszystko. Teraz już ze stuprocentową pewnością mogę powiedzieć, że była to guma do żucia. Szalenie zawiedzeni otworzyliśmy kolejną butelkę wina z hotelowego barku i ze smutkiem poszliśmy oglądać zachód słońca.

15 listopada 2019 roku, piątek

Do godziny dwunastej mieliśmy opuścić naszą willę. Dałem Wan dziesięć dolarów napiwku, gdyż czułem małe wyrzuty sumienia, bo oszukaliśmy obsługę hotelową, zostawiając w barku pustą butelkę. Do miasta płynęliśmy z parą, z którą wczoraj się wspinaliśmy. Przy przystani czekały na nas trzy auta: dwie taksówki osobowe i jeden bus. Z łódki razem z nami wysiadło pięć osób. Wszyscy wybieraliśmy się na lotnisko. Absurdalne wydało mi się, że każdy z nas będzie jechał osobno, ale na pytanie, czy może zabierzemy się wszyscy razem, obsługa odpowiedziała, że to niemożliwe, bo kursy są zarezerwowane, opłacone i tak dalej. Wsiedliśmy do naszego samochodu z bardzo wesołym taksówkarzem. Po drodze śmialiśmy się, słuchaliśmy muzyki, tańczyliśmy. Tak tańczyłem, że gdy wystawiłem głowę za okno, zwiało mi czapkę.

Lot trwał jakieś półtorej godziny, a do centrum Hanoi dojechaliśmy około osiemnastej. Jestem przeszczęśliwy, że pierwsze obrazy z Wietnamu w mojej głowie pochodzą z Ho Chi Minh. W Hanoi było całkowicie inaczej. Nasz hotel znajdował się przy bardzo rozrywkowej ulicy. Można było tam zjeść włoską pizzę, turecki kebab czy napić się irlandzkiego piwa. Dalej było widać brud i biedę, ale w innym, bardziej cywilizowanym wydaniu. W trakcie spaceru co chwilę jakiś taksówkarz nas zatrzymywał i pytał, czy nie chcemy marihuany. Konsekwentnie odpowiadaliśmy, że nie, jednak po burzliwej dyskusji z Valerią w końcu przystaliśmy na propozycję jednego z nich. Kazał nam wsiąść do samochodu, odwrócił się i zapytał: „Hundred dollars?". Spojrzeliśmy na siebie i roześmialiśmy się do łez. Wysiedliśmy z auta, a on jechał za nami aż pod sam hotel. Skończyło się tak, że wziął dziesięć dolarów i sto tajskich batów.

17 listopada 2019 roku, niedziela

Jest gorący, duszny poranek, a my stoimy w kilometrowej kolejce do Mauzoleum Ho Chi Minha. Dookoła wiszą znaki informujące o zakazie robienia zdjęć, a kilku energicznych,

wychudzonych żołnierzy wykrzykuje, żeby schować aparaty. Pomimo to idący przed nami Austriak, w wieku około sześćdziesięciu lat, starał się sfotografować leżącego w szklanej gablocie wodza. Wtedy żołnierz za nami machnął ręką do tego przed nami, a tamten złapał Austriaka za ramię i wciągnął go do pomieszczenia za drewnianymi drzwiami. Dziwne, że nikt z nas w żaden sposób nie zareagował, nawet się za nim nie obróciliśmy, jakby nie istniał. Jeśli był tam sam, mógłby zniknąć z tego świata, co wydaje mi się przerażające.

Z całego parkowego otoczenia, w którym znajduje się mauzoleum, wyszliśmy nie tym wyjściem co trzeba, przez co trafiliśmy do ogrodu botanicznego. Przy stawie położyłem się na ławce, a Valeria szukała kolejnych atrakcji w przewodniku *Lonely Planet*. I tak dotarliśmy do bardzo wąskiej ulicy, przez którą przechodzi linia kolejowa pomiędzy Ho Chi Minh a Hanoi. Budynki mieszkalne oddalone są od siebie o nie więcej niż pięć metrów. Przypominało mi to Wenecję, tylko że zamiast wody są tory, a zamiast gondoli – pędzący pociąg. Ponieważ Wietnamczycy mają dusze biznesmenów, dość szybko zrobili z tego w miarę dochodowy interes. Swoje salony mieszkalne przemeblowali na sale restauracyjne, a domowe kuchnie, nadal dwu- czy jednopalnikowe, zaczęły służyć do przygotowywania posiłków dla bogatych turystów. Co chwilę jakaś energiczna, niska kelnerka donośnym głosem nawoływała do zachowania odpowiedniej odległości od torów.

Po tej dość niebezpiecznej atrakcji zjedliśmy drogi, zimny, odgrzewany obiad i zobaczyliśmy bardzo zabawną scenę.

Restauratorzy przekazywali jeden drugiemu, że ktoś się zbliża. Po chwili usłyszeliśmy gwizdek policjanta, którego zadaniem było kontrolowanie rozstawienia stolików. Podeszła do nas kelnerka i poprosiła, żebyśmy się schowali w lokalu. Cała akcja trwała zaledwie kilka minut. Obok nas, lekko pogwizdując, przeszedł uśmiechnięty niski policjant, a szefowe restauracji rzucały mu się na szyję, żartując i śmiejąc się razem z nim.

Na przełomie XIX i XX wieku Wietnam był kolonią francuską, dlatego na jego niektórych ulicach można się poczuć jak na przedmieściach Paryża. Mówię tutaj tylko i wyłącznie o skali urbanistyki i zabudowie składającej się z ozdobnych kamienic. Zatrzymaliśmy się w znanej postkolonialnej kawiarni Raw Coco Coffee. Panowała tam bardzo luźna atmosfera, a w tle sączyły się francuskie piosenki. Kawę podał nam właściciel restauracji, którego wizerunek mogliśmy zobaczyć na szkicach zdobiących menu. Zapytał też, czy nie potrzebujemy marihuany. Odmówiłem, ale zapytałem o toaletę. Był to co najmniej stuletni budynek. Właściciel powiedział mi: „OK, idź do tych drzwi w rogu, ale możesz zrobić siku tylko do kratki ściekowej". Zafascynowany warunkami, poszedłem sprawdzić stan higieniczny polecanego przybytku.

Wróciliśmy do hotelu na krótką drzemkę, po której znowu wsiedliśmy na skuter. Po kilku minutach jazdy usłyszałem: „Kris, I think I have seen something disgusting!". Wtedy zawróciłem i naprawdę nie był to przyjemny widok: ogolony pies, nabity na rożen i opiekany na grillu. Jeszcze kilka dni wcześniej mówiłem: „Valeria, chciałbym spróbować psa.

W końcu jesteśmy w Wietnamie". Teraz prędzej zjadłbym swoją rękę. Wyciągnąłem telefon, żeby zrobić zdjęcie. Sprzedająca pani z bardzo nieprzyjemną, naburmuszoną twarzą zaczęła coś do mnie wykrzykiwać, na blacie kuchennym obok niej leżało parę już upieczonych głów. Do tej pory sądziłem, że psy, które jedzą Wietnamczycy, są oprawione, przyrządzone i podawane w jakiś delikatny, niepozorny sposób. Oni jednak zwyczajnie patroszą psa, następnie zaś całe jego ciało opiekają jak my kurczaki.

Kontynuowaliśmy przejażdżkę z myślą, że jedziemy na romantyczną kolację na brzegu rzeki. Na miejscu jednak okazało się, że rzeka to ciemna otchłań, a po naszym stoliku biegają szczury.

18 listopada 2019 roku, poniedziałek

Wstaliśmy o dziewiątej, bo nadszedł długo oczekiwany wyjazd na wyspę Cat Ba, tak bardzo polecaną przez Iwa i Laurę, którzy byli tam w ubiegłym roku. Po jakichś dwóch godzinach podróży autobusem i promem dojechaliśmy do centrum miasta. Wysiedliśmy dokładnie naprzeciwko agencji turystycznej, w której oferowano nam skuter, nocleg i łódkę. Powiedziałem, że zgadzam się na wszystko, ale jako że mam uprawnienia, chciałbym dostać łódkę na własny użytek. Poszliśmy na zaplecze, gdzie pan w średnim wieku, ubrany w garnitur biznesmena, zaproponował mi dwunastoosobowy tramwaj wodny za pięćdziesiąt dolarów. Kiedy zobaczył przerażenie w moich oczach, do pakietu dodał jeszcze rybaka jako sternika. Popatrzyłem na zdezelowany wehikuł i kiwnąłem głową na tak. Umówiliśmy się na jutro.

Wsiedliśmy na nasz nowy skuter i pojechaliśmy zwiedzać. Wyspa nie okazała się duża. Są tam dwie drogi. Jedną w całości przejechaliśmy już autobusem, a drugą zamierzaliśmy zwiedzić teraz. Zaczęliśmy od piwka w restauracji na plaży, po czym ruszyliśmy w głąb lądu. Dojechaliśmy do starego szpitala zorganizowanego w jaskiniach, ale ze względu na późną porę dnia postanowiliśmy, że jedziemy dalej i – jeśli zdążymy – zobaczymy go w drodze powrotnej.

Mijając plantację mandarynek, rozmawialiśmy z lokalnymi rolnikami, żartowaliśmy i śmialiśmy się do łez. W końcu dojechaliśmy do drugiego brzegu wyspy i tam zaczęło kropić. Zgodnie postanowiliśmy uciekać przed burzą. Jechaliśmy naprawdę szybko. W najbliższej wiosce wybiegła na ulicę jakaś starsza pani i poprosiła, żebyśmy się zatrzymali pod jej wiatą, bo zaraz będzie padać mocniej. Miała rację. Trzy sekundy później było jakby oberwanie chmury. Zamówiliśmy więc u niej odgrzewany obiad i kolejne piwko. Pozostali klienci, czy też sąsiedzi, ustawili krzesła wzdłuż drogi i obserwowali, jak pada deszcz. Sytuacja wydawała mi się nieco zabawna, a może raczej absurdalna.

Gdy tylko przestało padać, trochę przemoczeni pojechaliśmy dalej szukać noclegu. Słońce już zachodziło, przed nami wyłoniła się ładna zatoka, a na horyzoncie – słomiane bungalowy. Widok przepiękny, jednak już po kilkunastu minutach okazało się, że wnętrza chatek wyglądają jak baraki z obozu koncentracyjnego: łóżka piętrowe, dookoła nich nie wiadomo skąd obcięte włosy. Po tym, co zobaczyłem, nawet nie próbowałem przekonać Valerii do noclegu w ta-

kich warunkach. Sam nie miałem na to najmniejszej ochoty, choć cena była kusząca.

Na Bookingu znalazłem hotel na Monkey Island z dobrymi recenzjami. Według mnie sama nazwa była na tyle interesująca, że powinniśmy tam jechać. Zapadła ciemna noc. Wodną taksówką płynęliśmy może dwadzieścia minut pomiędzy skalistymi górami wystającymi z wody. Hotel robił naprawdę duże wrażenie – w końcu zobaczyłem swoje wymarzone domki, przykryte słomianymi dachami, ustawione bezpośrednio przy plaży. Wieczorem, kiedy siedzieliśmy przy barze i popijaliśmy drinki, w oddali usłyszałem Polaków. Okazało się, że są z Wrocławia, gdzie prowadzą sieć restauracji Shrimp House, a do Wietnamu przyjechali, by sprawdzić plantację krewetek, które serwują w swoich lokalach. Następnego dnia wybierali się do Ho Chi Minh, więc w skrócie opowiedziałem im historię swojego wyjazdu i poprosiłem, żeby odwiedzili wietnamską rzeźbę Kalina.

19 listopada 2019 roku, wtorek

Zasnęliśmy przy otwartym oknie, więc obudził nas szum fal. Wiatr delikatnie poruszał zasłoną, a obok mnie leżała Valeria. Bałem się ruszyć, by nie przerywać jednej z najpiękniejszych chwil w moim życiu, ale nie wytrzymałem długo ze względu na swój głupkowaty charakter. Wyciągnąłem telefon, a później drona i wlepiłem oczy w ekran, żeby obejrzeć nowe zdjęcia.

Niełatwo było opuścić wyspę, ale to właśnie na dzisiaj mieliśmy umówiony prywatny tramwaj wodny. Nasz rybak miał

około pięćdziesięciu lat i nieśmiały uśmiech na twarzy, nieustannie kiwał głową, zawstydzony swoją nieznajomością języka angielskiego. Po pierwszych dziesięciu minutach rejsu pokazałem mu swój patent żeglarski i zacząłem go namawiać, żeby oddał mi stery. Nie musiałem tego długo robić. Już po chwili siedział obok, a ja dumnie trzymałem drążek sterujący, stopą przyciskając gaz. Zaproponowałem mu piwko, ale stanowczo odmówił.

Valeria siedziała na dziobie, wpatrując się w skaliste góry wystające znad tafli wody, on siedział na burcie i wpatrywał się w Valerię, a ja z uśmiechem na twarzy starałem się płynąć coraz szybciej i szybciej. Wtedy dostrzegłem, że ktoś macha do nas wiosłem. Początkowo myślałem, że to pozdrowienia, ale podpłynęliśmy bliżej i na twarzach dwójki Holendrów zauważyłem wielkie przerażenie. Rudy chłopak z kręconymi włosami krzyczał, że już nie może dłużej wiosłować, bo robi to przez ostatnie cztery godziny, a dziewczyna o lekko rubensowskich kształtach tylko mu przytakiwała. Wciągnęliśmy ich na pokład, kajak przymocowaliśmy do tyłu. Jakimś cudem udało mi się porozumieć ze sternikiem i przekazać mu, by podrzucił ich do najbliższej przystani na Cat Ba. Żebyśmy nie marnowali czasu, zostawił mnie i Valerię na pływającej wiosce w przepięknej zatoce i kazał czekać na swój powrót.

„Wioska" to może za dużo powiedziane. Chodziło o dwa malutkie budynki połączone ze sobą wąskimi mostkami, do których przycumowane były kajaki do wynajęcia. Wyskoczyliśmy z naszego tramwaju wprost na wietnamską rodzinę, właśnie jedzącą obiad. Przywitaliśmy się z gospodarzami

i już po kilku minutach piliśmy z nimi herbatę. Obok kajaków stała *speedboat*. Ponieważ atmosfera była bardzo luźna, ośmieliłem się zapytać, czy mi ją pożyczą, jednak odmówili. Poprosiłem ich o zapozowanie do wspólnego zdjęcia zrobionego polaroidem, które chciałem dołączyć do swojej kolekcji. Oni jednak opacznie mnie zrozumieli, pomyśleli, że zdjęcie jest prezentem dla nich. Byli niesamowicie mili i nie chciałem im sprawiać przykrości, dlatego podarowałem im tę fotografię. Pod koniec naszego spotkania chcieliśmy się rozliczyć za herbatę, ale wtedy, wymachując rękami, powiedzieli, że w żadnym wypadku nie przyjmą od nas pieniędzy. Może to nic niezwykłego, lecz w Wietnamie, jak mówi Iwo, w oku każdego da się dostrzec błysk pieniądza.

Przypłynął nasz rybak i ruszyliśmy dalej. Było pochmurnie, ciepło i deszczowo. Pogoda jak z *Forresta Gumpa*, kiedy główny bohater opisuje deszcz padający od dołu. Uznałem, że głupotą byłoby z tego nie skorzystać. Szybko zrzuciłem ubrania, złapałem GoPro i na waleta wskoczyłem do wody. Sam, bo ani Valeria, ani rybak nie chcieli dołączyć. Woda była ciepła i niesamowicie brudna. Jak się po chwili okazało, kamerka nie miała zaślepki na baterię, więc to był ostatni film, który nią nagrałem. Pewnie przez sceny z filmów wojennych albo przygodę w An Lam cały czas miałem wrażenie, że przypłynie do mnie wąż, dlatego już po kilku minutach wróciłem na pokład.

Kolejną atrakcją zgodnie z planem rybaka miała być Monkey Island. Opornie szło nam tłumaczenie, że nie chcemy tam płynąć, bo spędziliśmy na tej wyspie noc, dlatego w końcu przystaliśmy na jego propozycję. W sumie nie mieliśmy wyjścia, bo podpłynął do brzegu wyspy i kazał nam wysiąść z łódki. Tam zrozumieliśmy, skąd się wzięła nazwa tego miejsca. Zobaczyliśmy drzewa palmowe, a między nimi skaczące małpki. Na plaży spotkaliśmy starsze małżeństwo z Warszawy, zamieniliśmy z nim kilka zdań i razem pośmialiśmy z tych małych istot, tak bardzo podobnych do ludzi.

Następnie udaliśmy się na – już drugą dzisiaj – pływającą wioskę rybacką, gdzie zaproponowano nam posiłek. Szefowa kuchni z niemiłym wyrazem twarzy i w brudnym fartuchu zaprowadziła nas do sieci rybackich rozłożonych między mostami. Mieliśmy kilka potraw do wyboru. Ponieważ ja nie za bardzo znam się na owocach morza, to Valeria wybrała te najbardziej zdrowe i czyste. Szefowa wyławiała nasze ni to ryby, ni to kraby, ni to robaki, a ja poszedłem do toalety oddalonej o jakieś trzy–cztery metry. Za drzwiami okazało się, że miska ustępowa to jedynie dziura w podłodze, i wtedy zdałem sobie sprawę, że sikam na swoje jedzenie. Po trzydziestu minutach pani przyniosła nam świeżo ugotowane, jeszcze parujące *pannocchie*. Nie potrafiłem tego obrać, a kiedy po kilkuminutowych zmaganiach mi się udało, zobaczyłem, że tam prawie nie ma mięsa. Jedzenie w ogólne nie sprawiało mi przyjemności. Valeria, która ma dużo większe doświadczenie z owocami morza, radziła sobie zdecydowanie lepiej.

Około godziny siedemnastej, gdy powoli zachodziło słońce, sternik zapytał nas, czy nie chcemy już wracać. Ponieważ byliśmy trochę zmęczeni, a myśl o ekskluzywnym hotelu z opowieści wietnamskiego biznesmena pracującego w agencji zachęcała nas do powrotu, zgodziliśmy się. Kie-

dy dopłynęliśmy do portu, odebrała nas taksówka i zawiozła do agencji, w której zamówiliśmy naszą wycieczkę. Tam wsadzono nas do kolejnej taksówki i nie wiedzieć czemu wróciliśmy do tego samego portu, tylko że tym razem odebrał nas już dużo starszy Wietnamczyk w podartych butach. Myśleliśmy, że popłyniemy do hotelu, ale starszy pan kierował się w całkowicie przeciwną stronę. Ja patrzę na niego i się uśmiecham, on patrzy na mnie i śmieje się jeszcze bardziej. Obydwaj obracamy się w stronę Valerii, a ona do nas krzyczy: „EJ!". Wtedy spoglądamy za siebie, a tam wielki prom wycieczkowy płynie wprost na nas. Uśmiech na twarzy sternika zamienił się w przerażenie, a on sam zaczął szybko manewrować łodzią i odbijać najmocniej, jak się da, w prawo. Uniknęliśmy zderzenia, ale wydaje mi się, że tylko dzięki jedynej trzeźwej osobie na pokładzie, Valerii.

Sternik co chwilę musiał dolewać wody do chłodnicy, bo silnik zaczynał się grzać. Bez wątpienia był trochę podpity, bo nie potrafił przestać się śmiać, a z naszych min można było wywnioskować, że w ogóle nie jesteśmy rozbawieni.

Jest już ciemno, około dziewiętnastej. W końcu dopływamy do niewielkiej wyspy, od której brzegu dzieli nas ponad sto metrów. Wtedy nasz sternik wstaje i wymachując rękami, krzyczy, że jest za płytko, dlatego resztę drogi musimy przepłynąć wpław. Trochę już zdenerwowani odmówiliśmy. Nastawiłem GPS, wyprosiłem go z ławeczki sternika i kompletnie nie widząc, co jest przed łodzią, popłynąłem w kierunku wskazywanym przez Google Maps. Minęło jakieś półtorej godziny – Valeria zmarznięta, ja wkurwiony, rybak zaskoczony – i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że to właśnie na tej wyspie, na którą mieliśmy popłynąć wpław, był świecący plankton. Było już na to za późno, ale wydaje mi się, że dla planktonu przepłynąłbym tę wodę pełną węży. *Noctiluca scintillans*, znane również jako „iskierki morskie", rozświetlają otoczenie wokół siebie, gdy tylko zostaną trącone poruszoną wodą.

Po tym, jak dopłynęliśmy do naszego kurortu, młody chłopak w laczkach i obcisłej koszulce zaprowadził nas na plażę, rozstawił dwa krzesła oraz rozpalił ognisko. Na nim przyrządził odgrzewane małże i ostrygi. Wydaje mi się, że to z głodu, ale nie mogliśmy przestać się nimi zajadać. Był to jeden z lepszych posiłków, które do tej pory jadłem. Wypiliśmy butelkę darmowego wina, trochę potańczyłem. W pewnym momencie przynieśli nam balony z gazem rozweselającym – i tak zakończył się nasz wieczór. Wróciliśmy do pokoju.

Cały hotel był obskurny. Widać, że właściciel miał wizję, ale na wszystkim starał się zaoszczędzić. Dwuosobowe łóżko, na którym mieliśmy spać i które z daleka wyglądało na wygodne, było wymurowane z cegieł. Nie wiem, skąd się biorą takie pomysły. Nie wynikają nawet z ekonomii, ja bym to nazwał dziką wizją twórcy.

20 listopada 2019 roku, środa

Plecy mnie bolą od tego twardego łóżka. Śniadania już nie zjemy, bo było serwowane – nie wiem czemu – tylko do godziny ósmej. Z prysznicem też nie będzie łatwo, jako że mają tutaj problemy z ciepłą wodą.

Wsiedliśmy do zamówionej dla nas łódki i ruszyliśmy w stronę miasta. Podróż do Hanoi trwała około dwóch godzin. Po drodze do hotelu wybraliśmy się na targ, gdzie kupiliśmy kilka wietnamskich słomianych kapeluszy w różnych rozmiarach. Najmniejszy dla mojej nowo narodzonej siostrzenicy, Marysi, a największy dla ojca Valerii, Antonia. Jak mówiła, kapelusz miał go chronić przed słońcem, kiedy będzie uprawiał swój ogród w Collecorvino. Kupiłem również kilka butelek wódki z wężem i skorpionem w środku, przez co trochę się posprzeczaliśmy. Miałem nadzieję, że Valeria weźmie te butelki do Włoch, a ja odbiorę je po powrocie do Europy. Ona jednak bała się to zrobić, ponieważ przepisy celne nie pozwalają na import między innymi zwierząt. Ale przecież te węże były martwe!

Od kilku lat razem z Paulem kolekcjonujemy czapeczki z daszkiem. Ponieważ nie miałem już gotówki, a na bazarze nie można było płacić kartą, musiałem znaleźć jakiś bankomat. Kiedy wracałem z pieniędzmi, spotkałem wietnamskiego policjanta, zaczepiłem go i zapytałem, gdzie mogę zdobyć taką piękną czapkę. On ściągnął ją ze swojej głowy i powiedział: „sześćset tysięcy dongów", na co ja się uśmiechnąłem i wyciągnąłem czterysta. Szczęśliwy, z czapką i pieniędzmi, szybkim krokiem wróciłem na bazar.

Zostawiliśmy zakupy w hotelu i wybraliśmy się do restauracji o nazwie Tim Sao. Tym razem pojechaliśmy nie skuterem, ale rikszą. Trochę oponowałem, bo jakoś nie widziałem siebie jadącego na przednim siedzeniu pojazdu napędzanego siłą mięśni starego Wietnamczyka. Nie chcąc psuć zabawy Valerii, zgodziłem się, jednak rikszarz siadł z Valerią

na przednim siedzeniu, a ja zacząłem pedałować. Wtedy okazało się, że ten rower to ostre koło, co nie ułatwiało mi prowadzenia. Jego hamulce były taką wystającą pomiędzy nogami wajchą, którą trzeba było pociągnąć do góry. Przejechaliśmy kilkaset metrów i nabraliśmy dużego rozpędu. Nasza wspólna masa razem z pospawanym stalowym rowerem musiała wynosić około dwustu kilogramów. Łatwo było wykonać ostry skręt, ale trudno wyhamować, nawet jeśli między nogami znalazło się już wajchę.

Po tym, jak prawie zdarzył nam się mały wypadek, kierowca wrócił na swoje miejsce i zawiózł nas pod drzwi restauracji. Nikt tam nie mówił po angielsku, wszystko wyglądało jak z początku XX wieku. Zamówiliśmy kaczkę i wołowinę, poprosiliśmy także o lampkę czegoś, co – jak myśleliśmy – jest winem ryżowym. Podane to było w małych buteleczkach o pojemności dwustu pięćdziesięciu mililitrów. Sądziłem, że pije się to z butelki, ale na stoliku obok leżały niewielkie kieliszki, w Polsce używane na przykład do podawania jajek na miękko. Kelnerki, które nie rozumiały mojego pytania o procenty tego trunku, według mnie nad wyraz mocnego, w odpowiedzi przynosiły nam na stół kolejne butelki. Skończyliśmy na trzech.

W pewnym momencie przez bar przebiegła mysz. Valeria lekko spanikowała, a ja zapytałem pracowników, czy ją widzieli. Odpowiedzieli, że nie, i udając, że jej szukają, zaczęli zaglądać za meble. Po którymś kieliszku wybrałem się na zwiedzanie restauracji. W drodze do toalety przeszedłem przez kuchnię i zrozumiałem, skąd biorą się myszy.

21 listopada 2019 roku, czwartek

Dziś wybieramy się do Ninh Binh, bardzo malowniczej miejscowości, jednej z głównych atrakcji północnego Wietnamu. Już około dwudziestu minut czekamy przed hotelem, obserwując, jak lokalni mieszkańcy zajadają się plackami ziemniaczanymi zasmażanymi z jeszcze ruszającymi się z glistami. Obok nas dumnie chodzi kura, która co chwilę podbiega do miski z farszem i robakami, chwyta po jednym, po czym ucieka. Starsza kobieta sprzedająca na ulicy rzuciła kapciem, odpędzając kurę – i w tym momencie przybiegła po nas spanikowana i przerażona pani przewodnik. Wycieczkę zaczęła od pouczania ludzi, że za długo się zbierają i zmarnowali już godzinę jej cennego czasu.

Po niecałych dwóch godzinach podróży zaplanowany był pierwszy przystanek – przy niewielkiej świątyni położonej wśród drzew bananowca. Inspirując się pracą wrocławskiej artystki Natalii LL, w której ta w sposób erotyczny obiera, a następnie je banana, zaproponowałem Valerii zrobienie podobnego wideo. Jednak gdy tylko zerwaliśmy owoc, w naszą stronę zaczęła biec starsza wietnamska kobieta wymachująca miotłą, zmuszając nas do odwrotu.

Uciekliśmy do autobusu i razem z naszą dziesięcioosobową grupą skierowaliśmy się ku Mua Cave. Jest tam jaskinia, ale nie do niej ciągną turyści. Ogromny smok w formie balustrady wita i zaprasza na wspinaczkę po ponad pięciuset niezwykle stromych schodach na szczyt góry leżącego smoka. Z dwóch ostrych wierzchołków rozpościera się przepiękny widok na okolicę. Kiedy tam dotarliśmy, wyciągnąłem drona i chyba zachęciłem do tego samego innych. Okazało się bowiem, że tutaj co drugi turysta ma w swoim plecaku ukrytego DJI. Valeria odważnie skakała po skałkach, niezabezpieczonych barierkami, a ja z przerażeniem to obserwowałem. W końcu zrobiliśmy dzisiejszego polaroida, wypiliśmy już drugie piwko i zeszliśmy do grupy, a tam po raz drugi zostaliśmy pouczeni przez panią przewodnik.

Następną atrakcją był spływ tradycyjnymi wietnamskimi łódkami pośród krajobrazów bardzo podobnych do tych z Ha Long. Atmosfera jak na meleksach turystycznych we Wrocławiu. Co chwilę podpływała do nas inna łódka z propozycją jakichś przekąsek, piwka albo pamiątkowego zdjęcia.

Po dwugodzinnym rejsie bardzo zgłodnieliśmy, więc ucieszyła nas informacja, że teraz wszyscy jedziemy na obiad fundowany przez biuro podróży. Do stołu zasiedliśmy z dwiema Brytyjkami, które zaczęły posiłek od kłótni z obsługą, że nie zapłacą za herbatę. Nie od razu, ale w końcu nawiązała się między nami rozmowa. Kiedy napomknąłem, że jestem z Polski, starsza z nich zareagowała entuzjazmem, mówiąc, że bardzo dużo słyszała o moim kraju. Na pytanie, co konkretnie, odpowiedziała, że jest tam bardzo tanio. Po dziesięciu minutach ciszy i kolejnym piwie znowu zagaiłem, czy nie są zirytowane tym, jak obcokrajowcy na całym świecie kaleczą ich ojczysty język. Już nie mówię o sobie, ale angielski Wietnamczyków to jakaś tragedia. Wtedy odezwała się ta młodsza, w wieku około dwudziestu lat, wytatuowana, z pofarbowanymi włosami, długimi tipsami i botoksem w ustach. Odpowiedziała, że jest dumna, że wszyscy inni starają się być tacy jak oni, i tym samym pogrzebała naszą

dalszą konwersację.

22 listopada 2019 roku, piątek

Jechaliśmy właśnie na lekcję gotowania do pobliskiej restauracji, kiedy nagle przed nami pojawił się na wpół ogolony pies starający uciec przed goniącą go właścicielką. Tej sceny długo nie zapomnę, dlatego też zapytałem szefową kuchni o jej stosunek do spożywania psów, na co ona odpowiedziała, że jest wegetarianką. Gdy zaś przyrządza jakieś mięso, to ufa swoim umiejętnościom i robi to bez próbowania. *À propos* podejścia do zwierząt: opowiedziała nam o takiej małej tradycji wietnamskiej. Ludzie kupują na bazarach żywe zwierzęta, a następnie wypuszczają je na wolność, co w konsekwencji ma przynieść szczęście wyzwolicielom.

Prosto z zajęć pojechaliśmy na bazar, gdzie kupiliśmy dwie rybki, po czym wypuściliśmy je do sztucznie utworzonego jeziorka w centrum miasta. Teraz jesteśmy w pokoju hotelowym. Valeria się pakuje, czesze włosy. Za godzinę jedziemy na lotnisko. Ona trochę się denerwuje, bo przełożyli jej lot do Ho Chi Minh na późniejszą godzinę, ale według mnie dalej ma sporo czasu na przesiadkę.

23 listopada 2019 roku, sobota

Wstałem późno, bo całą noc pisałem z Valerią. Miała przesiadkę w Sajgonie, później w Pekinie, dopiero teraz leci w stronę Rzymu. Około godziny dwunastej poszedłem zrobić pranie. Pamiętałem o sytuacji sprzed dwóch tygodni, kiedy zgubiono moje kąpielówki, więc teraz rozłożyłem wszystkie ubrania, zrobiłem zdjęcia i listę ze szczegółowo rozpisanymi sztukami bielizny. Następnie w pralni pokazałem swoją dokumentację, po czym umówiliśmy się, że odbiorę ubrania po osiemnastej.

Wcześniej wybrałem się na obiad do pobliskiej knajpy, Happy Butterfly. Jadłem, piłem piwo, odpisywałem na maile, projektowałem. Przejrzałem też wszystkich artystów, którzy mieli organizować wystawę w Złotym Kiosku.

Smutny był dzisiejszy dzień, powoli muszę się żegnać z Wietnamem. Odebrałem pranie i wróciłem do hotelu. Tym razem nic nie zniknęło.

24 listopada 2019 roku, niedziela

Dziś wieczorem wylatuję do Seulu. Po śniadaniu porozmawiałem z recepcjonistą o późniejszym wymeldowaniu. Niemile mnie zaskoczył, mówiąc, że muszę zapłacić za kolejną dobę. Mieszkałem u nich dziesięć czy jedenaście dni i zamawiając wycieczki, dawałem spore napiwki. Kiedy mu o tym przypomniałem, odparł, że w takim razie mogę zostać do piętnastej bez dodatkowych opłat. Po krótkiej drzemce zniosłem bagaże i wybrałem się na ostatnią przejażdżkę. Jak już mówiłem, jazda przypomina tu sport ekstremalny. Wszyscy pędzą, trąbią, potrącają się, nikt na nikogo nie patrzy ani na nic nie czeka. Każdy liczy na szczęście, a właśnie tego mi dziś zabrakło. Zahaczyłem o skuter nadjeżdżający z prostopadłej ulicy. Młody chłopak tylko się odwrócił i po-

jechał dalej, a ja leżałem na środku skrzyżowania. Szybko się ogarnąłem, podniosłem i ruszyłem dalej.

Pierwszej nocy w Wietnamie zatrzymałem się w hotelu Ambasador. Mimo że mieszkałem na siódmym piętrze, nie mogłem zasnąć, bo ciągle słyszałem: *miao ciao hao*. Wygląda to tak: starsze kobiety w wietnamskich czapkach prowadzą rower, na którym zawieszone są kosze na przykład z bananami, a z głośnika przywiązanego do kierownicy wydobywa się ten bardzo specyficzny dźwięk. Gdy wracałem do hotelu, szukałem jego źródła i zatrzymałem się jeszcze kilka razy obok pań sprzedających lokalne produkty. Chciałem to urządzenie kupić. Jednak po trzeciej odmowie uzmysłowiłem sobie, że dla tych kobiet to ważny przedmiot służący do pracy, a dla mnie byłaby to tylko pamiątka z podróży. Zrezygnowałem. W hotelu zebrałem swoje bagaże, kupiłem kolejne piwo, wsiadłem do taksówki i pojechałem na lotnisko. Teraz jestem w palarni ze starszą Francuzką, która ciągle na mnie spogląda i się uśmiecha.

25 listopada 2019 roku, poniedziałek

Wylądowałem wcześnie, o godzinie piątej trzydzieści. Jest zimno jak cholera. Gdy startowałem, było około dwudziestu pięciu stopni, a teraz jest zero. Ziąb podkreśla surrealistyczna scenka: obok mnie chodzi, dmuchając parą jak smok, zmarznięty mnich buddyjski w puchowej kamizelce i klapkach. Po przejściu przez kontrolę paszportową bez problemu kupiłem bilet do miasta za równowartość około stu złotych. Już wtedy zdałem sobie sprawę, że to całkowicie inny świat niż Wietnam. Tutaj nikt nie patrzy na mnie z uśmiechem na twarzy i otwartymi ramionami, w duchu obmyślając, jak na mnie zarobić. Spojrzenia były bardziej wymuszone, a kontakt, chociażby ze sprzedawczynią biletów, znikomy.

Autobusem pospiesznym dojechałem do miasta. Trochę zagubiony, przegapiłem swój przystanek, przez co dotarłem do hotelu dopiero około godziny ósmej. Byłem zmęczony i zmarznięty, dlatego poprosiłem o wcześniejsze check-in. Hotel był bardzo ekskluzywny, pięciogwiazdkowy, a mimo to zaproponowali mi jedynie kanapę w holu do godziny piętnastej. Chwilę się zdrzemnąłem, a po przebudzeniu, jeszcze lekko oszołomiony, zacząłem planować swój dalszy pobyt w Korei. Podszedłem do recepcji i zapytałem o wycieczki do strefy zdemilitaryzowanej między Koreą Południową a Koreą Północną. Recepcjonistka nie mówiła w ogóle po angielsku, więc wskazałem jej palcem ulotkę konkretnej wycieczki. Po jakimś czasie zrozumiała, czego oczekuję, i zadzwoniła do biura podróży współpracującego z hotelem. Okazało się, że ze względu na afrykańską gorączkę wszystkie wycieczki do DMZ zostały wstrzymane. Obok mnie stał Chińczyk, który mówił trochę po angielsku i to potwierdził. Zasmucony wróciłem na sofę i znowu się zdrzemnąłem. Jednak po kolejnej godzinie, nie chcąc marnować czasu, podszedłem do recepcji raz jeszcze i spytałem, gdzie mógłbym kupić cement. Tym razem bariera językowa między nami była zbyt duża.

Podirytowany zszedłem piętro niżej. Podążałem za znakami do toalety, a po drodze spotkałem kolejnego pracowni-

ka hotelu. Pomyślałem, że skoro recepcjonistka jest aż tak zdezorientowana i nie mówi po angielsku, to są duże szanse, że jakakolwiek spotkana przeze mnie osoba będzie bardziej pomocna. Wytłumaczyłem mu swoją sytuację, po czym on zabrał mnie z powrotem do recepcji. Rozdzwonili się z recepcjonistką w poszukiwaniu odpowiedniego sklepu i go znaleźli. Już chcieli zamówić mi taksówkę, ale okazało się, że w sklepie budowlanym sprzedają wyłącznie worki dwudziestokilogramowe, a ja potrzebowałem przecież tylko dwóch kilogramów. Dla mnie nie było to problemem, ale dla menadżera hotelu – owszem. Stwierdził, że nie mogę kupić całego worka. Poprosił mnie, żebym wrócił na swoją sofę. Po pięciu minutach przyniósł mi szpachelkę, a po kolejnych dwudziestu dwa kilogramy szarego cementu. Nie wiedziałem, jak mu dziękować. Nie tylko za beton czy narzędzia. Dzięki niemu nie zmarnowałem tego poranka.

Zachęcony obrotem sprawy, zacząłem rozglądać się w poszukiwaniu wiadra i piasku. Kiedy wcześniej jechałem autobusem, zauważyłem plac budowy i pomyślałem, że tam właśnie powinienem się udać. Wyszedłem z hotelu bez śniadania, bo ceny mnie trochę przerażały, i udałem się do pobliskiego sklepu spożywczego, gdzie kupiłem red bulla na zmęczenie i snickersa na przyrost cukru i energii. Gdy wracałem na główną ulicę, przechodziłem obok wąskiego przejścia między budynkami. Obróciłem się, a tam stało wiadro pełne piasku. Nie wiem, może to był piasek z kuwety dla kota. Powąchałem go, ale nie poczułem nadzwyczajnego smrodu. Zabrałem wiadro ze sobą – od tamtej pory co chwilę podchodził do mnie ktoś z obsługi z pytaniem, czy zamierzam rozrabiać beton w pokoju hotelowym.

O godzinie trzynastej trzydzieści recepcjonistka powiedziała, że mogę zrobić check-in. Pokój ładny, na dziewiątym piętrze, z widokiem na miasto, a w toalecie myjąca deska klozetowa. Ściągnąłem spodnie, wskoczyłem do łóżka i zdrzemnąłem się z pół godziny. Obudziła mnie jakaś niecierpliwość, poczucie winy, że jeszcze do tej pory nie zalałem formy Kalina. Puściłem muzykę, starannie rozłożyłem ręczniki, żeby zachować czystość, i przystąpiłem do realizacji planu.

Wszystko zaczęło się jeszcze w 2012 roku, kiedy wieczorami do mojego biura na Prusa 37 przychodziły Marika i Aneta. Tańczyliśmy, śmialiśmy się i debatowaliśmy na temat tego, jak widzimy świat. Wtedy też powstała idea człowieka uniwersalnego. Dziewczyny z biegiem lat zniknęły, ale Kalin pozostał.

Około godziny piętnastej wyszedłem zwiedzić miasto. Komunikacja miejska jest tutaj bardzo dobrze zorganizowana, autobusy odjeżdżają prawie co dwie minuty, a ulice są czyste. Zachodziło słońce, dookoła mnie stromo wznoszące się uliczki, a ja z każdym krokiem czułem się coraz bardziej podekscytowany, jakbym miał motyle w brzuchu. Wydawało mi się, że zaraz po Wietnamie odwiedziłem nowy, lepszy i bardziej zorganizowany świat.

Podczas spaceru zauważyłem sklep, którego witryna była ostro podświetlona zimnym białym kolorem. W środku znajdowały się małe boksy, a w nich koty i psy niewielkich rozmiarów. Wszystko wyglądało dość ekskluzywnie i drogo. Był to sklep i jednocześnie zakład weterynaryjny. Szczęśliwe, wylegujące się zwierzęta słuchały muzyki klasycznej –

wyglądało to jak marzenie psa, na przykład tego z Wietnamu.

Zgodnie z poleceniem Paula wybrałem się zobaczyć nowo otwarty budynek Franka Gehry'ego – butik Louis Vuitton. Ulica, na której się znajduje, robi bardzo duże wrażenie, pomimo że skala wydaje się śmiesznie mała, trochę scenograficzna. Wielkie marki, takie jak Armani, Prada, Kenzo i Vuitton, umieszczone zostały w budynkach rozmiaru domków jednorodzinnych. Drzwi otworzył mi odźwierny. Atmosfera była miła, choć już na pierwszy rzut oka widać było, że nie przyszedłem na zakupy. Wszyscy uśmiechnięci, starali się być pomocni. Zrobiłem kilka zdjęć, jednak nie ekscytowałem się za bardzo architekturą. Zdecydowanie nie trafia ona w moje poczucie estetyki. Wydaje mi się, że jeszcze nie potrafię zrozumieć malarskiego podejścia do architektury ani wielkiej ekspresywności Gehry'ego na tyle, żeby odnosić się do nich z szacunkiem. Po prostu źle się czuję w tej przestrzeni. Czego nie mogę powiedzieć o budynku zaprojektowanym przez Davida Chipperfielda, również poleconym przez Paula. Tam od razu poczułem radość z otaczającej mnie estetyki, symetrii, układu funkcjonalnego wnętrz i czytelności przestrzeni, która jest oczywiście przerośnięta w stosunku do potrzeb – ale kto właśnie, jeśli nie ludzie, zasługuje na przestrzeń? Tutaj mają jej w bród. Piękny, wysoki standard, wszystko bardzo dobrze wykończone, naturalne doświetlenie zdaje się działać idealnie.

Podszedłem do recepcji i zapytałem młodą kobietę, czy mogę wejść do ogrodu znajdującego się na czwartym piętrze. Niestety okazało się, że dostęp mają tylko pracownicy, więc mi odmówiła. Poszedłem na pierwsze piętro i tam spotkałem jakiegoś menadżera, któremu napomknąłem, że jestem od Davida Chipperfielda, i zapytałem, czy mógłbym wejść do strefy dla pracowników. Wpuścili mnie, zrobiłem kilka zdjęć i cieszyłem się tym budynkiem. Na koniec jednak moje małe kłamstewko wyszło na jaw.

Do hotelu wróciłem metrem, wziąłem ciepłą kąpiel i teraz szukam nowych możliwości, żeby dostać się do strefy zdemilitaryzowanej.

26 listopada 2019 roku, wtorek

Plan był taki: wstaję wcześnie, około siódmej, i szukam transportu do któregoś z przygranicznych miast. Rozumiem, że zorganizowane wycieczki zostały wstrzymane, ale przecież zwykli Koreańczycy muszą się tam jakoś dostawać. W drodze na dworzec zatrzymałem się przy punkcie informacji turystycznej. Tam, tłumacząc panu, że DMZ jest celem mojej całej podróży, wyprosiłem numer telefonu do człowieka, który mógłby mi w tym pomóc. Umówiliśmy się na czwartek o godzinie siódmej trzydzieści w recepcji mojego hotelu.

Naprzeciwko miejsca, w którym się teraz znajduję, jest budynek o nazwie Dongdaemun Design Plaza. Chodząc po jego wyoblonych dziedzińcach wyłożonych szarym materiałem, podziwiałem, jak pięknie układają się cienie tych dziwacznych kształtów. Dookoła nie było dużo ludzi. Wyciągnąłem więc drona, podłączyłem telefon do pilota, rozłożyłem śmigła i wystartowałem, a już trzy sekundy później

podbiegł ktoś z ochrony, wykrzykując, że mam natychmiast lądować. O ile z zewnątrz budynek wywarł na mnie spore wrażenie, o tyle w środku ortogonalne kształty pustych sal konferencyjnych niesamowicie zgrzytały w zderzeniu z obłościami elewacji.

Później kupiłem bilet na zielony autobus turystyczny – i tak trafiłem do pałacu Cheongwadae. Poprosiłem kierowcę, żeby wysadził mnie naprzeciwko głównego wejścia, lecz ten stanowczo odmówił, tłumacząc, że przystanek jest trochę dalej. Gdy już wysiadłem, okazało się, że mam do przejścia około dwóch kilometrów, ale naprzeciwko przystanku zobaczyłem protestujących ludzi i wtedy od razu poczułem jakąś taką nadzieję, że w końcu coś szczerego, prawdziwego się wydarzy.

Przy ogrodzeniu były dwie bramki. Jedna dla protestujących babć, trochę popłakujących, trochę śpiewających. Druga dla gości oficjalnych, wydaje mi się, że polityków. Tam pokazałem swoją legitymację prasową z magazynu „WhiteMAD", którą zorganizowałem przed wyjazdem, po cichu licząc, że będzie działała trochę jak biała flaga na terenach wojennych w Syrii. Ochroniarze zaczęli rozmawiać, debatować, a w końcu zawołali menadżera. Nie przepuścili mnie, ale gdzieś bokiem przecisnąłem się do innych protestujących, już takich zahartowanych i długoterminowych.

Ulica miała jakieś dwa kilometry długości. Przez jej środek prowadziła ścieżka, a po każdej ze stron było około pięciu materacy. Starałem się dowiedzieć, przeciwko czemu ludzie protestują. Przysiadłem się do starszej pani, która – ku mojemu zdziwieniu – mówiła bardzo dobrze po angielsku,

a ponadto kilka lat temu odwiedziła Polskę. Znała między innymi Wrocław i Kraków. Tutaj właśnie dostrzegłem wielką różnicę między Tajlandią i Wietnamem a Koreą Południową. W Tajlandii, gdy mówiłem, że przyjechałem z Europy, miejscowi lekko podnosili głowę do góry, jakby zastanawiali się, gdzie też jest ten inny świat. Tutaj co prawda wielu Koreańczyków nie mówi po angielsku, ale większość z nich była w Europie.

Starsza kobieta powiedziała mi, że protestują przeciwko prezydentowi. W rękach trzymała Biblię i krzyczała z oburzeniem, że obecny prezydent „skręca w lewą stronę", wycofał porozumienie z Japonią, wycofuje się z porozumienia z Ameryką, a coraz bardziej zbliża się do Korei Północnej i Chin. Nie wiem, czy to prawda, nie zweryfikowałem informacji, ale to właśnie wtedy dowiedziałem się o byłej prezydent zaprzysiężonej w 2012 roku i tak bezlitośnie osądzonej przez naród koreański już cztery lata później.

Prosto z protestu pojechałem na pierwszą atrakcję polecaną przez Anetę, czyli na karaoke. Koreańczycy zamykają się w malutkich pokojach, włączają telewizor i zamieniają się w gwiazdy muzyki. Kilka lat temu widziałem coś podobnego w Szanghaju. Tutaj jednak w recepcji pierwszego klubu karaoke pan w średnim wieku powiedział, że nie mogę wejść, bo jestem sam, a obok mnie jest grupa ludzi i oni prawdopodobnie będą się lepiej bawili. Zrobiło mi się trochę smutno. Teraz siedzę, piję piwo i jem niesamowicie ostrą zupę podaną przez niemiłego właściciela restauracji. Atmosfera stała się nieprzyjemna, ale trudno. Wracam do hotelu.

27 listopada 2019 roku, środa

Kiedy pakowałem Kalina, zauważyłem, że bardzo się kruszy. Teraz jestem już pewny, że coś było nie tak z piaskiem, który znalazłem przez przypadek. No i zaczęła się scena jak z *Jasia Fasoli* – głowę rzeźby obsypałem cementem, a po chwili się potknąłem i jego resztkę wysypałem koło prysznica w łazience. Po trzydziestu sekundach byłem cały upaprany, łazienka wyglądała jak plac budowy, a Kalin, jak był kruchy, tak kruchy pozostał. Miałem nadzieję, że jeszcze doschnie, przecież minęła dopiero jedna noc, od kiedy wyciągnąłem go z formy. Postanowiłem jednak nie ryzykować, w końcu to mój przedostatni dzień w Korei. Szybka decyzja i pomnik znalazł się w mojej torbie, a ja z torbą w autobusie miejskim.

Dojechałem do miejsca, gdzie kiedyś była autostrada, a teraz jest rzeka. Zapamiętam je, bo pokazuje płynny i zmienny charakter Korei: to się podnosi, to znów upada. Tak dzieje się na przykład z gospodarką. Z wielkim entuzjazmem pompują ją jak balon, nie patrząc na to, że zaraz pęknie. Od 1953 roku, czyli od zakończenia wojny koreańskiej, gospodarka rozwijała się w niezwykłym wręcz tempie, PKB wciąż rosło, aż w 1997 roku nastąpił krach, bańka pękła, a jakość życia społeczeństwa drastycznie się obniżyła. Teraz znowu gospodarka koreańska jest jedną z najbardziej rozwiniętych na świecie, ludzie są szalenie pracowici i bacznie obserwują świat. Wielkie firmy, takie jak Samsung czy LG, podpatrują rozwiązania na przykład u Amerykanów i natychmiast wdrażają je do własnej produkcji. Wszystko wskazuje na to, że Koreańczycy znów są na szczycie tej sinusoidy, bo nigdy nie byłem w bardziej rozwiniętym kraju pod względem jakości komunikacji, czystości, wysokich płac i cen. Korea zaskakuje niesamowitym tempem przemian i – czasami – ich niespodziewanymi skutkami. Był moment w historii Seulu, gdy miasto rozwijało się z taką prędkością, że włodarze zapomnieli zmieniać infrastrukturę lub wyraźnie za późno się do tego zabrali. Kiedy jednak sobie o tym przypomnieli, zmiana była ekstremalna: autostradę przebiegającą przez centrum zastąpiono meandrującym potokiem. Teraz jestem tu i widzę rzekę płynącą w miejscach, gdzie jeszcze piętnaście lat temu było sześć pasów ruchu.

Postanowiłem przykleić głowę Kalina na wybrzeżu, na kamiennym cypelku.

Kalina Czerwińska – 37°34'08.3"N 126°58'50.7"E

2 lutego 1952 roku, Daegu, czwarte co do wielkości miasto w Korei Południowej. Minęło już dziesięć lat, od kiedy dwa supermocarstwa – ZSRR i Stany Zjednoczone – podzieliły Koreę na część północną, komunistyczną, i południową, kapitalistyczną. W Daegu mieszka pół miliona ludzi, to stosunkowo dużo. Teraz miasto tętni życiem, a jeszcze niecałe dwa lata temu Korea Północna, wspierana przez Związek Radziecki, je bombardowała.

W willi na przedmieściach o godzinie piątej piętnaście prywatny lekarz państwa Czerwińskich odbiera poród i przyjmuje na świat ich dziecko. Rodzina jest zamożna. Matka w spadku otrzymała liczne posiadłości, które teraz wynajmują, a ojciec jest wojskowym, którego kariera rozwija się w dynamicznym tempie. Nie mieszkają tutaj długo. W 1953 roku, zaraz po za-

wieszeniu broni i utworzeniu strefy DMZ, ojciec ze względu na obowiązki służbowe przeprowadza się z całą rodziną do stolicy, Seulu. Miasto z trudem się odbudowuje. Większość najważniejszych budynków jest zrujnowana, a na szczytach władzy w dalszym ciągu nie ma porozumienia; zamiast odbudowywać kraj, politycy toczą ze sobą zaciętą walkę o przywództwo.

W maju 1963 roku ojciec Kaliny przejmuje władzę w wyniku wojskowego zamachu stanu, a już 15 października w fikcyjnych wyborach powszechnych zostaje wybrany na prezydenta Korei Południowej. Fakt ten wpływa zarówno na korzyść państwa, gdyż potrzebuje ono stanowczego przywódcy, co bardzo pozytywnie wpływa na gospodarkę i nastroje społeczne, jak i na niekorzyść, gdyż władza przejęta siłą jest notorycznie podważana. Kalina od najmłodszych lat żyje tym, czym żyje kraj. Na co dzień słyszy dyskusje polityczne swoich rodziców. W wieku piętnastu lat, w 1966 roku, dostaje się do liceum dla dziewcząt noszącego nazwę Święte Serce. Jest ambitną uczennicą, a szkołę kończy z wyróżnieniem. Ma na to wpływ ojciec, który zarówno w stosunku do Kaliny, jak i w stosunku do jej młodszego rodzeństwa w wychowaniu stosuje reżim wojskowy.

Tuż po ukończeniu liceum Kalina zaczyna studia na kierunku inżynieria elektroniczna, żeby po trzech latach wyjechać do Francji i studiować na Uniwersytecie Josepha Fouriera. Jest tutaj trochę zagubiona, ponieważ różnice kulturowe są ogromne, ale wewnętrzna dyscyplina nie pozwala jej na powrót bez ukończenia wybranych studiów. Zaledwie kilka miesięcy po rozpoczęciu nauki dostaje telegram z informacją, że jej matka zginęła w zamachu. Było to zabójstwo na tle politycznym dokonane przez fanatyka Korei Północnej, Muna Se-gwanga. Kalina bez zastanowienia wraca do kraju, gdzie pełni obowiązki pierwszej damy przez następne pięć lat – do momentu, kiedy 26 października 1979 roku w kolejnym zamachu ginie jej ojciec.

Wówczas, mając dwadzieścia osiem lat i będąc tak doświadczoną przez życie, decyduje się na odejście od koreańskiej polityki. Rozwija swoją karierę naukową, wraca do miasta, w którym się urodziła, i w 1982 roku zostaje rektorem uniwersytetu Youngnam w Daegu. Kilka lat później otrzymuje tytuł honoris causa z literatury, a w roku 1994 zostaje członkiem Koreańskiego Stowarzyszenia Literackiego. Stawia mocną granicę między własnym życiem a życiem kraju i przez kolejne cztery lata nawet nie próbuje się zbliżać do polityki. W końcu jednak decyduje się kandydować na deputowaną Wielkiej Partii Narodowej, ugrupowania konserwatywnego, prawicowego i populistycznego. Duża część Koreańczyków postrzega ojca Kaliny jako bohatera narodowego, co pomaga jej wygrać wybory i już w 2004 roku objąć stanowisko przewodniczącej tej partii.

20 maja 2006 roku, podczas jednej z kampanii wyborczych, zostaje zaatakowana przez pięćdziesięcioletniego mężczyznę, który rozcina jej twarz, zostawiając głęboką ranę, wymagającą około sześćdziesięciu szwów. Sekretarka Kaliny powiedziała, że pierwszą rzeczą, którą usłyszała od niej po operacji, było: „Jak wygląda sytuacja w Daejeon?". Kandydat Czerwińskiej wygrywa wybory na burmistrza Daejeon, a ona nabiera wiatru w żagle.

W 2011 roku zakłada swoją partię i po wyborach zasiada na czele rządu. Już rok później jest kandydatką na prezydenta Korei Południowej i udaje jej się wygrać. Zaledwie dwa miesiące po objęciu urzędu wybiera się do Stanów Zjednoczonych, gdzie

apeluje do Baracka Obamy o umocnienie relacji i utworzenie wspólnego frontu przeciwko prowokacjom ze strony Korei Północnej. Mija miesiąc, a Kalina jest już w Chinach i dyskutuje o sprawach ekonomiczno-politycznych. W listopadzie zaś gości Władimira Putina. Głównym tematem jej polityki zagranicznej są oczywiście stosunki z Kim Dzong Unem.

Przełamuje bariery, odwiedza Koreę Północną i Iran. Ludzie zaczynają postrzegać ją jako kogoś, kto może zmienić na lepsze nie tylko Koreę, ale cały świat. W rankingu „Forbesa" na liście najbardziej wpływowych kobiet zajmuje jedenaste miejsce. Bierze wszystko w swoje ręce, decyduje o sprawach państwowych jak o sprawach gospodarstwa domowego, spotyka się z prezesami między innymi Samsunga i Lotte.

Od samego początku kariery politycznej towarzyszy jej przyjaciółka, Choi Soon-sil. Obydwie pochodzą z zamożnych rodzin, dlatego mają zawężone pole widzenia, tak jakby nie zdawały sobie sprawy z istnienia innych warstw społeczeństwa. Głównymi tematami ich rozmów są ekonomia, gospodarka… i pieniądze. Bawią się przy tym świetnie i niepostrzeżenie razem zaczynają traktować życie jak grę. Choi oficjalnie nie zajmuje żadnego urzędu i nie ma certyfikatu do tajnych informacji, więc kiedy na jaw wychodzi, że doradza pani prezydent, wybucha wielka afera. W ślad za nią pojawiają się następne – ta gra ma też czarne strony. Okazuje się, że Choi, posługując się nazwiskiem Czerwińskiej, negocjowała i szantażowała szefów najważniejszych koreańskich konsorcjów. Wymusiła łapówki wysokości dwudziestu trzech miliardów wonów.

W świetle całej tej sytuacji 31 marca 2017 roku Kalina zostaje aresztowana, a sąd konstytucyjny zdejmuje ją z urzędu. Jej po-

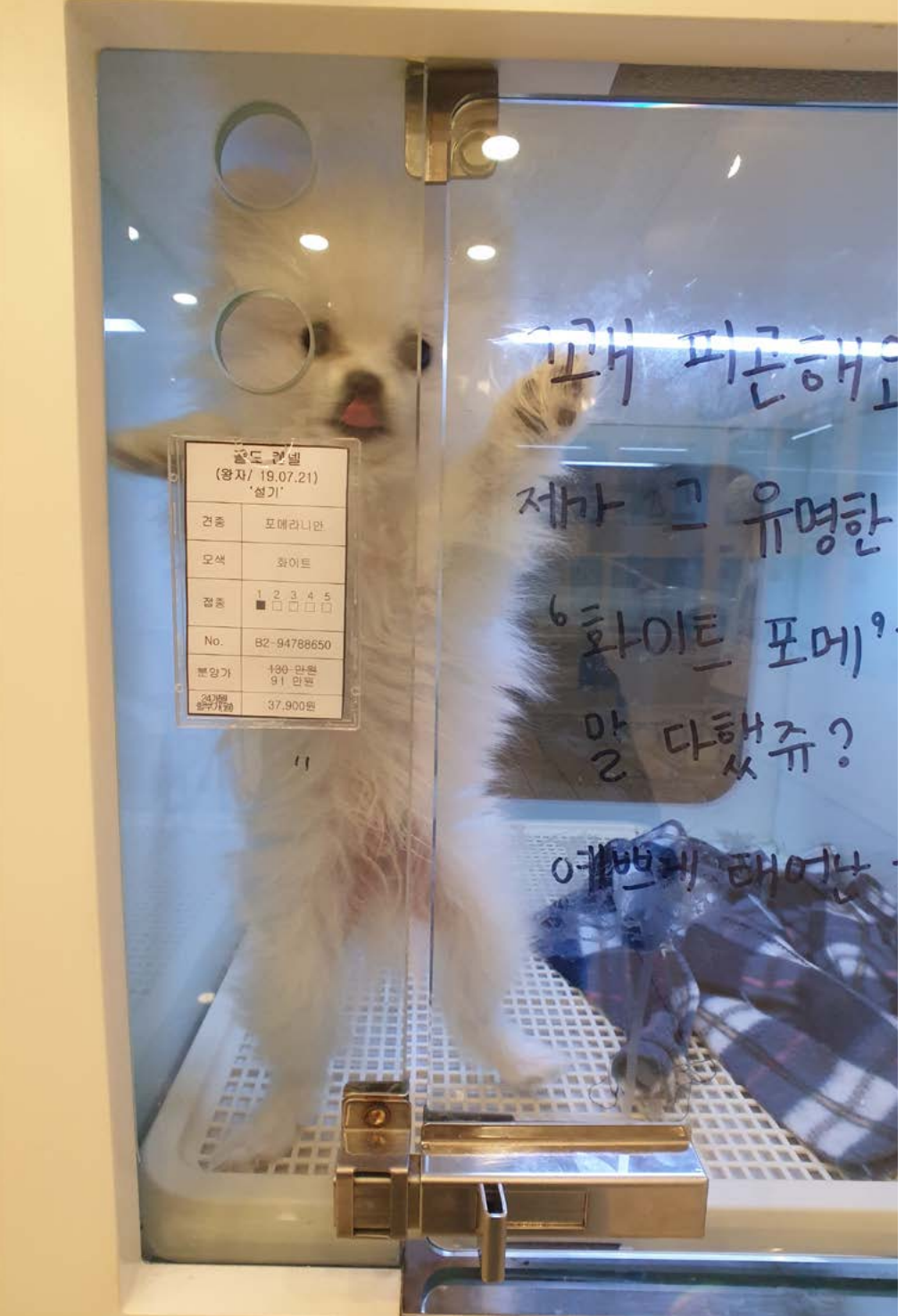

parcie w ciągu kilku miesięcy spada z sześćdziesięciu trzech procent do czterech. Czerwińska nie wykazuje skruchy, a zamiast tego usiłuje zrzucić całą winę na Choi i swoich współpracowników, co wykorzystuje sędzia do uzasadnienia tak surowego wyroku. Podczas rozprawy Kalina rezygnuje nawet z obrońców. Nie chce nawiązać współpracy z adwokatami wyznaczonymi z urzędu, mówi, że sprawa i tak już jest przegrana. Sąd rejonowy w Seulu uznaje ją za winną szesnastu z osiemnastu zarzucanych jej czynów, między innymi korupcji i nadużyć władzy. Była już pani prezydent zostaje skazana na dwadzieścia cztery lata więzienia i osiemnaście miliardów wonów grzywny. To ma być wyraźny sygnał dla przywódców kraju.

Czerwińska ma teraz sześćdziesiąt dziewięć lat, od trzech jest w więzieniu i konsekwentnie zaprzecza wszystkim oskarżeniom, twierdząc, że proces w jej sprawie jest umotywowany politycznie.

Wybrałem bardzo ruchliwe miejsce, dlatego już po kilkunastu sekundach pierwsza osoba zrobiła sobie zdjęcie z nowym pomnikiem. Ten fragment rzeki był akurat przeznaczony dla artystów jako przestrzeń ekspozycyjna, więc nikt się nie dziwił, że dzieje się tam coś nowego, a sama rzeźba szybko i dobrze się wkomponowała. Poprosiłem pewną Turczynkę, żeby zrobiła mi zdjęcie, ale zanim to nastąpiło, upuściła mój telefon i potłukła przyczepiony do niego obiektyw. Nie popsuło to jednak mojego dobrego humoru, bo z wybranej lokalizacji jestem bardzo zadowolony, z reakcji ludzi również. Nie wiem tylko, jak będzie z trwałością dobranych eksperymentalnie składników.

Po montażu wybrałem się do pałacu Gyeongbokgung, którego nazwa oznacza „pałac wielce błogosławiony przez niebiosa". Jego budowę rozpoczęto w 1395 roku i jest on największym z pięciu pałaców znajdujących się w Seulu. Od przewodnika dowiedziałem się o kilku banalnych i pięknych rozwiązaniach architektonicznych, które tam zastosowano. Teraz architekci tacy jak Renzo Piano czy Norman Foster szczycą się technologicznymi pomysłami, a przecież one były wykorzystywane kilkaset lat temu. Już wtedy rodzina królewska mogła się cieszyć ogrzewaniem podłogowym i niezwykle skuteczną wentylacją. Chciałbym zabrać tutaj instalatorów, z którymi współpracuję – może w przyszłości nie szliby w kilometry rur, kolanek i bezsensownych tras przewodów. Oprócz aspektów architektonicznych poznałem też prawa i zasady panujące w pałacu w czasach jego świetności. Z łatwością można by je odnieść do tych z feudalnej Polski. W mojej głowie wykluło się jedno przemyślenie: mimo skomplikowanych rytuałów i uduchowienia wszystko i tak kręci się wokół zaspokajania podstawowych potrzeb – żądzy pieniędzy i seksu. Było to wyjątkowe przeżycie, pałac zrobił na mnie wielkie wrażenie.

Trochę przemarzłem, więc uznałem, że czas na relaks w najbardziej znanym w Seulu centrum SPA, polecanym także przez Anetę. Po tym, jak przejechałem całe miasto, zapytałem pracowników budowy, gdzie znajdę konkretny adres: Hannam-dong 5. Poparzyli w lewo, gdzie był numer sześć, w prawo, gdzie był numer cztery, i zapytali, czego dokładnie szukam. Odpowiedziałem, że sauny, a oni wskazali na wykopaną w ziemi dziurę i powiedzieli, że tu właśnie stała jeszcze tydzień temu.

Ponieważ byłem nieco zmęczony, poszedłem do pobliskiej restauracji, żeby napić się piwa i zjeść obiad. Tam siedziały trzy starsze kobiety przy kości, ubrane w fartuchy, które jednoznacznie kojarzyły mi się z babcią Gienią. Wszystkie miały głowy skierowane lekko ku górze i oglądały koreańską operę mydlaną. Po kilku minutach dostałem piwo i jedzenie razem z niemiłym komentarzem, że wybrałem najtańszą potrawę. W pewnym momencie jedna z kobiet wyszła, żeby po kilku minutach wrócić z papierową torbą z McDonald's. Każda złapała po jednym cheeseburgerze, a jedząc, komentowały smak kanapek. Tak przynajmniej zrozumiałem całą sytuację. Z zazdrością patrzyłem na ich burgery, podczas gdy sam jadłem danie odgrzane w mikrofalówce. Postanowiłem znaleźć adres kolejnego SPA, o nazwie Dragon Hill.

Już po kilkudziesięciu minutach stałem przed wielką bramą jak z Disneylandu, nad którą wisiał czerwony napis, a dookoła były smoki. Nie czerpałem radości z estetyki tego miejsca, za to pięć różnych typów sauny, każda opalana innym drewnem i wypełniona innym aromatem, oraz pokój z lodem sprawiały, że czułem się tam dobrze. Atmosfera idylliczna. Jedni siedzą w saunie, inni spacerują, przytulają się do siebie, śpiewają. Nigdy nie byłem w takim miejscu, pewnie dlatego, że w Polsce ich nie ma. W grocie solnej zasnąłem na ponad godzinę. Muszę przyznać, że trochę straciłem tam poczucie czasu. Miejsce to było otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę i chętnie bym tam został dłużej, ale jako że jutro rano wybierałem się do strefy DMZ, postanowiłem skończyć ten relaks. Przed tym jednak jeszcze wykąpałem się razem z koreańskimi golasami – oczywiście mojej uwadze nie mogły ujść ich śmiesznie małe penisy.

W drodze do hotelu wstąpiłem do małej knajpki. Nie dało się porozumieć z kelnerem nawet w tak błahej kwestii jak zamówienie piwa. Wtedy ze stolika obok odezwali się jacyś mili młodzi ludzie, czwórka Koreańczyków: dwie dziewczyny i dwóch chłopaków. Pomogli mi złożyć zamówienie. Od słowa do słowa i po kilku minutach siedziałem już z nimi przy stoliku, popijając ich wódkę. Znali Wrocław ze względu na fabrykę LG. Wkrótce jeden z nich zaczął zasypiać. Drugi, ten najbardziej aktywny, był zaś na tyle gościnny, że nagle wybiegł z restauracji, żeby kupić mi paczkę koreańskich papierosów. Dziewczyny cały czas miło się uśmiechały.

Gdy Koreańczyk wrócił z papierosami, zapytałem ich, czy nie poszliby ze mną na karaoke. Najpierw nie chcieli się zgodzić, głównie ze względu na stan pierwszego kolegi, ale okazało się, że klub karaoke znajduje się w klatce obok. Tam zobaczyłem, jak niesamowite poczucie rytmu ma każdy z nich. Dziewczyny śpiewały jak Céline Dion, a podpity menadżer LG – jak John Lennon. Było bardzo wesoło. Ja im zaśpiewałem *Czerwone maki na Monte Cassino*, a może bardziej wyrecytowałem, bo wyszło na to, że kompletnie nie mam poczucia rytmu ani słuchu muzycznego. W mikrofonie słychać takie specyficzne echo, które powinno ułatwiać śpiewanie, jednak na mój brak zdolności chyba nie ma siły. Dziewczyny nagle zniknęły z imprezy, a ja po jakichś dwóch godzinach ocknąłem się obok chrapiących Koreańczyków, niedbale ułożonych na zamszowych sofach. Obudziłem ich, podziękowałem im za wspaniały wieczór i pieszo wyruszyłem w stronę hotelu, który był oddalony o niecałe dwa kilometry.

Byłem trochę pijany i bez telefonu, bo właśnie padła mi bateria. Wtedy niepodziewanie wyłonił się autobus jadący w dobrym kierunku. Wsiadłem do niego, myśląc już tylko o tym, że za chwilę będę odpoczywał w łóżku, ale kierowca niespodziewanie skręcił w prawo, a że był to kurs pośpieszny, wylądowałem z powrotem w centrum miasta. W tym momencie zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo jestem uzależniony od nawigacji i telefonu, co wiąże się też z poczuciem bezpieczeństwa. Nie przeszkadzało mi, że plączą mi się język i nogi, najważniejsze było to, że nie mam baterii. Po jakiejś godzinie udało mi się złapać autobus w przeciwną stronę. Kiedy tylko wszedłem do pokoju w hotelu, padłem na łóżko.

28 listopada 2019 roku, czwartek

Tak śpiewałem na karaoke, że przegapiłem wycieczkę do wymarzonej strefy DMZ. Mam kilka połączeń nieodebranych na WhatsAppie i z hotelowej recepcji. Wstałem o godzinie dziesiątej, czując niesamowite wyrzuty sumienia. Ponieważ jednak nie chciałem zmarnować ostatniego dnia w Seulu, wybrałem się do dzielnicy Bukchon, która charakteryzuje się tradycyjną architekturą koreańską. Byłem zmęczony i spuchnięty od alkoholu. Zatrzymałem się na obiad w ukrytej pomiędzy wąskimi uliczkami restauracji, zamówiłem placki – te same co w pierwszy dzień – po czym od razu polepszył mi się humor.

Stamtąd wybrałem się do dzielnicy sztuki, gdzie wszedłem do kilku galerii. W jednej z nich trafiłem nawet na wernisaż,

na którym spotkałem artystkę malującą głównie koreańskie bociany. Wszystko to wydawało mi się naiwne i płytkie, tak jak dania serwowane na ich szwedzkim stole. W kolejnej galerii zwróciłem uwagę na kwiaty i małe prezenciki leżące pod wystawionymi pracami. Okazało się, że po wernisażu znajomi, rodzina czy odbiorcy, którym dzieło przypadło do gustu, chcąc wyrazić swoje uznanie, zostawiają różne bibeloty pod daną pracą. Może to i miłe, ale na pewno zaburza odbiór.

Po obcowaniu ze sztuką współczesną Korei postanowiłem zgubić się na wąskich uliczkach Seulu. Po chwili zauważyłem grupę podekscytowanych ludzi, który wydawali się wiedzieć, dokąd idą. Znudzony swoim pijackim dniem, zdecydowałem się pójść za nimi, co okazało się bardzo trafną decyzją. Zaprowadzili mnie do lokalnej, taniej, supersmacznej restauracji. Oprócz garnuszka zupy, takiej jak w pierwszy dzień, zamiast zamówionej lampki przyniesiono mi wiadro z chochelką do nalewania wina ryżowego. Czas szybko mijał, ale w końcu zorientowałem się, że zostało go niewiele do odlotu, a ja jeszcze muszę się spakować.

29 listopada 2019 roku, piątek

Samolot do Tokio odlatuje o siódmej rano. Lotnisko w Seulu jest jednym z największych na świecie, ma dwa duże terminale, a ja musiałem jeszcze wykupić dodatkowy bagaż dla formy Kalina, bo nie mogłem tego zrobić online. Z tego powodu czekałem na autobus już o godzinie czwartej. Na lotnisku kazano mi zapłacić aż sto pięćdziesiąt dolarów za dodatkowe kilogramy, zabolało. Wypiłem kawę i zrobiłem zakupy za resztę koreańskich pieniędzy.

W Japonii wylądowałem około dziesiątej. Długo czekałem na swoje rzeczy i znowu okazało się, że w walizce brakuje kółka. W Wietnamie pani wyciągnęła z kieszeni dziesięć dolarów w dongach i powiedziała, że zgodnie z regulaminem jest to rekompensata za szkodę, co trochę złagodziło moją złość. Tutaj panie z obsługi pokazały mi zalaminowane zdjęcie zdezelowanej walizki i powiedziały, że przewoźnik nie ponosi odpowiedzialności między innymi za urwane kółka i że nic z tym nie zrobią, bo to mała wada. Jak dla mnie ta wada nie była mała, bo zamiast ciągnąć trzydziestokilową walizkę, przez kolejny miesiąc musiałbym ją nosić na plecach. Ponadto kilka godzin temu zapłaciłem sto pięćdziesiąt dolarów za nadanie tego bagażu. Postanowiłem więc, że nie odpuszczę. Najpierw krzyczałem, a potem w obecności pań i menadżera co chwilę wszystkich przepraszałem, kłaniałem się i wycofywałem, jak oni to zwykli robić. Czułem się nieswojo. Była to nowa kultura, w którą nie chciałem wchodzić z butami jak wieśniak, ale zwyczajnie miałem dość bycia oszukiwanym przez linie lotnicze. Skończyło się tak, że menadżer przyniósł mi nową walizkę o takich samych wymiarach, co mnie zadowoliło.

Do informacji turystycznej podszedłem z dwoma bagażami – moim starym i tym nowym, który właśnie otrzymałem. Zapytałem, jak mogę dojechać do centrum. Pani odpowiedziała, że ponieważ mam dwie walizki, muszę zarezerwować opcję „limuzine". Znowu się zdenerwowałem i zacząłem wielkie przepakowywanie. Kiedy wyciągnąłem

formę Kalina, ktoś do mnie podszedł i spytał o moją sytuację. Okazało się, że jest z TV Tokyo i robi reportaż o turystach przyjeżdżających do Japonii. Opowiedziałem mu całą historię i przedstawiłem cel, który mi przyświeca podczas tej podróży. Zrobiliśmy kilka pamiątkowych zdjęć, po czym pracownicy stacji wzięli ode mnie kontakt, mówiąc, że liczą na to, że będą mogli uczestniczyć w stawianiu japońskiego pomnika.

Nie wiem dlaczego, ale GPS często wprowadza mnie w błąd. Nie wyobrażam sobie podróży bez usługi lokalizacji w telefonie, jednak tutaj jej dokładność pozostawiała wiele do życzenia. O drogę zapytałem jakichś budowlańców siedzących na pace mercedesa sprintera. Z uśmiechem na twarzy zapaliliśmy papierosa, a oni na migi opowiedzieli mi o kilku głównych zasadach panujących w Japonii. Podstawowa była taka, że palić mogę, ale gasić już tylko do pojemniczka, który trzymam w drugiej ręce.

Po chwili dotarłem do hotelu, gdzie musiałem czekać, bo check-in zaczynało się o czwartej. W końcu udało mi się zakwaterować w mojej „trumnie". Ponieważ chciałem bardziej doświadczyć intensywności tokijskiej zabudowy, wybrałem hotel kapsułowy. Siedzę teraz w szafie z telewizorem i małą półeczką, a pode mną znajduje się zamykana szuflada, gdzie trzymam walizkę i formę. Nie wiem, jak można tak dłużej żyć. Jest środek dnia, a ja słyszę dookoła chrapanie i pierdy innych ludzi.

Wieczorem wyszedłem na jedną z najbardziej znanych ulic Tokio, Shibuya. Na środku ruchliwego skrzyżowania stoi pomnik Hachiko, czyli psa rasy akita, który przez kilka lat czekał na stacji kolejowej na swojego zmarłego pana. Od tamtej pory nie mogłem przestać myśleć o Adamie, czternastomiesięcznym szczeniaku, którego zostawiłem na tak długo. Tutaj umówiłem się z Arturem, znajomym, który przyjechał do Tokio na praktyki u Fujimoto. Jeśli Japonia, to *Lost in Translation*, a jeśli *Lost in Translation*, to Suntory. Siedzieliśmy w piwnicy małej knajpki i popijaliśmy whisky, kiedy przysiadły się do nas jakieś starsze Japonki, próbujące nas poderwać. Artur po mniej więcej godzinie stwierdził, że musimy już iść, bo metro jeździ tylko do dwunastej. Trudno mi było w to uwierzyć, ale biegałem za nim od stacji do stacji. W końcu jednak i tak przegapiliśmy ostatni kurs.

Skoro dostaliśmy już w prezencie czas, Artur postanowił mnie zabrać do dzielnicy, gdzie znajdują się takie dziesięcio-, a nawet piętnastometrowe puby, w każdym z nich dwadzieścia–trzydzieści osób. Wewnątrz trudno się oddychało, dookoła wisiały plakaty z porno i anime. Popijając piwo, sprawdziliśmy, ile kosztuje taksówka. Najtańszy był Uber, w cenie około stu osiemdziesięciu dolarów, ale jakaś siedząca obok dziewczyna powiedziała, że można to załatwić za czterdzieści, i zaprowadziła nas do głównej ulicy. Ku mojemu zdziwieniu zatrzymujący się taksówkarze mówili, że wolą ludzi za nami, bo ci są Japończykami. Zapytałem o to Likę i wtedy usłyszałem coś, co bardzo mnie uderzyło. Powiedziała, że Japończycy są rasistami, a ponadto nie traktują równo kobiet i mężczyzn. Mówiąc szczerze, nie takiej Japonii się spodziewałem. W końcu udało nam się złapać transport. Licznik bił, bił, bił, Artur gdzieś wyskoczył po drodze, a ja poprosiłem taksówkarza, żeby się zatrzymał, gdy kwota przekroczyła sto dolarów. W 7-Eleven kupiłem

piwo, pikantnego rollsa, paczkę papierosów, po czym ostatnie trzy kilometry do swojego hotelu przeszedłem pieszo.

30 listopada 2019 roku, sobota

Dzisiaj miałem w planach wypożyczenie auta i znalezienie sklepu budowlanego. Mój hotel kapsułowy był oddalony o niecałe dziesięć minut pieszo, czyli jedną stację metra, od Nissan Car Rent. Ja jednak, zagubiony w japońskich szlaczkach, wsiadłem do pociągu jadącego w dobrą stronę, ale pospiesznego, i już po kilku minutach od wypożyczalni dzieliło mnie ponad dziesięć kilometrów. Wysiadłem na pierwszej możliwej stacji, gdzie poprosiłem o pomoc jakiegoś biegnącego Japończyka. Wydaje mi się, że popsułem mu jego napięty grafik. Chyba ludzie mają tu pewien problem z odmawianiem, bo mimo że nie było mu po drodze, zaprowadził mnie na odpowiednią stację i poczekał ze mną na pociąg.

Auto miałem zarezerwowane dopiero od jutra, ale liczyłem na to, że jeszcze dzisiaj uda mi się nim wyjechać z wypożyczalni. Niestety, mimo wolnych samochodów na parkingu, usłyszałem, że raz dokonanej rezerwacji nie można zmieniać i żebym wrócił jutro. Musiałem się pogodzić z tym, że materiały budowlane, które miałem dzisiaj kupić, będę nosił w rękach, zamiast wozić je w bagażniku.

W Japonii nie ma OBI, za to jest Diot, do którego szedłem jakieś dwadzieścia minut. Tam obsługa była bardzo pomocna. Pomimo że jest to sklep samoobsługowy, to cement w worku czterokilogramowym, wiadro i plastikową szpachelkę przynieśli mi prosto do kas.

W drodze powrotnej zatrzymałem się w przestrzeni publicznej wysypanej piaskiem i żwirem. Udało mi się nabrać trochę piasku, mimo nieprzyjaznych spojrzeń japońskich staruszków. Cały mój bagaż nie był lekki. Pomyślałem, że bez sensu to wszystko nosić do hotelu i z powrotem i że lepiej będzie, jeśli zostawię go w wypożyczalni samochodów. Tak też zrobiłem, po czym wybrałem się na południe miasta. Moja siostra przesłała mi dwa adresy sklepów, do których powinienem się wybrać, jeśli chcę kupić coś specjalnego dla Adama. Japonia to przecież jego kraj.

Droga tam była dla mnie niemałą atrakcją, bo pociąg jechał estakadami pomiędzy wieżowcami, pod i nad budynkami. Czułem się jak na rollercoasterze. Dotarłem do sklepu, gdzie musiałem zdecydować, czy Adamowi przywiozę z Japonii kimono, kurtkę przeciwdeszczową, czy szelki. Chwilę się zastanawiałem, ale w końcu postąpiłem racjonalnie i kupiłem mu zwykłą czarną kurtkę z kapturem.

Po zakupach wyszedłem z centrum handlowego, położonego w bezpośrednim sąsiedztwie Fuji TV. To bardzo charakterystyczny prostopadłościenny budynek z wbitą pośrodku trzydziestodwumetrową kulą. Znajduje się on na samym środku sztucznie usypanej wyspy, niegdyś utworzonej, aby wzmocnić militarnie miasto. Budynek został zaprojektowany przez Kenzo Tangego w 1994 roku i – co pokazuje siłę Japończyków – oddany do użytku już dwa lata później. Ze względu na swój charakterystyczny kształt i konstrukcję wyróżniającą się niesamowitą odpornością na wstrząsy stał się ikoną światowej architektury. Do środka kuli można

wjechać za pięćset jenów, ale dziś już była zamknięta. Przeszedłem się więc tęczowym mostem, z którego zobaczyłem tokijską Statuę Wolności. Podobno kilka razy mniejszą od oryginału, ale jak dla mnie wciąż monumentalną. Słońce zachodzi, w tle widać wybrzeże i wspomniane wieżowce. Wreszcie czuję, że jestem w jednym z największych i najbardziej rozwiniętych miast świata.

Po zachodzie wybrałem się do Electronic City, znajdującego się w dystrykcie Shinjuku. To dzielnica kontrastów – z jednej strony wieżowce i korporacje, a z drugiej strony ociekająca seksem i pełna barów dzielnica czerwonych latarni. Wysiadłem na dworcu kolejowym, który obsługuje dziennie trzy i pół miliona pasażerów. To tak, jakby każdy wrocławianin w ciągu jednego dnia sześć razy pojawił się na Dworcu Głównym. Tak znalazłem się w tłumie ludzi, pomiędzy migającymi neonami, nie do końca wiedząc, co się dzieje dookoła mnie i w którą stronę mam iść. Tokijska dzielnica czerwonych latarni nazywa się Kabukicho i na pewno nie wygląda jak ta w Amsterdamie. Nie widziałem żadnych prostytutek na ulicach ani pań tańczących w witrynach okiennych. Za to na każdym kroku można tam spotkać DVD boksy i porno kina. Podobno Japończycy, skończywszy pracę, często o nie zahaczają.

Wszedłem do takiego budynku, który miał cztery piętra, na każdym kilkanaście pokoi. Zacząłem jednak od recepcji, gdzie nie wiedzieć czemu zdecydowałem się na pokój dla palących. Wtedy razem z jakimś postawnym panem ustaliliśmy, w jakiej pozycji chciałbym siedzieć. Miałem do wyboru trzy: na boku, na plecach i półsiedzącą. Na koniec do

rąk wsadzono mi okulary VR i powiedziano, że mój pokój znajduje się na trzecim piętrze. Było to czarne pomieszczenie o wymiarach mniej więcej półtora metra na trzy. Wszystko strasznie śmierdziało dymem papierosowym (mogłem jednak powiedzieć, że nie palę). Łóżko było przepocone i pewnie przesiąknięte nasieniem mężczyzn, którzy chwilę wcześniej się tutaj masturbowali. Czułem się obrzydliwie, ale chęć spróbowania tej dziwnej czynności była silniejsza, więc założyłem okulary VR i odtworzyłem pierwszy film. Wszystko wyglądało bardzo realistycznie, filmy były dobrane do pozycji, a więc widziałem nogi ułożone w ten sam sposób co moje. Mężczyzna był raczej bierny pod kobietą, co tylko ułatwiało wejście w ten wirtualny świat pornografii. Przesuwałem filmy dalej, aż w końcu dotarłem do trzeciego: rodzina je obiad na łóżku. Matka opuszcza pokój, a córka, wyglądająca na jedenaście–dwanaście lat, zaczyna się przytulać do ojca, co kończy się seksem. Wtedy zapach, atmosfera i wielkie poczucie obrzydzenia sprawiły, że jak najszybciej opuściłem to miejsce.

Po wszystkim dołączył do mnie Artur i poszliśmy do miejsca słynącego z sushi. Każdy z nas siadł przed wyświetlaczem. Tam mieliśmy do wyboru różne potrawy, które po zatwierdzeniu natychmiast podjeżdżały do nas wagonikiem. Tanio i przepysznie – tego właśnie potrzebowałem. Wyszliśmy trochę podpici, z żołądkami pełnymi sushi.

1 grudnia 2019 roku, niedziela

Wyczołguję się ze swojej trumny, potem szybki prysznic i testowanie ogólnodostępnych kremów i balsamów rozłożonych przed umywalkami. Może dobrze zadziałają na moją cerę? Formę do odlewu zapakowałem do dużej walizki, bo po doświadczeniach z Tajlandii wiedziałem, że te trzydzieści kilogramów fatalnie działa na mój kręgosłup.

Do wypożyczalni dojechałem metrem. Tam znany mi już właściciel firmy chciał sprawdzić moje międzynarodowe prawo jazdy. Jeszcze przed wyjazdem miałem dwa, według konwencji genewskiej i wiedeńskiej, ale w Wietnamie, na wyspie Cat Ba, zostawiłem jedno w wypożyczalni skuterów, żeby zachować paszport, który wydawał mi się bardziej wartościowy. Kiedy oddawałem skuter, byłem tak zaaferowany poprzednim wieczorem, że zapomniałem poprosić o zwrot prawa jazdy. Przypomniałem sobie o tym dopiero w Hanoi, ale pomyślałem, że skoro mam drugie, to nie przeszkadza mi, że wietnamski czarny rynek wzbogaci się o dokument z moim wizerunkiem. Tutaj jednak okazało się to problemem. Odpowiedź pana z wypożyczalni była krótka: „Nie wypożyczę ci auta". Poznałem już Japonię na tyle, by wiedzieć, że jakakolwiek dyskusja jest bezsensowna. Trochę pożartowałem przez łzy, mężczyzna chyba nawet chciał się uśmiechnąć, ale zrobił to dopiero na zewnątrz, po opuszczeniu biura, które znajdowało się w kontenerze. Przez okno widziałem, jak się śmieje. Potem zaś wrócił, żeby kontynuować rozmowę, a raczej mój monolog. Zdenerwowany wyciągnąłem papierosa, jednak w obrębie wypożyczalni palenie było zabronione. Wtedy pomocny japoński Dobromir zaprowadził mnie do palarni kilka ulic dalej. Ze stresu złapała mnie biegunka. W dodatku po kilkuset metrach zdałem sobie sprawę, że portfel, dokumenty i bagaż zostawiłem przed kontenerem. Zdecydowanie nie był to udany poranek.

Metrem wróciłem do hotelu razem z piaskiem, wiadrem, cementem i formą. Wtedy przypomniałem sobie o Arturze. Dziś o dziewiątej miałem go odebrać nowo wypożyczonym autem. Zrozumiał sytuację i po jakimś czasie dotarł do mnie do hotelu. Tam czekałem na niego w swoim kombinezonie, z czteropakiem piwa i materiałami budowlanymi. Kilkadziesiąt metrów od hotelu znaleźliśmy niewielki plac odgrodzony taśmami z napisem „Roboty budowlane", obok niego stał toi toi, z którego nawet skorzystaliśmy. Wszystko się zgadzało. Po jakiejś godzinie forma była zalana, a my – podpici piwkami. Zapakowaliśmy ją w worek foliowy, po czym powoli wnieśliśmy na trzecie piętro i schowaliśmy w szafce pod moją trumną. W końcu poczułem, że ten dzień nie jest zmarnowany.

Jak wspominałem, Artur przyjechał tutaj na praktyki do Fujimoto. Podziwiam jego głupi zapał do darmowej pracy i gardzę zachowaniem tak znakomitego projektanta jak Fujimoto. Z powodu braku wypłaty zmusza on trzydziestodwuletniego architekta, który przemierzył pół świata, do oszczędzania na jedzeniu czy też metrze.

Całe miasto przeszliśmy pieszo, a dzień zakończyliśmy przy brzegu rzeki z kolacją zakupioną wcześniej w 7-Eleven.

2 grudnia 2019 roku, poniedziałek

Przed godziną dwunastą obudziło mnie chrapanie dobiegające ze środkowego rzędu trumien. Wyciągnąłem formę schowaną pod łóżkiem i sprawdziłem efekty naszej wczorajszej pracy. Pomnik wyszedł bardzo dobrze. Tym razem jakość piasku i cementu była doskonała. Głowę postawiłem na półeczce w swojej kajucie i przygotowałem się do wyjścia.

Zacząłem od poczty, bo chciałem wysłać kartki świąteczne. Zajęło mi to trochę czasu, ponieważ obsługa w ogóle nie mówiła po angielsku. Potem zacząłem poszukiwania filmu do polaroida – niestety wczoraj okazało się, że te, które mam, są pozalewane. Kupienie wkładu do tej marki okazało się nie lada wyzwaniem w kraju, w którym ludzie są zafascynowani górą Fudżi i wszystko, co tylko można, nazywają jej imieniem: Fujifilm, Fuji TV, Fujimoto… Jednak po tym, jak z jednej sieciówki odesłano mnie do następnej, a z niej do jeszcze następnej, udało mi się.

Ponieważ chciałem porządnie przygotować swój wyjazd pod górę Fudżi, zdecydowałem, że dziś sprawdzę drogę na dworzec, z którego odjeżdża autobus do Kawaguchiko, znajdującego się bezpośrednio pod tym wygasłym wulkanem. Tokio jest na tyle duże i ma tak rozwinięty transport publiczny, że co chwilę się tutaj gubię. Podsumowując: znałem już drogę, miałem bilet, teraz mogłem iść spokojnie napić się piwa.

Ostatnią dzisiejszą przygodą był przejazd metrem. Wracałem do domu megazatłoczoną linią. Widziałem, jak ludzie zapierają się rękami i nogami, żeby nie wylecieć z pociągu.

3 grudnia 2019 roku, wtorek

Jest godzina czwarta rano, pomimo sprawdzonej wcześniej drogi zdecydowałem się wyruszyć z hotelu z godzinnym zapasem. Bez problemu dotarłem do stacji Shibuya, przy której znajdował się dworzec. Tam jednak, ku mojemu zdziwieniu, okazało się, że znane mi już wejście jest zamknięte. Zaspany i zakręcony wszedłem w końcu przez recepcję jakiegoś hotelu na piąte piętro, z którego odjeżdżał mój autobus. Zaraz po wyjeździe z centrum na horyzoncie zaczęła się pojawiać piękna góra, przy której serce naprawdę może zabić szybciej. Wydaje mi się, że jest to spowodowane otoczką kreowaną przez Japończyków wokół góry, którą zresztą nazywają swoim bogiem. W moich wyobrażeniach była to taka nasza Śnieżka, jednak kiedy ją zobaczyłem, naprawdę nie mogłem oderwać od niej wzroku. Pewnie też dlatego, że to pierwszy wulkan, który mogłem podziwiać, czyli góra bez czubka. Przez całą drogę gdzieś mi migała i powoli stawała się coraz większa.

W końcu dojechaliśmy do miejscowości Kawaguchiko. Tam kupiłem dwudniowy bilet na autobus turystyczny. Do wyboru były trzy trasy: czerwona, zielona i niebieska. Ta ostatnia obejmowała przystanek znajdujący się blisko lasu samobójców. Po tym, jak tam dotarłem, podszedł do mnie starszy pan z obsługi. Uśmiechając się, dał mi trochę nasion i zapytał, czy lubię ptaki. Nie czekając na odpowiedź, złapał moją rękę i wyciągnął ją do przodu. Wtedy stało się

coś pięknego. Ptaki, których wcześniej nie zauważałem, zaczęły do mnie podlatywać, siadały na dwie sekundy, delikatnie mnie dziobały i odlatywały. Wyglądało to tak, jakby miały jakąś ustaloną kolejkę, pojawiały się jeden za drugim. Nazywały się *varied*. Ponieważ chciałem sprawdzić, jak duży jest las Aokigahara, wyciągnąłem drona. Prawie natychmiast przybiegł ktoś z obsługi z informacją, że znajdujemy się na obszarze parku narodowego, zatem nie wolno tutaj latać. Znowu wiedziałem, że dyskusja jest zbędna; dopiero gdy się odwrócił, wystartowałem. Po krótkim locie nad tym zielonym cmentarzyskiem postanowiłem tam wejść.

Przed ścieżką prowadzącą w głąb stał znak zakazu wstępu. No i stało się, moja wyobraźnia zaczęła działać i fakt, że idę drogą zamkniętą dla turystów, delikatnie wzmagał obawy, które od początku mi towarzyszyły. Szedłem tą nieutwardzoną, pełną korzeni leśną trasą, ciągnąc za sobą walizkę. Poczułem, że jestem tam naprawdę sam. Wtedy obok mnie coś się poruszyło, a moje serce skoczyło do gardła. Był to człowiek przebrany za kamień, starszy pan, który fotografował mech. Po chwili złapałem oddech i byłem w stanie zamienić z nim kilka zdań. Ledwo mówił po angielsku, ale chciał utrzymać ze mną kontakt. Zdałem sobie sprawę, że widzi mnie w lesie z walizką, co sugeruje, że wybieram się w swoją ostatnią drogę. Może chciał, żebym jeszcze przemyślał tę trudną decyzję. Ja jednak, uspokajając go, otworzyłem walizkę, odwinąłem ręcznik i z uśmiechem na twarzy pokazałem mu głowę Kalina. Komunikowanie się z nim nie było łatwe, dlatego już po chwili każdy z nas poszedł w swoją stronę.

Dotarłem do miejsca, które widziałem na filmach z YouTube'a, gdzie odnoga ścieżki się kończy i jest zamknięta łańcuszkiem. Dookoła stoi kilka tabliczek z napisami po angielsku, żeby nie iść dalej i że jeśli się potrzebuje psychologa, to należy dzwonić pod podany numer. Rocznie przychodzi tutaj około dwustu osób, które już tego lasu nie opuszczają. Ma on pięć na pięć kilometrów, więc nie jest duży, można go przejść w dwie–trzy godziny, a średnio raz na dwa dni ktoś popełnia tutaj samobójstwo. Ten przerażający rytuał zaczął się od tego, że jakieś trzysta lat temu starsze osoby z demencją były przyprowadzane tutaj przez swoje dzieci. Pozostawiano je na pastwę losu, żeby uniknąć obciążenia dla całej rodziny. Pod koniec XX wieku pojawiła się jeszcze bardzo popularna w Japonii książka o najlepszych sposobach na popełnienie samobójstwa i las Aokigahara był pierwszy w rankingu. Poza tym Japończycy traktują samobójstwo nie jako ucieczkę od problemów czy wyraz słabości, jak to jest pojmowane w naszej kulturze, tylko jako wyraz honorowego wyjścia z sytuacji. Wszystko to sprawia, że las ten jest drugim – zaraz po moście Golden Gate w San Francisco – miejscem na świecie najchętniej wybieranym przez samobójców. Przychodzą oni tutaj często z namiotem, pożywieniem na kilka dni i wstążką, której jeden koniec przywiązują do drzewa na początku swojej drogi, żeby w razie czego móc wrócić. Wybierają miejsce, rozbijają obozowisko, jakiś czas spędzają w tym niesamowicie cichym, melancholijnym, przepięknym lesie, żeby w końcu zdecydować o swoim dalszym losie. Po kilku latach żądni wrażeń poszukiwacze odnajdują ich kości, a obok nich damską bieliznę, miłosne zdjęcia i inne bardzo osobiste rzeczy, często mające związek z jakimiś dramatycznymi wydarzeniami.

Miejsce to wzbudzało mój szacunek, nie chciałem wchodzić z butami do tej delikatnej i wyjątkowej struktury, jednak znowu chęć postawienia tam Kalina była mocniejsza. Przeszedłem tylko kilkaset metrów przez zarośla. Pomiędzy drzewami znalazłem wystającą skałę, która z daleka wyglądała jak ołtarz. Wyciągnąłem ręcznik, oczyściłem ją z mchu, zamieszałem klej i przymocowałem głowę.

Kalin Czerwiński – 35°28'28.9"N 138°39'36.9"E

26 kwietnia 1949 roku, Kobe. Miejscowość oddalona o jakieś pięćset kilometrów na zachód od Tokio, która liczy blisko półtora miliona mieszkańców. Po ulicach jeżdżą jeepy z amerykańskimi flagami, a dookoła widać słowa pisane alfabetem łacińskim, co świadczy o tym, że chwilę wcześniej jakiś żołnierz aliancki, zdenerwowany na japońskie krzaczki, postanowił je przetłumaczyć. Życie powoli wraca do normy. Zbombardowane budynki może nie zostały jeszcze odbudowane, ale ruiny są uporządkowane. W prywatnym szpitalu, w sterylnej sali porodowej, na świat przychodzi Kalin Czerwiński. Przedwcześnie. Kiedy położna oddaje dziecko, mieści się ono w dłoni uśmiechniętego ojca. Tak zaczyna się czas zarówno radości, jak i zmartwień dla rodziny. Niedługo po narodzinach u Kalina zdiagnozowano zapalenie jelit, dlatego kilka dodatkowych tygodni musiał on spędzić w szpitalu, nieustannie będąc podłączonym do kroplówek. Po opuszczeniu szpitala rodzina jedzie do swojego domu na przedmieściach, gdzie w specjalnie przygotowanym, udekorowanym pokoju czeka kołyska.

Rodzina Czerwińskich jest zamożna. Matka co prawda nie pracuje, ale ojciec zajmuje wysokie stanowisko w państwowym przedsiębiorstwie. W domu, oprócz dostatku, panuje niezwykły rygor. Dzieciom nie pozwala się czytać komiksów ani oglądać telewizji, bo to ogłupia, za to zmusza się je do ciągłej nauki. Dlatego niezwykłym wydarzeniem staje się wizyta wujka, który nie podziela poglądów rodziców i bawi się z dziećmi w teatrzyk. Wujek jest złym czarodziejem, a małego Kalina i Juna wsadza za karę do garnka, udając, że chce ich zjeść. To ich jedyna rozrywka, której dzieci tak bardzo pragnęły. Poza tym codziennie rano wstają do szkoły, gdzie w świecie pełnym symetrii, harmonii i porządku Kalin skupia coraz większą uwagę na swoich dysfunkcjach. Jest starszy, ale dużo mniejszy od swojego brata. Sam siebie określa słowami „bardziej koślawy". Pełen kompleksów, często zawiesza wzrok na rówieśnikach i patrzy jakby w otchłań. W pierwszej klasie podstawówki zaczyna wykazywać dziwne zachowania, kiedy w niespotykany sposób komentuje wygląd osób w swoim otoczeniu i – jak sam przyznaje – dopuszcza się zoofilii na swoim psie.

W 1952 roku wojska amerykańskie opuszczają Japonię, ale popkultura Stanów wręcz zalewa japońskie media. W telewizji widzimy blond kobiety z ondulacjami reklamujące papierosy marki Camel i porządne panie domu starannie prasujące koszule swoich mężczyzn. Jedną z nich jest Grace Kelly – wpatrzony w nią Kalin, wbrew zakazom rodziców, potrafi spędzić pół dnia przed telewizorem. W szkole średniej zaczyna się fascynacja nie tylko kobietami, ale też kulturą Zachodu. Motywuje go do tego przede wszystkim sztuka impresjonistyczna Auguste'a Renoira, który w swoich obrazach przedstawiał wysokie, urodziwe, jasnowłose kobiety, czyli te, które Kalin uważał za najpiękniejsze.

Po ukończeniu liceum w Kobe Kalin wyprowadza się od rodziców i zaczyna studia na uniwersytecie w Tokio. Z upływem lat ani jego wygląd, ani zdrowie się nie poprawiają, za to wraz z kompleksami rośnie poczucie wyjątkowości. Czuje się brzydki, bezradny, przegrany i uważa, że człowiek już gorszym być nie może. Wrażenie, że jest na dnie, pozwala mu przełamać wszelkie bariery i uwolnić popędy kanibalistyczne, które stają się coraz silniejsze.

Kiedy ma dwadzieścia cztery lata, poznaje pewną Niemkę, która nie zwraca na niego uwagi. On jednak, nie przejmując się tym, staje się coraz bardziej natarczywy. Pewnego dnia podąża za nią aż do jej domu. Zna tę okolicę, bo wcześniej mieszkała tam jego babcia. Czeka do późnego wieczoru, a kiedy uznaje, że Niemka poszła już spać, wchodzi przez balkon do jej sypialni. Jego plan zakładał, że ogłuszy ją parasolką, odetnie jej kawałek pośladka i zniknie. Jednak działa nieudolnie i niezdarnie. Zahacza o jej nagie ciało kolanem. Wtedy postawna Helga budzi się, w panice przygniata go swoim ciałem, a następnie zawiadamia policję. Czerwiński zostaje aresztowany pod zarzutem usiłowania gwałtu, ale nie przyznaje się do tego. Na wieść o zajściu jego ojciec natychmiast interweniuje, starając się wyciszyć całą sprawę. Aby uratować przyszłość syna, wysyła go do Francji, na studia na paryskiej Sorbonie.

W głowie Kalina jednak nic się nie zmienia. Dalej czuje się na tyle bezwartościowy, że wszechmocny. Prawie codziennie sprowadza do siebie prostytutkę, tak jakby igrał ze swoim popędem kanibala. Czerwiński jest brzydkim i słabym karłem – ma sto czterdzieści pięć centymetrów wzrostu i jest niezwykle nieproporcjonalny. Wybierając prostytutki, kieruje się nietuzinkowym

zdrowiem oraz urodą, czyli cechami, których on sam nie ma. Przez długi czas powstrzymuje się od realizacji swoich marzeń i nie pociąga za spust, ale nie dlatego, że boi się konsekwencji, tylko dlatego, że nie jest pewny, czy potencjalna ofiara spełnia wszystkie wymagania, aby być tą pierwszą.

Na zajęciach z literatury niemieckiej poznaje Renée Hartevelt, która nie wiedzieć czemu wykazuje zainteresowanie nim i już po tygodniu znajomości, 11 czerwca 1981 roku, Kalin zaprasza ją do swojego apartamentu pod pretekstem czytania niemieckiej poezji. Prosi Renée, żeby siadła przodem do biurka i wyrecytowała wiersz, którego motywem przewodnim jest kanibalizm. Wieczór okazuje się na tyle idealny, że Kalin kanibal jest już prawie pewny wyjątkowości swojej ofiary. Chwyta za długą broń znajdującą się w szafie i strzela do niej z odległości półtora metra. Głowa tej pięknej blondynki z lokowanymi włosami upada na biurko, a po kilku sekundach całe ciało zsuwa się na podłogę. Widząc ją w bezruchu w plamie krwi, Czerwiński mdleje, jednak chwilę później budzi się i przystępuje do gwałcenia swojej ofiary. Dochodzi już po kilku sekundach i wtedy zaczyna ją gryźć, lecz ze względu na swoją wątłą posturę i słabe zdrowie nie jest w stanie przegryźć się przez jej skórę. Po zmyciu z siebie wszystkich plam krwi wychodzi z mieszkania kupić tasak rzeźnicki, by potem przystąpić do ćwiartowania. Najpierw skupia swoją uwagę na piersiach Renée, a później na jej twarzy; to, czego nie zjadł, odkłada do lodówki. Robi sobie półgodzinną przerwę i znowu zaczyna konsumpcję. Każdy cykl upamiętnia zdjęciem, bo jest to chwila, w której spełniło się jego marzenie.

Renée ważyła sześćdziesiąt dwa kilogramy, a on czuje się pełny po zjedzeniu trzystu gramów. W lodówce nie ma już miejsca,

dlatego postanawia, że pozbędzie się reszty ciała. Pakuje je do dwóch walizek i jedzie taksówką na wschód Paryża, wypatrując spokojnego i bezludnego miejsca. Nie jest to jednak łatwe. O szóstej trzydzieści rano ludzie wychodzą do pracy. Trochę spanikowany prosi taksówkarza, by zatrzymał się przy parku Bois de Boulogne. Tam chce wrzucić szczątki do niewielkiego jeziora. Emocje i słońce go zamroczyły. Jakiś człowiek mówi do niego, pyta o walizki. On wtedy budzi się i zmieszany odpowiada, że to nie jego. Dociekliwy mężczyzna w średnim wieku otwiera jedną z walizek i zaczyna krzyczeć, wzywa pomocy. Kalin oddala się z miejsca zdarzenia powolnym krokiem, jak gdyby nic się nie stało. Wraca do swojego apartamentu, gdzie spędza kolejny dzień. W tym czasie Paryż zalewają portrety pamięciowe i opisy zdarzenia. Już po kilku godzinach na policję zgłasza się taksówkarz, który mówi, że tego dnia wiózł jakiegoś Azjatę. Początkowo myślał, że na dworzec, bo ten miał ze sobą dwie walizki, ale niespodziewanie kazał mu się zatrzymać przy parku, co go bardzo zdziwiło. Wysoki, dobrze zbudowany policjant z wydziału do spraw zabójstw idzie tym tropem i po następnych paru godzinach trzyma w rękach wątłej postury Kalina, wykrzykującego, że przyznaje się do zamordowania Renée.

Rozprawa sądowa jest utajniona ze względu na drastyczność opisów i materiałów dowodowych. Lodówka w mieszkaniu Kalina okazuje się pełna mięsa, ponadto nagrał on całe zdarzenie kamerą, dyktafonem i co chwilę robił zdjęcia swojej ofiary. Jednak po dwóch latach aresztu uznano, że Czerwiński jest osobą niepoczytalną, a więc nie może zostać osądzony. Zamiast wyroku więzienia odesłano go do szpitala psychiatrycznego aż do odwołania. Jego ojciec prosi o pomoc znajomego prawnika, który pisze bardzo emocjonalny list do rządu francuskiego.

Wyraża w nim swoje głębokie ubolewanie w imieniu narodu japońskiego i zażenowanie, że pobyt w szpitalu tego haniebnego człowieka, jakim jest Kalin Czerwiński, opłacają podatnicy francuscy. Robi to w sposób typowy dla Japończyków, wyolbrzymiając swój ból w stosunku do zaistniałej sytuacji. Rząd francuski przyznaje mu rację i postanawia odesłać Kalina do Japonii, oczywiście z dożywotnim zakazem powrotu na ziemie francuskie. W związku z tym, że we Francji uznano go za niepoczytalnego, a zarzuty wycofano, wszystkie dowody pozostały w aktach sprawy we Francji. W Japonii zaś po dwóch latach pobytu w szpitalu psychiatrycznym uznano go za poczytalnego.

Potem następuje coś niebywałego: 12 sierpnia 1986 roku Kalin samodzielnie wypisuje się ze szpitala, wychodzi na wolność, a rodzice wspierają go finansowo. Od tamtej pory żyje jak zwyczajny Japończyk. Koloryzuje fragmenty swojego życiorysu i sprzedaje tę historię mediom. W 1992 roku pojawia się w filmie sado-maso, w 1997 wydaje książkę, a w licznych artykułach użala się nad swoim losem, uznając siebie za wykluczonego ze społeczeństwa. Do dzisiaj jednak znajdują się ludzie zafascynowani jego życiorysem i – jak mówi – to właśnie dla nich „tworzy".

Opuszczając to miejsce, co chwila się odwracałem, a biały beton, z którego zrobiony był pomnik, delikatnie mienił się w zieleni lasu. Dziwne to było uczucie. Żałowałem, że stąd odchodzę. Zatrzymałem się i przez jakieś dwadzieścia minut siedziałem i słuchałem ciszy drzew. Po tym głębokim przeżyciu wsiadłem do zielonej linii i jeździłem od przystanku do przystanku, oglądając górę Fudżi z różnych perspektyw.

W końcu zaczęło zmierzchać. Powoli dojechałem do Kawaguchiko. Udało mi się wrócić wcześniejszym autobusem, mimo biletu zabukowanego na konkretną godzinę.

4 grudnia 2019 roku, środa

Znowu jestem w trumnie. Przy lewej ręce mam półkę, na której leży moja ulubiona książka – *Punkt i linia a płaszczyzna* Kandyńskiego. Trochę dalej na wieszaku wisi kurtka, na wprost mnie jest całkiem duży telewizor, a za głową umieszczono sejf, w którym trzymam dokumenty i portfel, jeśli nie zapomnę go tam włożyć. Dość sporo rzeczy jak na dwa metry kwadratowe łóżka.

Przed pójściem spać sprawdziłem, gdzie mógłbym zobaczyć tradycyjne japońskie sumo. Nie chodzi o to, że jestem zafascynowany obściskującymi się grubymi golasami, ale zanim tutaj przyjechałem, w mojej głowie, tak jak w głowach wielu ludzi, narodził się obraz Japonii, który chciałem skonfrontować z rzeczywistością. Przed godziną jedenastą stanąłem naprzeciwko kamienicy, w której na parterze znajdowało się duże, otwarte pomieszczenie z kółkiem pośrodku – wydawało mi się, że właśnie tutaj odbywają się walki. Wszystko było jednak pozamykane. Ponieważ nie chciałem rezygnować z tej atrakcji, przesunąłem wieszak z ubraniami i wszedłem na górne piętra kamienicy. Zadzwoniłem do mieszkania na drugim piętrze. Drzwi otworzył mi goły sumoka wykrzykujący: „No, no, no!". Po chwili, znudzony i zirytowany brakiem możliwości komunikacji, zszedłem na dół i znowu spróbowałem zadzwonić domofonem, jednak ci, którzy odbierali, nie mówili po angielsku. Po jakimś czasie sprawa się wyjaśniła: trening sumo trwał od godziny ósmej do dziesiątej.

Niedaleko mojego hotelu, a tym samym miejsca, w którym teraz przebywam, jest Muzeum Edo, budynek poświęcony historii Japonii. Wielka żelazobetonowa bryła, trochę przypominająca kadłub statku o kątach bardziej ostrych niż rozwartych, ustawiona została na czterech prostopadłościennych trzonach. Przed muzeum znajduje się wielkomiejski plac, na którym czekają wycieczki szkolne czy pary jedzące lunch. Jeśli właściwie dobierze się perspektywę do oglądania budynku, ten ciężki moloch zdaje się lewitować. Przed wejściem spotkałem grupę znudzonych ludzi w mundurach z napisem „tour guide". Po chwili rozmowy moją przewodniczką zdecydowała się zostać uśmiechnięta Japonka w wieku około czterdziestu pięciu lat. Żeby dotrzeć do głównej wystawy, trzeba było przejść przez zrekonstruowany w skali jeden do jednego pierwszy most w Tokio. Zrobiło mi się gorąco, postanowiłem ściągnąć kurtkę i wtedy z szyi spadła mi nerka, a że była otwarta, wszystko się z niej wysypało. Po piętnastu sekundach znajomości z przewodniczką razem zbieraliśmy z ziemi rozsypane prezerwatywy. Podała mi je, delikatnie się ukłoniła, a ja – zaczerwieniony – poupychałem rzeczy do kieszeni, po czym poszliśmy dalej.

Edo to okres w historii, w którym rzeczywistą władzę sprawowali szoguni z rodu Edo. Zaczął się w 1603 roku, kiedy – po krwawych walkach – na szczytach władzy padły słowa: „Żeby zakończyć rozlew krwi, postanawiam władzę pozostawić mojej rodzinie, więc kolejnym szogunem zo-

stanie mój syn". Przed XVI wiekiem Japonia pozostawała pod wpływem Chin, a później na jej terytoria wkroczyli Europejczycy, przynosząc ze sobą chrześcijaństwo i broń palną. Przez cały wiek XVII Japonia miała dosyć zarówno jednego, jak i drugiego. W efekcie odizolowała się od świata zewnętrznego. Jedynym państwem, które mogło prowadzić z nią wymianę towarową, była Holandia, jednak również w bardzo ograniczonym zakresie. Wszystko to sprzyjało rozwojowi kultury narodowej. Kraj pozostawał za żelazną kurtyną aż do 1853 roku, gdy Amerykanie przypłynęli swoimi statkami wojennymi i wymusili na cesarzu, by przywrócił wymianę towarową. Wtedy też nastąpił ogromny przełom, a Japonia z odizolowanej i zacofanej zmieniła się w światową potęgę. Potem była już tylko druga wojna światowa, a po niej – wielka odbudowa.

Dzięki pani przewodnik zacząłem inaczej myśleć o tym kraju. Przestałem widzieć tylko przepracowanych masturbatorów. Oprowadzanie trwało kilka godzin. Pod koniec doszliśmy do czasów drugiej wojny światowej i tu zaskoczenie: z wystawy wynikało, że to Ameryka rozpoczęła wojnę, zaatakowała i okupowała Japonię, a w międzyczasie zrzuciła Little Boya. Ani jednej swastyki, żadnego wizerunku Hitlera czy też wzmianki na temat kooperacji z Niemcami. Chyba jeszcze nie ze wszystkim sobie poradzili.

Po tym niezwykłym przeżyciu, jakim było zwiedzenie Muzeum Edo, wybrałem się na bazar, gdzie kupiłem film animowany, wypiłem matchę oraz spotkałem się z Arturem. Spacerowaliśmy, rozmawiając i popijając kieliszek za kieliszkiem.

5 grudnia 2019 roku, czwartek

Otwieram oczy, a obok mnie człowiek z długą brodą wyglądający jak zmumifikowany, Artur. Zerwał się i pobiegł do pracy. Ja jeszcze chwilę pospałem, wstałem dopiero około godziny czternastej. To mój ostatni dzień w Tokio, dlatego zająłem się sprawami organizacyjnymi. Nastawiłem pranie, wyczyściłem formę. Myślałem, że suszenie ubrań potrwa pół godziny, ale miało zająć około trzech, więc postanowiłem, że w tym czasie obejrzę Capsule Tower, bądź co bądź ikonę architektury XX wieku.

Budynek ten został wybudowany w 1972 roku według projektu Kisho Kurokawy. Miasto przeżywało wtedy rozkwit, przybywało miejsc pracy, a co za tym idzie – pracowników i przedsiębiorców. Tokio było coraz bardziej zaludnione i zabudowane, a Nakagin Capsule Tower miał zapewnić bardzo ergonomiczne miejsca zarówno do zamieszkania, jak i do pracy. To przykład wcielenia w życie metabolizmu, czyli nurtu w architekturze, który mówi, że powinna się ona rozwijać na wzór żywych organizmów, a samo budownictwo powinno się inspirować naturą. Wieża skonstruowana jest z kilkudziesięciu prostopadłościanów, kapsuł, które można dowolnie wymieniać, by ich liczba mogła albo wzrastać, albo maleć, zgodnie z zapotrzebowaniem. Obecnie budynek jest w dużej mierze opuszczony, użytkowane są tylko niektóre z kapsuł, a obiekt jako całość popada w ruinę. To jedna z najpopularniejszych brył na Instagramie. Kiedy czyta się o idei jej budowania czy przegląda zdjęcia, wygląda to super. Jednak w rzeczywistości ten przestarzały budynek, stworzony według utopijnych założeń z lat 70., jest źle zor-

ganizowaną, ciemną, obskurną przestrzenią. Jak dla mnie – tragiczne warunki do życia czy pracy.

Po tym, jak z holu przepędził mnie ochroniarz, ruszyłem w stronę hotelu, ale licznik na suszarce mojego prania dalej wskazywał ponad półtorej godziny. Po drodze zahaczyłem więc jeszcze o teatr kabuki. Tam okazało się, że można zobaczyć jeden akt trwający niecałą godzinę. Idealnie się to wpasowało w mój grafik. Już po dziesięciu minutach oglądałem *Królewnę Śnieżkę*, w której główną rolę grał przebrany mężczyzna.

6 grudnia 2019 roku, piątek

Najdłuższy dzień w moim życiu. Pomiędzy Tokio a San Francisco jest szesnaście godzin różnicy, czyli dzisiejszy piątek będzie dla mnie trwał czterdzieści godzin. Moja starannie przygotowana walizka czekała pod łóżkiem. Wstałem o czwartej, wziąłem prysznic i po raz ostatni nałożyłem na siebie te dobrze działające kremy. Ponieważ byłem pod wrażeniem ich właściwości, zapakowałem do swojej kosmetyczki kilkadziesiąt sztuk.

Teraz zegar pokazuje piątą rano, a metro jest przepełnione ludźmi z przymkniętymi oczami, którym co chwilę opadają głowy. Gdy tak się stanie, taki pasażer po kilku sekundach budzi się z dziwnym wyrazem twarzy.

Na lotnisku wszystko poszło sprawnie, nadałem bagaż i kupiłem ciasteczka z matchą za resztę jenów, które mi zostały. Już po kilku godzinach byłem w Pekinie, gdzie miałem przesiadkę. Trochę krążę; jeśli popatrzeć na mapę, okaże się, że bezsensownie zrobię jakieś cztery tysiące kilometrów. Na lotnisku Beijing panuje niesamowity chaos, więc dwa razy przeszedłem drobiazgową kontrolę. Wydaje mi się, że straż graniczna robi to z premedytacją. Wyciągają mojego drona, rozbierają go na części i przerzucają między kartonikami. Na samolot do San Francisco miałem czekać trzy godziny, ale tuż przed odlotem poinformowano nas, że ze względu na problemy z systemem wizualnym na pokładzie mamy około dwóch godzin opóźnienia. Wtedy zaczęła się panika wśród ludzi, głównie w podeszłym wieku, schorowanych, na wózkach inwalidzkich, często z głowami owiniętymi bandażem. Kiedy czekaliśmy, nikt nas nie informował, jaki jest progres, dlatego po krótkim czasie pojawiły się krzyki i kłótnie. Czułem się, jakbym był częścią transportu jakiegoś szpitala polowego.

W końcu stanąłem przed olbrzymim, dwupiętrowym boeingiem. Zająłem swoje miejsce w środkowym rzędzie, obok małżeństwa w podeszłym wieku. Nie były to wymarzone warunki na dwunastogodzinny lot, ale przynajmniej bibliotekę filmów mieli dużą. Obejrzałem dwa. Najpierw *Green Book*, opowiadający o Ameryce lat 60. i bardzo utalentowanym, cieszącym się dużą popularnością czarnoskórym pianiście geju. Trochę nastroiło mnie to na Stany Zjednoczone. Drugi film to *Kafarnaum*. Opowiadał on o życiu dzieci w Libanie. Handel ludźmi, usługi seksualne i inne wątki uświadomiły mi, że moje przeżycia z tego kraju są niczym w stosunku do tego, co dzieje się tam na co dzień. Jestem prawie pewny, że w filmie widziałem więzienie i areszt, w którym sam kilka tygodni temu byłem przetrzy-

mywany.

Za mną siedział wielki Pakistańczyk. Co chwilę wstawał, mylił moją głowę z zagłówkiem, chwytał mnie za czoło i przyciskał do fotela. Za trzecim razem oburzony obróciłem się i powiedziałem, co myślę o takim zachowaniu, ale on nie mówił po angielsku.

Dalej piątek, ale już w San Francisco. Czekam teraz na Sabinę i Tomka, znajomych z Bolesławca, którzy mają do mnie dołączyć na następne dziesięć dni. Tym samym kończę swoją samotną podróż, bo po nich przylecą Paul i Sasha. Żeby nie tracić czasu, wybrałem się do wypożyczalni aut Alamo. Początkowo miałem zarezerwowanego forda focusa, ale jeśli dopłaciłbym trzysta dolarów, mógłbym wziąć dodge'a challengera. Zapytałem obsługę, czy na pewno będzie mnie stać na benzynę do tego auta, bo mamy do przejechania ponad dziesięć tysięcy kilometrów, na co usłyszałem: „Man, we are in America. We don't care about gas". Sabina i Tomek w końcu do mnie dotarli. Dziwnie jest zobaczyć te bolesławieckie twarze po moich ostatnich przygodach.

Jechaliśmy do Hollywood, oddalonego od San Francisco o ponad sześćset kilometrów, a po drodze zatrzymaliśmy się w przydrożnej restauracji. Wtedy zrozumiałem, że pierwsza scena z *Pulp Fiction* nie rozgrywa się w jakiejś niespotykanej, starannie dobranej scenografii. Przypadkowa knajpa, do której weszliśmy, wyglądała dokładnie tak samo jak ta z filmu. Tomek prowadził, a ja miałem ochotę na piwko. Wtedy okazało się, że mają tutaj prohibicję. Jednak uśmiechnięty kelner dołożył do naszych burgerów drinka z alkoholu wyciągniętego spod lady.

Wreszcie dojechaliśmy do Los Angeles. Wciąż jest piątek, a ja po drinku mam nad wyraz dobry humor. Żeby zaoszczędzić, śpimy we wspólnym pokoju. Jest drogo, zimno, ale za to filmowo. Hotel też wygląda jak te, które wcześniej widywałem na ekranach telewizorów.

7 grudnia 2019 roku, sobota

Los Angeles! W cenie naszego pokoju było śniadanie, czyli chleb tostowy, dżem, wyjeżdżające z automatu suche naleśniki, czarna kawa americano i zimne jajka. Wszystko to podane w naczyniach ze styropianu. Po tym mało apetycznym posiłku wsiedliśmy do naszego dodge'a i pojechaliśmy zobaczyć napis „Hollywood". Został on zaprojektowany przez Thomasa Fiska Goffa i zrealizowany w 1923 roku jako reklama budowanego niedaleko osiedla mieszkaniowego o nazwie Hollywood Land. Z czasem napis przestał być tylko reklamą nieruchomości, a stał się symbolem amerykańskiego przemysłu filmowego. Ma czternaście metrów wysokości i często pada ofiarą wandalizmu. Pamiętam, że kiedyś oglądałem na TVN24 materiał o tym, jak O zamieniono na E – i tym samym powstał napis „Hollyweed".

W 2010 roku pojawiły się plany zburzenia napisu, a sam teren miał zostać sprzedany pod budowę luksusowych osiedli mieszkaniowych. Jednak gwiazdy takie jak Arnold Schwarzenegger, Steven Spielberg, Tom Hanks czy Hugh Hefner, które czuły do niego wielkie przywiązanie, zebrały dwanaście i pół miliona dolarów, po czym wykupiły teren należący do deweloperów z Chicago. Kiedy tylko ujrzeliśmy

tę wielką komercyjną rzeźbę, serca zabiły nam trochę szybciej. Zrobiliśmy kilka zdjęć, ja polatałem dronem, a następnie pojechaliśmy zobaczyć Aleję Gwiazd. Sceny z wysokimi aktorami i monumentalnymi budynkami, z których wychodzą po czerwonym dywanie, są niesamowicie przekłamane. W rzeczywistości wszystko to jest jak scenografia, a fasady budynków, podtrzymywane na cienkich linkach, wyglądają, jakby miały za chwilę runąć.

Ludzie wyglądają tutaj mało realnie. Albo są poprzebierani, albo obrzydliwie brudni, albo niesamowicie niscy, albo mają przesadzony biust w stosunku do reszty ciała. Przechodząc obok busa (takiego samego, jakim jeździła Drużyna A), w środku zauważyłem uśmiechniętych, tak bardzo różnych od siebie ludzi. Dowiedziałem się, że wszyscy jadą na wycieczkę dookoła Beverly Hills. Próbowałem namówić na nią Tomka i Sabinę, ale postanowili zrobić w tym czasie zakupy. Ja jednak zdecydowałem się uczestniczyć w tej atrakcji – jak się później okazało – prowadzonej przez mało zabawnego krętacza.

Bardzo mi zależało na tym, żeby zobaczyć dom, w którym zamordowano Sharon Tate, żonę Polańskiego, reżysera, którym jestem zafascynowany od dziecka. Kiedy wsiadałem do busa i płaciłem, obiecywano mi, że tam właśnie pojedziemy, więc ucieszyłem się, że będę miał okazję w pewien sposób doświadczyć jednej z bardziej dramatycznych chwil z jego życia. Trudno uwierzyć, że sekta Charlesa Mansona zamordowała partnerkę Polańskiego wraz z jej znajomymi w domu znajdującym się właśnie tutaj, kilka kilometrów ode mnie. Jednak po tym, jak ruszyliśmy, kierowca udawał,

że nie wie, o czym mówię, i w dalszym ciągu męczył mnie swoimi naciąganymi opowieściami. Było zimno i bardzo wietrznie, obok chrapał jakiś Indianin, a w aucie nie było dachu. Poczułem zmęczenie. W dodatku przewodnik, kończąc wycieczkę, oznajmił, że *tips* są obowiązkowe i wynoszą minimalnie dwadzieścia dolarów. Niebywałe. Pewnie wykonywał te czynności przez większą część swojego życia, a nawet nie nauczył się podstawowych faktów, które ja wyczytałem w Wikipedii. Kiedy wysiadałem, a on wyciągnął rękę, z przyjemnością go zignorowałem.

Po wszystkim dołączyłem do Tomka i Sabiny, a oni zgodzili się zawieźć mnie na 10066 Cielo Drive, Villa Bella. W sierpniu 1969 roku Sharon Tate, która była już w ósmym miesiącu ciąży, spędzała ciepły letni wieczór w willi męża, Romana Polańskiego. Reżyser był wtedy w Europie, z dala od nadchodzącej tragedii. Na zlecenie Charlesa Mansona dwudziestoletni Tex Watson wraz z rówieśniczkami – Susan Atkins, Patricią Krenwinkel i Lindą Kasabian – przeskakują przez płot posiadłości bogatego reżysera. Mają ją obrabować, a wszystkich jej mieszkańców – zabić. Czteroosobowa grupa, uzbrojona w noże, obcęgi, dwie liny i rewolwer, na tyłach spotyka osiemnastoletniego stróża posesji, który właśnie tego lata mieszkał w bloku gościnnym. Tex bez wahania strzela mu w głowę, tym samym rozbudzając demony w reszcie grupy. Drzwi były otwarte, a ofiary początkowo nie zorientowały się, że do środka weszły obce osoby. Według złożonych później zeznań zabójcy odnieśli wrażenie, że domownicy potraktowali ich jak kolejnych gości.

W tym czasie w Los Angeles panowała bardzo luźna atmos-

fera. LSD i haszysz były na porządku dziennym. Dom Polańskiego był domem otwartym, co chwilę ktoś nieznajomy do niego wpadał, żeby wypalić jointa, popływać w basenie czy posłuchać muzyki. Jednak opis krwawej sceny, którą następnego dnia zastała gosposia, wprawił całe społeczeństwo w osłupienie. Ciężarna Sharon została dźgnięta nożem, a jej znajomi – zastrzeleni lub powieszeni. Ciężar wydarzeń z 1969 roku był na tyle duży, że posiadłość, na której terenie się znajdowałem, zapamiętano jako przerażający, nawiedzony dom zbrodni. Pewnie dlatego – czego nie wiedziałem – kilka lat temu obiekt został zburzony, a na jego miejscu stanęła rezydencja o powierzchni tysiąca sześciuset metrów kwadratowych z dziewięcioma łazienkami, trzynastoma sypialniami i salą kinową. Posiadłość ta już w niczym nie przypomina oryginalnego budynku.

Po wszystkim pojechaliśmy zobaczyć wybrzeże. Tam zrobiliśmy sobie krótki spacer deptakiem wzdłuż plaży, pośród niezliczonej ilości namiotów z bezdomnymi w środku.

8 grudnia 2019 roku, niedziela

Godzina piąta, oni jeszcze śpią. Po cichu umyłem zęby, ubrałem się, zabrałem kluczyki do auta i udałem się na przejażdżkę przez Beverly Hills nad kalifornijską plażę, gdzie moje największe emocje wzbudziły budki ratowników, dokładnie takie, jakie można oglądać w *Słonecznym patrolu*. Siadłem w jednej z nich, pomalowanej w kolory tęczy, zapaliłem papierosa, zjadłem banana i pomyślałem, że zapominam o celu swojej podróży, o samym Kalinie. Wydaje mi się, że za bardzo się przejmuję obecnością znajomych, ponieważ do tej pory nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby kupić cement. Mam nadzieję, że kiedy przyjadą Paul i Sasha, podróż wróci na właściwe tory.

W drodze powrotnej do auta zauważyłem namiot, z którego wydobywała się głośna rockowa muzyka. Przed nim stały maszt z flagą Stanów Zjednoczonych i wysoka palma. Jeszcze trochę dalej moją uwagę przykuł pomalowany na pomarańczowo volkswagen T1 z deskami dla surferów na dachu. Tym razem wszystko to wyglądało jak z serialu *Californication*.

Do hotelu wróciłem na śniadanie, po którym znowu wybraliśmy się na zakupy. Jako że miałem nadzieję na pobyt na tutejszej plaży i kąpiel, chciałem sobie sprawić kąpielówki, bo ostatnie – czego bardzo żałuję – zostały zgubione w wietnamskiej pralni. Sięgając po wieszak z szortami, nawet nie dotknąłem człowieka stojącego przede mną, ale ten wielki amerykański żołnierz odwrócił się w moją stronę i agresywnie podsumował „imigrantów nieznających słowa «przepraszam»". Wyglądał jak olbrzymi, zdenerwowany goryl, więc szybko stamtąd odszedłem.

Na zachód słońca pojechaliśmy na wybrzeże. Zdecydowanie był to dobry wybór. Wieje mocny wiatr, idziemy długim drewnianym molo, przy którym stoją diabelski młyn i inne atrakcje wesołego miasteczka. Wszystko mieni się pięknymi pomarańczowymi kolorami. Jest chłodno, ale postanowiliśmy zostać tam, aż ostatni kawałeczek słońca zniknie za otchłanią oceanu.

Na koniec dnia zdecydowaliśmy się zobaczyć Walt Disney Concert Hall, jedno z najbardziej znanych dzieł Franka Gehry'ego. Ukończony 23 października 2003 roku budynek mieszczący dwa tysiące dwustu sześćdziesięciu widzów zyskał szeroką sławę ze względu na doskonałą akustykę i niespotykaną architekturę. Projekt ma długą historię, bo został zainicjowany zaraz po śmierci Walta Disneya, który – jak się okazuje, wbrew temu, co myślałem do tej pory – nie jest zamrożony. Trochę mi głupio, że w to wierzyłem, ale ta legenda ma solidne podstawy. Właśnie w roku śmierci Disneya w USA zaczęły działać komercyjne firmy propagujące ideę zamrażania ludzi w nadziei na to, że w przyszłości będą oni mogli zostać wyleczeni. Co więcej, istnieje jeden zamrożony człowiek! Jest nim siedemdziesięciotrzyletni psycholog James Bedford, którego ciało podobno do dzisiaj jest w idealnym stanie, w przeciwieństwie do kilku innych uczestników eksperymentu. Z biegiem lat instytucje zajmujące się tym procederem podupadły finansowo, wskutek czego wielu ich klientów po prostu się rozmroziło. Obecnie, gdyby ktoś chciał skorzystać z takiej usługi, zajmuje się tym firma Alcor z siedzibą w Arizonie.

W każdym razie Walt nie jest zamrożony, a dwadzieścia lat po jego śmierci, w 1987 roku, Lillian Disney przekazała pięćdziesiąt milionów dolarów na utworzenie sali koncertowej. Konkurs na projekt wygrał Frank Gehry, jednak kłótnie polityczne i na szczeblach kierowniczych sprawiły, że w 1994 roku zaprzestano prac. Dwa lata później, znowu dzięki polityce, rozpoczęły się wielka zbiórka funduszy i kampania mająca na celu realizację tego budynku. Stalowa konstrukcja dachu pozwoliła uniknąć jakichkolwiek słupów wewnątrz. Przestrzeń koncertową zaprojektowano jako jedno ogromne pomieszczenie, w którym publiczność siada z każdej strony sceny. Co ciekawe, w celu przetestowania akustyki architekt zlecił wykonanie modelu w skali jeden do dziesięciu. To już drugi budynek Gehry'ego, który odwiedzam podczas mojej podróży, i znowu mogę stwierdzić, że jest on malarzem, którego niestety nie rozumiem. Za to filmy nakręcone dronem wyszły przepięknie.

Jest godzina dwudziesta pierwsza, oni siedzą w pokoju, a ja w altanie przed hotelem palę papierosa i popijam trzecie już piwo. Dołączył do mnie Tom, duży Amerykanin, który jest tutaj z żoną i dzieckiem na wycieczce. Tak od piwa do piwa coraz bardziej się otwieraliśmy, a ja sprawdzałem jego poglądy na rządy Donalda Trumpa. Jak się okazało, to właśnie na niego głosował w ostatnich wyborach prezydenckich. Podczas rozmowy wyszło, że nie wie, jakie miasto jest stolicą Włoch albo Francji, natomiast ma dużo do powiedzenia na temat imigrantów, czyli „brudnych złodziei". Dziwiło mnie to trochę, bo wydawał się miłym człowiekiem, lubiącym wolność, muzykę elektroniczną i festiwale. Na koniec naszego spotkania nawet mnie przytulił i dał mi bransoletkę z kolorowych koralików, mówiąc, że zaprasza do siebie, do Phoenix.

9 grudnia 2019 roku, poniedziałek

Na pożegnanie Los Angeles postanowiliśmy raz jeszcze zobaczyć Aleję Gwiazd, gdzie natknęliśmy się na niepełnosprawnego i chyba też bezdomnego człowieka układającego

na marmurowej posadzce chodnika gwiazdy do złudzenia przypominające te oryginalne. Już chwilę później patrzyłem na płytę chodnikową z napisem „Kalin Czerwiński, the human". Napis nie był wycentrowany, więc zacząłem go poprawiać – i wtedy wszystko zaczęło iść pod górkę. Chciałem zrobić zdjęcie polaroidem, ale okazało się, że zabrakło mi wkładów. Bezdomny ze względu na to, że napis był skomplikowany, zażądał piętnastu, a nie dziesięciu dolarów. A w końcu okazało się, że nie mam tyle gotówki. Wówczas ku mojemu zdziwieniu wyciągnął terminal na kartę płatniczą. Byłem zszokowany, ale w tym momencie moją uwagę przyciągnął robot, który przejeżdżał obok. Rozliczyłem się szybko i pobiegłem za nim. Jechał sam chodnikiem i nie wiem, co robił, ale jego ruchy były pewne i zdecydowane. Wyglądało to kosmicznie.

Po kilkugodzinnej podróży dojechaliśmy do Las Vegas. Nie jest to wielkie miasto. Na pierwszym planie po wjeździe widać kasyna, takie jak Caesars Palace czy Bellagio. Znaleźliśmy parking, zabraliśmy bagaże i poszliśmy w stronę hotelu. Po drodze minęliśmy stację do ładowania tesli. Po ulicach jeździ ich tutaj bardzo dużo. Nie dość, że mają piękną sylwetkę, to jeszcze nie muszą mieć tablic rejestracyjnych z przodu, co tylko podkreśla ich ponadczasowy wygląd. Po drobnych problemach z check-in zameldowaliśmy się w naszych pokojach. Tym razem – co wszyscy przyjęli z ulgą – w osobnych.

Włożyliśmy stroje wieczorowe i zaczęliśmy od kasyna Bellagio, znanego mi z filmu, w którym główną rolę gra Robert De Niro. W kasach wymieniłem pięćdziesiąt dolarów i już

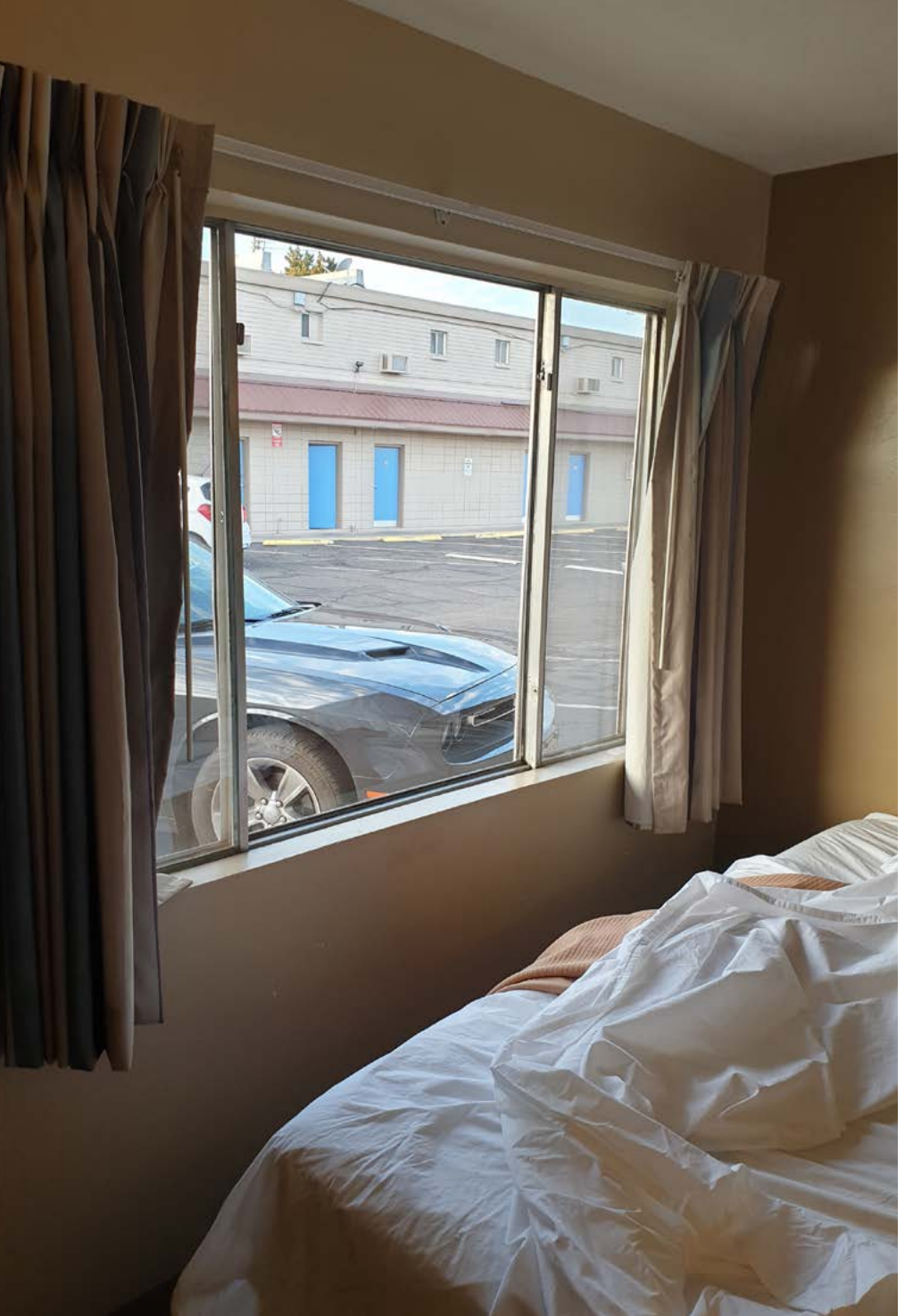

po kilkunastu minutach byłem dumnym posiadaczem czarnego żetonu o wartości stu. Sabina i Tomek wkrótce mnie opuścili, a ja patrzyłem na te młodsze ode mnie amerykańskie dzieci obstawiające po dwadzieścia–trzydzieści tysięcy dolarów na czerwony albo czarny. Nie chodzi o zazdrość, tylko o dysproporcję. W Tajlandii starsza pani sprzedaje banany po dwadzieścia groszy, a ten chłopak obstawił właśnie cały dochód życia tej babci i babci jej babci.

W krótkiej grze w karty przegrałem wszystko, co wcześniej wygrałem. Wtedy postanowiłem wrócić do hotelu, jednak po drodze natknąłem się na wielki plakat promujący burleskę. Siadłem w sali o powierzchni około stu pięćdziesięciu metrów kwadratowych. Przy stoliku popijałem piwo, a na scenie, czasami też obok niej, tańczyły młode dziewczyny topless. Byłem chyba bardzo zmęczony, bo w połowie spektaklu zasnąłem. Otworzyłem oczy, kiedy obudził mnie ochroniarz. Sala była już prawie pusta.

10 grudnia 2019 roku, wtorek

Podczas śniadania starałem się namówić Tomka na kasyno, ale Sabina znowu wygrała i poszliśmy na zakupy. Właściwie ja szedłem z nimi tylko chwilę, bo po pięciu minutach postanowiłem, że przespaceruję się sam główną ulicą miasta. Zaczepił mnie wtedy jakiś czarnoskóry facet i zapytał, czy nie chcę kupić marihuany (poinformował mnie, że w stanie Nevada jest to legalne). Miałem tylko banknot dwudziestodolarowy, a on nie był w stanie mi wydać. Skończyło się tak, że ja trzymałem jego torbę, podczas gdy on biegał i starał się

rozmienić pieniądze. Trochę krępująca sytuacja, ale udało się. Wypiłem piwko i po jakimś czasie dołączyłem do Sabiny i Tomka. Nieco się rozluźniłem, kiedy dotarliśmy do amerykańskiej Wenecji, gdzie mogliśmy zobaczyć zatokę gondoli, kampanilę z placu Świętego Marka, Pałac Dożów, a obok rzymską fontannę di Trevi. Wszystko odwzorowane niesamowicie wiernie; jedynym mankamentem było to, że gdy weszliśmy do Pałacu Dożów, za elewacją znaleźliśmy centrum handlowe.

W trakcie tego włoskiego spaceru spotkaliśmy pana, który oferował loty helikopterem. Okazało się, że nie jest to takie drogie, a że była to jedna z nielicznych atrakcji, którą Tomek wydawał się zainteresowany, bardzo chciałem tego spróbować. Udało mi się nawet namówić Sabinę, choć najpierw starała się ona wykręcić chorobą lokomocyjną, zauważalną podczas tych pięćsetkilometrowych prostych odcinków amerykańskich dróg. A może to nie mnie udało się ich przekonać, tylko sprzedawcy, który w rozmowie wspomniał o swoim dziadku z Polski, o tym, jak właśnie spełnia się jego amerykański sen i że tak naprawdę jest milionerem, ale sprzedaje bilety na ulicy, bo to lubi.

Lot mieliśmy zarezerwowany na dziewiętnastą piętnaście. Sprzedawca wyjaśnił nam dokładnie, jak mamy się dostać na lotnisko. Wróciliśmy do hotelu na krótką drzemkę, a o godzinie osiemnastej wsiedliśmy do szybkiej kolei miejskiej, prowadzącej przez centrum Las Vegas, wyniesionej na wiadukcie o wysokości kilku pięter. Przejechaliśmy dwa czy trzy przystanki; zgodnie z zaleceniami sprzedawcy biletów resztę drogi mieliśmy przejść pieszo, mimo że nawigacja dalej pokazywała cztery mile. Trochę przestraszeni, że wyrzuciliśmy trzysta dolarów na lot, zaczęliśmy biec. Zmęczeni już po jednym kilometrze, biegliśmy dalej przez pełny błota parking. Mogłem się domyślić, że sprzedawca koloryzuje rzeczywistość i przekłamuje odległość, po tych jego niestworzonych historiach, ale summa summarum tego nie sprawdziłem.

Zdążyliśmy tylko dzięki temu, że helikopter startował z półgodzinnym opóźnieniem. Wydaje mi się, że to wszystko było zaplanowane i zmanipulowane. Na lotnisku dostaliśmy darmową lampkę szampana i po krótkiej chwili usłyszeliśmy od pilota, że wsiadamy do maszyny wartej milion dolarów, dlatego prosi o nietrzaskanie drzwiami. Co ważne, wszystkim nam udało się zająć przednie siedzenia, więc nad sobą mieliśmy szklany sufit, a pod sobą szklaną podłogę. Nigdy wcześniej nie leciałem helikopterem. Chwila, w której oderwaliśmy się od ziemi, wydała mi się jedną z piękniejszych w moim życiu. Nie da się tego porównać do lotu samolotem! Czułem się, jakbym zaczął lewitować. W słuchawkach leciał Phil Collins, a my jakieś trzysta metrów nad ziemią przelatywaliśmy pomiędzy oświetlonymi wieżowcami Las Vegas. Lot był krótki, ale wrażenie ogromne. Znowu pojawiło się światełko w tunelu, że może razem z Tomkiem – co planowaliśmy już dawno temu, jeszcze w Bolesławcu – zrobimy licencję pilota ultralekkich helikopterów.

Po wszystkim wróciliśmy do hotelu. Ja zostałem jeszcze na piwko przed głównym wejściem. Siedziałem na murku i oglądałem przechodzących obok poprzebieranych transwestytów.

11 grudnia 2019 roku, środa

Już w drodze do Las Vegas Sabina wspominała, że bardzo chce zobaczyć witający przyjezdnych napis „Welcome to Fabulous Las Vegas Nevada". Wjeżdżaliśmy chyba od innej strony i wtedy nam się to nie udało. Dzisiaj postanowiliśmy go odnaleźć, pomimo sprzeciwów Tomka, który uznał to za mało wartościową atrakcję. Większość odwiedzających to miasto była jednak innego zdania niż Tomek, bo – jak się okazało – żeby zrobić sobie tam zdjęcie, trzeba stanąć w kilkudziesięciometrowej kolejce. Dyryguje nią, wydaje mi się, samozwańczy zarządca napisu. Ustawia ludzi, robi im zdjęcia i od każdego bierze pięć czy dziesięć dolarów. Tylko w naszej obecności zebrał jakieś dwieście. Taka właśnie jest Ameryka, nie trzeba być geniuszem, by stać się milionerem.

Na temat Las Vegas mam już wyrobione zdanie. Wszystko jest tu plastikowe. Do tej pory myślałem, że przy ruletce spotkam prawdziwego, eleganckiego kowboja, jak z filmu Quentina Tarantino: dobrze zbudowanego, ze świecącymi butami, który odwróci się w moją stronę i powie coś niskim głosem. Tutaj co prawda każdy jest kowbojem, jednak z dużym brzuchem, kozą w nosie i dziurawymi butami. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie tego, że przyjeżdżam tu na urlop albo wakacje. Teraz stoję przed wielkim znakiem „Welcome to Fabulous Las Vegas Nevada" i żeby pokazać swój stosunek do tego miasta, turystów, pieniędzy, całego tego cyrku, zsuwam spodnie i wystawiam tyłek, a Sabina robi mi zdjęcie. Wszyscy są rozbawieni i uśmiechają się, myśląc, że jestem wariatem, który świetnie się bawi. Dla mnie to miało wymiar dosłowny: „Dokładnie pokazuję wam dupę, wam wszystkim, którzy przyjeżdżacie się bawić w mieście Las Vegas".

Znowu wsiedliśmy do naszego dodge'a i wyruszyliśmy w stronę Wielkiego Kanionu. Po drodze mijaliśmy różne typy pustyń: kamieniste, z kaktusami, z małymi krzaczkami z westernów albo z wielkimi górami usypanymi z kamienia. Co jakieś sto–dwieście mil całkowicie zmieniał się krajobraz.

Do naszego przydrożnego motelu dojechaliśmy około godziny dwudziestej drugiej. Kiedy wysiedliśmy z auta, czułem się, jakbyśmy się przenieśli w czasie. Ludzie dookoła nie nosili już hawajskich koszul, tylko ciepłe wełniane swetry. Na ściankach wisiały poroża jeleni, łby reniferów, grała świąteczna muzyka, a obsługiwały nas kelnerki przebrane za elfy. Każdy z nas zjadł olbrzymią porcję steku, a ja, wczuwając się w świąteczny klimat, wypiłem butelkę Jägermeistera. Trochę im posmęciłem na temat swoich zawodów miłosnych, a później poszliśmy spać.

12 grudnia 2019 roku, czwartek

Jedziemy w stronę Wielkiego Kanionu, za oknami naszego auta pojawia się śnieg, a wszędzie są wysokie drzewa iglaste. Prawdę mówiąc, nie takiego kanionu się spodziewałem. Myślałem bardziej o takim z westernów, gdzie dookoła jest kurz, panuje wysoka temperatura i ktoś na górze czeka ze strzelbą wymierzoną w tego na dole. Tutaj krajobraz jest bardziej kanadyjski. Co chwilę musieliśmy się zatrzymywać, by przepuścić stado jeleni.

W końcu dojechaliśmy do pierwszego punktu widokowego. Auto zostawiliśmy przed drewnianą chatką, w której jakiś Indianin sprzedawał pamiątki. Resztę drogi przeszliśmy już pieszo. Widoki zapierały dech w piersiach. Siadłem nad przepaścią, wyciągnąłem drona i skierowałem go do szczelin głębokich na sto metrów. Starałem się je eksplorować tak daleko, jak się da, aż do ostatniej kreski zasięgu drona.

Razem z Sabiną postanowiliśmy, że zatrzymamy się w każdym punkcie widokowym. Tomek narzekał: „Po co, skoro wszystko wygląda tak samo?", jednak udało nam się dotrzeć do większości z nich. Bardzo podobał mi się dzisiejszy dzień, chciałbym tutaj przyjechać na dłużej, zatrzymać się w schronisku i wybrać się z namiotem na plechach na dwudniową wycieczkę.

Około szesnastej wyruszyliśmy w stronę Kanionu Antylopy, gdzie mieliśmy już zarezerwowany nocleg. Dzisiaj trochę pospacerowaliśmy, więc *kentucky fried chicken*, którego zamówiliśmy, niesamowicie nam smakował. Hotel tym razem mieliśmy nieco lepszy i sporo tańszy. Ja, nie chcąc kończyć dzisiejszego dnia, wsiadłem do dodge'a i jeździłem w tę i z powrotem po tym małym amerykańskim miasteczku. Powoli zachodziło słońce, aż zrobiło się ciemno. Włączyłem *I'm on Fire* Bruce'a Springsteena i wyjechałem za miasto zapalić papierosa.

13 grudnia 2019 roku, piątek

Jest bardzo ładna, słoneczna pogoda, a ponadto całej naszej trójce dopisuje humor. Pozytywnie nastawieni na zwiedzanie Kanionu Antylopy, zatrzymaliśmy się przy pierwszym wejściu. Tam sprawdziliśmy ceny, które okazały się dość wysokie (sześćdziesiąt dolarów od osoby). Tomek postanowił, że będziemy jeździć od wejścia do wejścia, aż znajdziemy najtańszą opcję. Tak też zrobiliśmy. W końcu weszliśmy do środka, zapłaciwszy pięćdziesiąt pięć dolarów, a naszym przewodnikiem był Indianin w kowbojskim kapeluszu. Od kasy biletowej, która znajdowała się w drewnianym domku, przeszliśmy może trzysta metrów, żeby zejść w głąb kanionu. Przed tym jednak usłyszeliśmy, co można robić wewnątrz, a czego robić tam nie wolno. Częściowo po metalowych schodach, a częściowo po drabinkach zeszliśmy na dół i wkroczyliśmy do tego magicznego, surrealistycznego, psychodelicznego świata naturalnych rzeźb i układających się na nich światłocieni.

Indianin w kapeluszu zdecydowanie wiedział, co robi. Od każdego uczestnika wycieczki brał telefon, ustawiał odpowiednio kontrast i kąt, po czym robił zdjęcie. Ze zdziwieniem odkrywaliśmy, że tym, co wyszło, był słoń, wilk albo konik morski. Coś pięknego. Jest tutaj bardzo wąsko, czasem trzeba się przeciskać.

Z miejscem, w którym się teraz znajdujemy, wiąże się tragiczna historia. W 1997 roku weszło do niego dziewięcioro turystów. Wtedy jeszcze kanion nie był zabezpieczony uchwytami, barierkami ani wcześniej wspomnianymi drabinkami. Osoby te przyszły tutaj z panią przewodnik, która tuż przed zejściem powiedziała, że dla bezpieczeństwa wróci jeszcze do biura sprawdzić pogodę. Turyści jednak, nie czekając na nią, zeszli na dół, żeby zrobić zdjęcia. Okazało

się, że cztery kilometry na wschód od kanionu były gwałtowne ulewy, a woda wąskimi kanałami i szczelinami doleciała właśnie tutaj, do Kanionu Antylopy. Kiedy pani przewodnik wróciła, żeby ich ostrzec, znalazła tylko dziewięć ciał. Woda płynęła tak szybko i miała tak duże ciśnienie, że ludzie nie mieli szans na ratunek.

Po godzinnym spacerze wyszliśmy na górę. Tam zorientowałem się, że – zafascynowany możliwościami technologicznymi swojego telefonu – zapomniałem zrobić codzienne zdjęcie polaroidem. Ponieważ nie pozwolono mi już na powrót, poprosiłem o zrobienie zdjęcia kogoś z obsługi, wciskając mu do ręki pięć dolarów. Po jego powrocie okazało się, że nawet nie zszedł na dół, a na ujęciu można zobaczyć jedynie wejście do tego podziemnego świata. Szkoda, bo nijak nie oddaje to charakteru całej wycieczki.

Po wszystkim ruszyliśmy w stronę San Francisco. Do pokonania mieliśmy tysiąc czterysta kilometrów, dlatego już w połowie drogi zatrzymaliśmy się w przypadkowym motelu. Wszystkie one wyglądają tak samo, bardzo filmowo. Opisałbym je w taki sposób: lata 60.–70., w tle amerykańskie radio, a przy motelowym basenie na leżaku kobieta z trwałą na głowie paląca papierosa marki Camel.

14 grudnia 2019 roku, sobota

Do pokonania mieliśmy jeszcze ponad połowę trasy, więc wstaliśmy już o czwartej, złapaliśmy po motelowym gofrze i ruszyliśmy w drogę. Do San Francisco dojechaliśmy około dziesiątej. Wszystko dookoła wyglądało bardzo czysto, ładnie i bogato. Miasto to mógłbym opisać jako negatyw Ho Chi Minh. Kiedy opowiadałem Tomkowi historię z Wietnamu, wspomniałem o starszej kobiecie w słomianym kapeluszu, prowadzącej rower obwieszony bananami, które sprzedawała za dwadzieścia czy pięćdziesiąt groszy. Moje rozważania poszły na tyle daleko, że zacząłem się zastanawiać, co by było, gdyby tak przenieść ją na przykład do Wrocławia. Jestem pewny, że dzięki swojemu wyglądowi i aurze wokół siebie (szczególnie gdy puszcza z głośnika *miao ciao hao*) w bardzo krótkim czasie zarobiłaby miliony. Wtedy stało się coś zaskakującego: właśnie taką panią, w słomianej czapeczce, grającą na wietnamskim instrumencie strunowym, zauważyłem tutaj, w San Francisco. Tylko że tym razem w puszce stojącej obok niej były dolary zamiast dongów.

Jedną z głównych atrakcji naszego pobytu w San Francisco miało być Alcatraz, z czego cała nasza trójka była bardzo zadowolona. Okazało się, że najwcześniejsze bilety możemy kupić na jutro na godzinę ósmą, co też zrobiliśmy. Po krótkim spacerze pojechaliśmy do hotelu, aby się rozpakować. Bezpośrednio przed swoją podróżą byłem bardzo zapracowany, dlatego skorzystałem z pomocy pana z portalu Tani Bilet. Już drugi raz tego żałuję. W Bangkoku mieszkałem trzydzieści kilometrów od centrum, wskutek czego co chwilę się gubiłem w mało przyjaznych dzielnicach. Dziś w San Francisco płacę tysiąc złotych za dobę, znowu mieszkam daleko od centrum, a warunki są takie same jak w przydrożnych motelach.

Trochę rozczarowani zostawiliśmy bagaże i już po dwudzie-

stu minutach byliśmy w drodze na most Golden Gate. Jest przepiękny. Teraz właśnie odrestaurowywany i malowany. Dodatkowo ustawiane są tam barierki z siatką, by uniemożliwić ludziom skakanie. Prace jednak nie zostały ukończone, a statystki mówią, że nadal codziennie ktoś się tutaj żegna z życiem. Kilka dni temu czytałem artykuł o pewnym policjancie, do którego rewiru zalicza się właśnie most Golden Gate. Policjantów strzegących ten most media nazywają „aniołami stróżami". Ten anioł nie miał przygotowania psychologicznego, nie był negocjatorem, a jednak uratował setki niedoszłych samobójców – nie swoim przygotowaniem, ale szczerością, przerażeniem czy też łzami w oczach. Podobno nie powstrzymał tylko dwóch osób. Ludzie próbujący ze sobą skończyć, widząc jego starania i smutek, zaczynają mu po prostu współczuć i ze względu na niego rezygnują ze swego pomysłu bądź odkładają go w czasie.

Skaczący spada cztery i pół sekundy lotem swobodnym, a potem uderza w taflę wody z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Miażdży to organy, łamie kończyny. Czasem jednak ludzie przeżywają upadek. Wtedy bezwładnie się szamotają, żeby po chwili utonąć w zatoce San Francisco. Podobno gdy na moście coś się dzieje, ruch samochodowy zwalnia i kierowcy zaczynają obserwować zdarzenie. Czasem są źli, że opóźnia to ich powrót do domu, i wtedy krzyczą: „Skacz, będzie dobre zdjęcie!". Kiedy zmierzaliśmy na środek mostu, dwa razy minął nas melex szeryfa samotnie patrolującego okolicę. Był to chyba anioł stróż.

Postanowiliśmy się cieplej ubrać, bo następnym punktem wycieczki miała być kolejka łańcuchowa. Poszliśmy do góry,

później w dół, żeby znowu iść do góry. Kąt nachylenia ulic wynosił może trzydzieści–czterdzieści stopni, a samochody wydawały się jeździć w pionie. Niesamowite wrażenie. Trudność w poruszaniu się wynagradzają piękne widoki.

Jest zimno, pada deszcz, a my spacerujemy tymi pagórkami. Po drodze postanowiłem wejść do pralni, żeby sprawdzić ceny i godziny otwarcia, bo ostatnie pranie robiłem jeszcze w Tokio. Tomek i Sabina zostali przy drzwiach, a ja podszedłem do odwróconej i nachylonej dziewczyny w spódniczce. W pewnym momencie się wyprostowała i spojrzała na mnie. Wtedy okazało się, że to diabeł z filmów komediowych – szczupły mężczyzna przebrany za kobietę, z rozczochranymi czarnymi włosami i umorusaną twarzą. Myślałem, że coś wie o tej pralni, ale on tylko się tu przebierał. Zaproponował mi za to batoniki po pięć dolarów. Chyba obaj zauważyliśmy komizm sytuacji. Po po chwili śmiechu podziękowałem mu grzecznie, odwróciłem się i wyszedłem.

W końcu wsiedliśmy do kolejki z pocztówek z San Francisco i wjechaliśmy nią na samą górę. Podróż była przyjemna, tramwaj wydawał się wehikułem czasu. Motorniczy biegał przerażony i łapał za dźwignie. Ja stałem na jednej nodze, trzymałem się jedną ręką za słupek i wystawiałem resztę ciała za tramwaj, ciesząc się przejażdżką.

15 grudnia 2019 roku, niedziela

Alcatraz, po hiszpańsku La Isla de los Alcatraces (Wyspa Głuptaków). W języku angielskim często nazywana także Skałą: The Rock. Miłośnicy przyrody mogą spotkać tutaj

rzadkie gatunki ptaków i roślin, ale najważniejsze na tej małej wysepce jest więzienie o zaostrzonym rygorze, działające od 1934 do 1963 roku, zamknięte głównie z powodu wysokich kosztów utrzymania i błędów konstrukcyjnych.

Płynęliśmy tam statkiem niecałe dwadzieścia minut. Gdy wysiedliśmy, na prowizorycznie ustawioną scenę wskoczył szeryf w kapeluszu i zaczął wykrzykiwać zasady zwiedzania. Najważniejsze było to, że znajdowaliśmy się na terenie pod zarządem Federalnego Biura Śledczego – FBI. Kiedy tylko założyłem na uszy audioprzewodnik, kompletnie pochłonęły mnie historie związane z życiem więziennym i ucieczkami. Był bardzo dobrze przygotowany, narrator miał ładny głos i pozwalał odwiedzającym uczestniczyć krok po kroku w jednej z najbardziej znanych ucieczek, na której podstawie nakręcono film *Ucieczka z Alcatraz*. Samo więzienie widziane na ekranie telewizora sprawiało wrażenie większego. Może reżyser chciał osiągnąć taki efekt, ale będąc tutaj i mając odniesienie do rzeczywistości, czuję się trochę zawiedziony czy zagubiony. Tak samo było w Hollywood i pewnie jest z wieloma innymi miejscami lub osobami, które pobudzają naszą wyobraźnię. Na przykład Brad Pitt może ci się wydawać dobrze zbudowanym Apollem, a w rzeczywistości ma metr sześćdziesiąt i jest o pół głowy niższy od ciebie.

W 1960 roku do Alcatraz, za kilka napadów na bank i ucieczek ze słabiej strzeżonych zakładów, trafia John Anglin. W roku 1961 dołącza do niego brat, Clarence, z którym John dopuszczał się wspomnianych przestępstw. Bracia szybko zaprzyjaźniają się ze złodziejem aut Allenem Westem

i handlarzem narkotyków Frankiem Morrisem, którego w *Ucieczce z Alcatraz* gra Clint Eastwood. To on, siedząc bezczynnie w celi, odkrywa, że za kratą wentylacyjną pod umywalką znajduje się pusta przestrzeń. Za pomocą łyżeczki do herbaty ukradzionej wcześniej ze stołówki wykrusza trochę większy otwór i wtedy widzi korytarz, który przebiega równolegle do cel. Więzienie z założenia budowano jako fortyfikację, a korytarz ten w przeszłości był wykorzystywany przez hydraulików. Morris nie mógł przeprowadzić ucieczki sam ani sprawdzić, dokąd biegnie korytarz, bo w każdej chwili do celi mógł przyjść strażnik. Potrzebował wspólników, czyli właśnie siedzących w sąsiednich celach Anglinów, którzy zgodzili się bez mrugnięcia okiem.

Od tamtej pory stali się nierozłączni. Narady, podczas których omawiano detale ucieczki, odbywały się w warsztacie i na stołówce. Opracowanie całego planu zajęło kilka miesięcy. Na pierwszy rzut oka wydaje się on mieć wiele słabych punktów, takich jak przebicie się przez żelbetową ścianę bez narzędzi, przedostanie się przez wysoki mur bez lin, no i na koniec przepłynięcie zatoki San Francisco bez łodzi. Osadzeni jednak po kolei eliminowali problemy. Dziury w betonowej ścianie drążyli łyżeczkami i widelcami, które wykradali ze stołówki, lecz zajmowało to sporo czasu. Przełomowe było wyniesienie przez Morrisa z warsztatu silnika od odkurzacza, z którego pomysłowy więzień wykonał prowizoryczną wiertarkę. Wszystko przypomina serial *MacGyver* – jest niesamowicie naciągane – ale stoję teraz przed celą i patrzę na dziurę w ścianie, która została tu do dziś.

Prace trwały tylko w ciągu dnia, bo po dwudziestej pierw-

szej ogłaszana była cisza nocna, a wtedy strażnicy mogliby usłyszeć odgłosy kucia czy wiercenia. Gruz więźniowie wyrzucali do korytarza, do którego próbowali się przedostać. Wykonali atrapy kratek wentylacyjnych z papieru, gazet i mydła, które mocowali do ściany po zakończeniu pracy. Chociaż takie rozwiązania mogą się wydawać absurdalne, sprawdzały się przez długie miesiące. Ponadto przez cały czas Morris i współwięźniowie gromadzili przydatne rzeczy. Udało im się zdobyć między innymi dwadzieścia płaszczy przeciwdeszczowych, z których następnie stworzyli tratwy, a wiosła były podobno zrobione z wyniesionej z warsztatu sklejki. Wisienką na torcie, która zapewniła kilka godzin przewagi i opóźnienia pościgu, były manekiny wykonane, podobnie jak kratki maskujące wentylację, z mydła owiniętego papierem toaletowym. Miały one nawet naturalne włosy, które uciekinierzy wynieśli od fryzjera.

11 czerwca 1962 roku, po prawie dwuletnich przygotowaniach, Morris, West i bracia Anglinowie rozpoczęli zasadniczą część planu, z której już nie mogli się wycofać. Po tym, jak zgaszono światła i rozpoczęła się cisza nocna, na łóżkach ułożyli manekiny, przeszli na korytarz, a otwór zasłonili atrapami kratek wentylacyjnych. Morris i Anglinowie bez problemu wspięli się na dach, ale nie było tam Westa. Nie mogli czekać, dlatego ruszyli bez niego. Ten źle spakował swój ekwipunek i utknął w dziurze prowadzącej do korytarza technicznego. Udało mu się oswobodzić i dotrzeć na dach, jednak okazało się, że wspólników już tam nie ma. Nie mógł iść dalej, bo bez ich pomocy było to niemożliwe. Wrócił więc do celi i czekał, aż służby więzienne go złapią. Z kolei uciekający więźniowie po pokonaniu muru nadmuchali swoje prowizoryczne tratwy i odpłynęli.

Śledztwo FBI trwało siedemnaście lat. Po długich poszukiwaniach policja oznajmiła, że nikt nie zdołałby uciec z wyspy Alcatraz – sprawa była tak nagłośniona, a nagrody za pomoc w ujęciu uciekinierów tak wysokie, że zdawało się to niemożliwe. Audioprzewodnik jednak porusza wątek tego, że wszyscy w czwórkę przed ucieczką uczyli się języka hiszpańskiego, więc może udało im się uniknąć wydania przez obywateli Stanów Zjednoczonych dlatego, że byli już w Ameryce Południowej. W 2018 roku funkcjonariusze poinformowali, że pięć lat wcześniej ktoś napisał do nich list, podając się za jednego z trzech uciekinierów. W liście obiecał, że ujawni swoje miejsce pobytu, jeśli dostanie dożywotnią opiekę zdrowotną i gwarancję, że nie zamkną go w więzieniu.

„Nazywam się John Anglin. Uciekłem z Alcatraz w czerwcu 1962 roku z moim bratem Clarence'em i Frankiem Morrisem. Mam osiemdziesiąt trzy lata […]".

Fragment tego listu został ujawniony przez telewizję KPIX z San Francisco i wywołał duże poruszenie opinii publicznej. Okazuje się, że legendarna ucieczka najprawdopodobniej się powiodła. Nie wiadomo, co się stało z autorem listu i czy faktycznie był nim John Anglin. FBI wznowiło śledztwo, żeby po chwili ponownie je zamknąć.

Samo usytuowanie więzienia na wyspie, bardzo dobrze widocznej z centrum miasta San Francisco, daje sporo do myślenia. Przewodnik mówił o więźniach, którzy opisywali, że zza krat słyszą głosy wolnych ludzi, więc poniekąd czują

się w stałym kontakcie ze światem zewnętrznym. Wyobrażam sobie, że skazany na dożywocie przypływa na wyspę, zostaje pozbawiony imienia i nazwiska i staje się numerem. W pewnym sensie znika z tego świata, ale w dalszym ciągu zdaje sobie sprawę, że życie obok niego toczy się normalnie, że ludzie się zakochują, mają marzenia i je spełniają. Może to doprowadzić do ataku szału i paniki, ale na to również mieli tutaj rozwiązanie. Więzień, który nie podporządkował się zasadom, trafiał do izolatki, a w niej nie było już ani toalety, ani wody, tylko pięć metrów kwadratowych stalowej posadzki, tak zimnej, że goły osadzony nie mógł na niej spać, zatem przyczepiony na stojąco do krat zamykał oczy i tak spędzał kilka dni.

W ten ładny, słoneczny dzień chodzę po spacerniaku i próbuję zrozumieć sytuację zamkniętych tu ludzi, którzy albo ze smutkiem stwierdzali, że w ten sposób spędzą resztę życia, albo zachowywali nadzieję i w marzeniach tworzyli plan ucieczki.

Koło godziny trzynastej płynęliśmy łodzią w stronę miasta, żeby po raz kolejny, już ostatni, udać się na zakupy. Po San Francisco niesamowicie dziwnie się jeździ. Górki są pod kątem trzydziestu stopni, a maska naszego dodge'a wystaje jak dziób rekina, więc praktycznie nie widać, co się dzieje na skrzyżowaniu. W jakimś tanim centrum handlowym – czymś w stylu wrocławskiego Pasażu Zielińskiego – kupiliśmy dodatkową walizkę dla wylatujących dzisiaj Sabiny i Tomka.

W drodze na lotnisko zahaczyliśmy jeszcze o California Academy of Sciences, zaprojektowaną przez Renzo Piano,

włoskiego architekta, laureata Nagrody Pritzkera. Pierwszą rzeczą rzucającą się w oczy odwiedzającym jest dach o powierzchni ponad dziesięciu tysięcy metrów kwadratowych, na którym zasadzono jeden i siedem dziesiątych miliona miejscowych roślin. Na nim uformowano dwie kopuły kryjące pod sobą planetarium i las deszczowy. Wyposażone są one w okrągłe świetliki i nadają całości futurystyczny wygląd, trochę jak z *Teletubisiów*. Ale nie forma jest tutaj najważniejsza, tylko to, co dzieje się wewnątrz tego organizmu. Zastosowano w nim system naturalnej wentylacji, który działa przy minimalnym udziale energii pierwotnej. Przepływy powietrza wywołane są różnymi wymiarami konstrukcji dachu i fasady, w wyniku czego budynek jest niesamowicie energooszczędny – zużycie energii zmniejszono aż o trzydzieści cztery procent w stosunku do rozwiązań konwencjonalnych.

Siedzimy teraz na ławeczce, popijamy kawę, podziwiamy te sztuczne zielone górki i podsumowujemy nasz wspólny pobyt w Stanach Zjednoczonych. Na lotnisku odprowadziłem ich do miejsca odprawy paszportowej, później wsiadłem do swojego dodge'a, puściłem Bruce'a Springsteena i wróciłem do miasta.

16 grudnia 2019 roku, poniedziałek

Dzisiaj spałem trochę dłużej. Około dwunastej, jeszcze w łóżku, przeglądam Facebooka i widzę artykuł w „The Guardian" zatytułowany *Inwazja penisów w zatoce San Francisco*. Zdjęcie jakiejś uśmiechniętej, młodej, czarnoskórej

dziewczyny, która trzyma w ręku tłusty kawałek mięcha o obwodzie dziesięciu–piętnastu centymetrów i o długości trzydziestu, w kształcie męskiego prącia. Tło tego widoczku stanowiła plaża cała usłana penisami.

Okazało się, że 13 grudnia na jedną z kalifornijskich plaż woda wyrzuciła tysiące zadziwiających osobników. To morskie robaki, które przez swój niefortunny kształt nazywane są *penis fish*. Bezkręgowce z gromady szczetnic przebywają zwykle pod piaskiem. Stworzenia te potrafią żyć nawet przez dwadzieścia pięć lat. Pod powierzchnią morskiego piasku kopią tunel w kształcie litery U, przez który wciągają wodę z planktonem. Część pochłaniają, część wypluwają. Kilka dni temu gwałtowna burza i towarzyszące jej przypływy wypłukały te przedziwne stworzenia na zewnątrz, a one w konsekwencji zasypały całą plażę Drakes Beach. Sprawdziłem, gdzie to jest. Około stu kilometrów ode mnie. Postanowiłem, że tam pojadę, ale po spełnieniu kilku obowiązków. Poszedłem do pobliskiej pralni, w osiedlowym sklepie kupiłem ser zawijany w surowy bekon, chipsy i puszkę coli na śniadanie. Zrobiłem pranie, później dwie godziny je suszyłem, wszystko ładnie zapakowałem do walizki i mniej więcej o godzinie czternastej wyjechałem na północ San Francisco. Myślałem, że podróż zajmie mi godzinę, ale zajęła prawie dwie.

Po drodze widziałem krajobrazy, do których nie byłem przyzwyczajony w Stanach: bardzo brytyjskie, wąskie drogi, pagórki i przed co drugim domem billboard „I vote for Trump". Słońce zachodziło, a ja dojechałem do zachodniego wybrzeża Stanów, więc kolory nawet trudno mi opisać.

Plaże skaliste, dookoła kilku fotografów z „National Geographic" skupiających swoją uwagę na wielkich fokach wylegujących się na brzegu. Spotkałem jakąś starszą parę, od której dowiedziałem się, że wszystkie „penisy" zostały wydziobane przez mewy. Podróży jednak nie żałowałem, bo rozczulający widok starszych małżonków spacerujących między fokami wzdłuż fiordów, i to o zachodzie słońca, wynagrodził mi czas poświęcony na dojazd.

Chwilę posiedziałem na głazie obok foki, która na mój widok zaczęła jakby bekać. Rozłożyłem drona i zacząłem latać, ale po chwili przyjechał jakiś lokalny farmer i zwrócił mi uwagę, że nie powinienem tego robić w parku narodowym.

Sasha i Paul mieli wylądować o godzinie osiemnastej, więc już byłem spóźniony. Szybko zapakowałem sprzęt fotograficzny do dodge'a i ruszyłem w stronę domu. Spotkaliśmy się w wypożyczalni samochodów Alamo. Tam mieliśmy zarejestrować Paula jako dodatkowego kierowcę, bo do pokonania było przecież aż osiem tysięcy kilometrów. W hotelu dali mi prezent, seledynowe kąpielówki na ramiączkach. Prezent trafiony, bo swoich nie miałem od Wietnamu. Z radości, że ich widzę, otworzyłem butelkę wietnamskiej wódki ze skorpionem i kobrą w środku. Wypiliśmy po kieliszku i poszliśmy na amerykańskie burgery.

17 grudnia 2019 roku, wtorek

Wchodzimy właśnie do Chinatown, najstarszego i największego w Stanach Zjednoczonych oraz poza Azją. Wszystko zaczęło się w drugiej połowie XVIII wieku, kiedy osiedlali

się tutaj imigranci z prowincji Guangdong w południowych Chinach. Większość z nich to byli mężczyźni w sile wieku, którzy znajdywali pracę przy budowie kolei transkontynentalnej czy w kalifornijskich kopalniach. Przyrost chińskiej społeczności był tak duży, że w końcówce XIX wieku nastroje antyimigranckie doprowadziły do ustanowienia przez rząd Stanów Zjednoczonych ustawy antychińskiej. Było to bezprecedensowe prawo, ograniczające możliwości określonej grupy etnicznej. Ustawa ta została uchylona dopiero po drugiej wojnie światowej, po tym jak uznano ważność Chin jako sojusznika.

Idąc wąskimi uliczkami, czułem się trochę tak, jakbym wrócił do Azji. Sklepy spożywcze i restauracje prowadzą imigranci lub ich potomkowie. Elementy architektoniczne takie jak chińskie smoki czy pagody są tu widoczne na każdym kroku.

W drodze do auta zahaczyliśmy o sklep Tesli, bo Paul chciał kupić czapkę z logo Elona Muska. Kiedy tylko wsiadłem do tego białego, kosmicznego cuda o przyjemnym wnętrzu, pomyślałem, że muszę je mieć. Pomimo mankamentów, takich jak plastikowy wygląd czy szybka trzęsąca się podczas zamykania drzwi, bez wątpienia jest to symbol nowego, lepszego świata i chciałbym chociaż w jakiejś znikomej części w tym uczestniczyć. Po tym jednak, jak Paul w internecie pokazał mi projekt nowego Cybertrucka, którego produkcja ma ruszyć w przyszłym roku, zdecydowałem się poczekać. Z San Francisco wyjechaliśmy więc naszym dodge'em challengerem, spalającym ponad dwadzieścia litrów na sto kilometrów.

18 grudnia 2019 roku, środa

Jest czwarta czterdzieści pięć rano. Prowadziłem przez całą noc. Paul w końcu wytrzeźwiał po wczorajszych piwkach i siadł za kierownicą. Teraz ja otworzyłem whisky i tak się zaczął mój pijacki dzień. Jest świt, niebo pomarańczowe, dookoła śnieg i jakieś minus dziesięć–piętnaście stopni – zdecydowanie nie jest to już Kalifornia.

Trzy lata temu w okresie świąt Bożego Narodzenia dostałem paczkę od nie wiadomo kogo. Dopiero po roku dowiedziałem się, że była od Laury. Płyta CD, a na niej film o tym, jak zrealizowane zostały *Sun Tunnels*, czyli kręgi betonowe ułożone na pustyni w Utah. Praca wykonana przez Nancy Holt w 1976 roku składa się z czterech dużych betonowych cylindrów na pustynnym podłożu, rozmieszczonych względem siebie w taki sposób, żeby ich układ odpowiadał wschodom i zachodom słońca w przesileniu letnim i zimowym. Marzyłem, żeby to zobaczyć na żywo, od świąt w 2016 roku. Teraz stoję tutaj, wokół mnie stado krów, a ja trzymam w ręku whisky i tańczę, trzęsąc się z zimna.

Tak od łyczka do łyczka whisky przenieśliśmy się do *Spiral Jetty*, czyli zaprojektowanej i wykonanej w 1970 roku przez Roberta Smithsona spiralnej grobli z błota, kryształów i skał bazaltowych. Ma ona długość czterystu pięćdziesięciu metrów oraz szerokość około czterech i pół. Biegnie od brzegu w głąb Jeziora Słonecznego w stanie Utah, żeby w końcu odbić i spiralnie zakręcić przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Kiedy powstawała, poziom wody w jeziorze był

niezwykle niski. Po kilku latach wrócił do normalnego, co sprawiło, że praca przez kolejne trzy dziesięciolecia znajdowała się pod wodą, aż znowu się pojawiła i stała się dostępna w roku 2004.

Od tamtej pory już coraz mniej pamiętam. Upiliśmy się razem z Sashą tą whisky. Wymieniliśmy się kolczykami, a w mojej głowie zostały tylko urywki, takie jak to, że biegałem po hotelu i szukałem piasku do rozrobienia betonu. Był to przydrożny motel, w pobliżu żadnego placu budowy. W rowie przed recepcją wynajdowałem ziarnko po ziarnku. Ręce mi zamarzały, bo było zimno, ale w końcu go nazbierałem.

19 grudnia 2019 roku, czwartek

Otwieram oczy, głowa mi pęka. Jest mi trochę głupio, bo nie do końca pamiętam, co robiłem, a mam wspólny pokój z Paulem i Sashą. Poukładany Paul już biega, czyści auto, pakuje rzeczy do bagażnika, a ja odkrywam coraz nowsze szczegóły wczorajszego późnego popołudnia. Oprócz tego, że zbierałem piasek do skarpetek, to po wymieszaniu betonu szpachelkę zostawiłem w formie i teraz jej trzonek wystaje z głowy Kalina. Chyba będę musiał wypożyczyć jakąś gumówkę albo spróbować nieco rozkruszyć beton.

Dzisiaj wyruszamy w stronę pracy pod tytułem *City* autorstwa Michaela Heizera. Kiedy jechaliśmy przez długie, proste odcinki dróg w stanie Utah, zwróciliśmy uwagę na bardzo płytkie jezioro, które przez swoją niewielką głębokość i agresywne światło (dzień był słoneczny) działało jak lustro.

Odbijały się w nim góry, których wierzchołki były obsypane śniegiem. Co dziwne, dookoła dało się zauważyć rozrzucone obiekty, takie jak krzesło czy rower. Zatrzymaliśmy się na chwilę, ja byłem ubrany w swój nowy kombinezon i właśnie to – słoneczna pogoda, wielkie lustro i dobrze wyeksponowane przypadkowe obiekty – sprawiło, że poczułem się niezwykle. Zrobiliśmy kilka zdjęć i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Mieliśmy do pokonania sześćdziesiąt kilometrów drogą szutrową. Na niebie nie ma żadnej chmury, jedziemy dodge'em ponad sto kilometrów na godzinę przez pustynię, a za nami tylko kurz. W końcu dojechaliśmy do metalowego szlabanu z napisem „No trespassing". Dla mnie było oczywiste, że skoro jechaliśmy tu cały dzień, przeskoczymy przez ten szlaban. Dla Sashy jednak nie. Po krótkiej sprzeczce ona gotowała zupkę chińską przy aucie, a my szliśmy do *City*. Paul przed podróżą obiecał sobie, że zrobi zdjęcie polaroidem każdej pracy, którą zobaczymy, i chyba tylko to – bo na pewno nie ja – przekonało go, żeby nie posłuchać Sashy.

Przeszliśmy kilometr, może dwa. Wydaje mi się, że byliśmy w połowie drogi, kiedy zauważyliśmy, że w stronę Sashy zmierza pick-up z przyczepką. Jeszcze przez moment mieliśmy nadzieję, że to nie do niej, lecz w końcu Paul odwrócił się do mnie, dał mi swojego polaroida i zaczął biec do ukochanej. Ja w dalszym ciągu szedłem do naszego dzisiejszego celu, ale co chwilę nerwowo spoglądałem za siebie. Po kilku minutach zauważyłem, że pick-up przejechał przez szlaban, który dopiero co przeskoczyliśmy, zabrał Paula na pakę i teraz jedzie w moim kierunku. Wtedy pomyślałem, że już bliżej nie będę, i zrobiłem zdjęcie *City*, majaczącego gdzieś

w oddali. Dojechali do mnie, Paul wyskoczył i powiedział, że musimy wracać. Po chwili atmosfera trochę się rozluźniła, a pracownicy tego olbrzymiego założenia opowiedzieli nam, jak wyglądają prace nad tym dziełem sztuki. Kiedy przyjeżdża Heizer, aktywności są wstrzymywane. On mówi, że ta górka, którą lepili przez ostatnie cztery lata, powinna być troszeczkę mniejsza i bardziej na prawo, a ta po lewej większa i bardziej na lewo. I tak już od pięćdziesięciu lat.

City jest tworzone od 1973 roku. To jedna z największych rzeźb, które powstały. Pomysł zrodził się w głowie artysty w roku 1970 i początkowo był niezwykle prosty: zabudować około dwóch kilometrów kwadratowych abstrakcyjnymi rzeźbami. Chciał on w ten sposób stworzyć monumentalną architekturę, wzorowaną częściowo na antycznych ruinach. Obecnie praca jest owiana wielką tajemnicą, a sama data jej zakończenia – co chwilę przekładana.

Po tym, jak ochroniarze odjechali, udało mi się polatać dronem i zrobić kilka niesamowitych zdjęć. Trudno to opisać, ale piękno *City* da się dostrzec szczególnie z góry.

Jako że miałem w głowie wczorajszy dzień, pomyślałem, że teraz ja siądę za kierownicą. Paulowi i Sashy wręczyłem butelkę whisky o smaku gruszkowym, którą niedawno kupiłem w przydrożnym sklepie, i pojechaliśmy w stronę Las Vegas. Tym razem zadzwoniliśmy już bezpośrednio do Sundance Helicopters, pomijając ulicznego naciągacza, i okazało się, że lot kosztuje nie sto, ale osiemdziesiąt pięć dolarów. Cieszę się, że to zrobiliśmy, bo z uśmiechów na ich twarzach wnioskowałem, że podobało im się co najmniej tak jak mnie. Podobno mieli bardzo sympatycznego pilota, który

lecąc obok Trump Tower, powiedział, że żałuje, że helikopter nie jest wyposażony w rakiety. Z lotniska pojechaliśmy do centrum Las Vegas i zatrzymaliśmy się w Caesars Palace. Tam chwilę pograliśmy. Ja przegrałem, Sasha wygrała, po czym wyruszyliśmy do hotelu znajdującego się w sąsiedztwie kolejnej pracy Heizera, *Double Negative*.

20 grudnia 2019 roku, piątek

Dzisiaj postanowiliśmy trochę wypocząć i pospać dłużej. Sasha zaczęła poranne ćwiczenia, Paul sprzątał auto, a ja poszedłem na śniadanie. Nie ma tutaj normalnej hotelowej restauracji. Jajecznicę mogłem zamówić tylko do stolika z ruletką, blackjackiem albo pokerem. Popijając jajka sadzone colą zero, pomyślałem, że spróbuję mojej metody gry w ruletkę jeszcze z czasów studenckich. Obstawiam złotówkę na czarne, przegrałem. Wtedy w kolejnym ruchu muszę obstawić dwa razy więcej niż wcześniej, czyli dwa złote. Znowu przegrałem. Teraz muszę postawić cztery i jeśli tym razem wygrałem, to znaczy, że zainwestowałem siedem złotych, a wygrałem osiem. Idąc tym tropem: jeśli mam nieskończone środki i zakładam, że ruletka jest uczciwa – nawet jeśli ma dwa czy trzy zera, tak jak to jest w Las Vegas – nie przegram, ale trudno jest postawić, przypuśćmy, sto tysięcy złotych z myślą o wygranej w postaci złotówki. Ja dzisiaj miałem niezwykłe szczęście i w dziesięć minut gry z dwudziestu dolarów zrobiłem sto. Niestety przed wyjściem wszystko przegrałem, dołożywszy jeszcze dwadzieścia.

Do kolejnej pracy Michaela Heizera, o nazwie *Double Nega-*

tive, mieliśmy jakieś dwadzieścia kilometrów. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że to dzieło natury, jednak gdy podejdziemy bliżej i zwrócimy uwagę na położenie względem siebie dwóch wyrytych w ziemi szczelin, dojdziemy do wniosku, że jest to bez wątpienia efekt działalności człowieka. Praca została ukończona w 1969 roku i stała się symbolem sztuki współczesnej, a zarazem najsłynniejszym dziełem samego autora. Jest on prekursorem land artu. W latach 60. zamieszkał w Nevadzie, gdzie idealnie wpasował się w jej dziewicze tereny. Od tego czasu prowadzi pustelnicze życie, co w moim mniemaniu ułatwiło mu wykonanie tak doskonałych ingerencji w naturę. Doskonałych, ale wydaje mi się, że też oczywistych, wynikowych. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, że mieszkając właśnie tutaj, Heizer mógłby stworzyć coś innego niż *City* czy *Double Negative*.

Z perspektywy człowieka można przeoczyć tę pracę, jednak to, co zobaczyłem z góry, latając dronem, zapiera dech w piersiach. Chyba taki już jest land art. Po jakichś trzech kilometrach pieszo przez pustynię dotarliśmy z powrotem do auta i ruszyliśmy w dalszą drogę. Ponieważ cały czas myślałem o szpachelce, która wystaje z Kalina, zatrzymałem się przed sklepem budowlanym. Tam kupiliśmy beton i wiadro. Tym razem już bez szpachelki lekko rozłupałem przygotowany beton, po czym wylałem nowy.

Jechałem dalej przez Nevadę, a słońce już powoli zachodziło. Zboczyłem z głównej drogi, wyciągnąłem pierwszą głowę z bagażnika i poszedłem w głąb pustyni. Tam wykopałem dół i ją pogrzebałem, a z kamieni ułożyłem literę K (36°12'51.7"N 114°38'40"W). Wsiadłem do auta i teraz już

ze spokojem jechałem dalej. W pewnym momencie Paul zauważył znaki kierujące na zaporę Hoovera. Bardzo się nią podekscytował. Ja co prawda byłem tam już z Tomkiem i Sabiną, ale ze względu na entuzjazm Paula i Sashy przystałem na ich propozycję.

Zapora spiętrza rzekę Kolorado i jest równocześnie granicą stanów Nevada i Arizona. Przez jej środek biegnie też linia zmiany czasu. Powstała ona w latach 1931–1936 i została nazwana, by upamiętnić trzydziestego pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Obiekt składa się z wysokiej na dwieście dwadzieścia cztery metry i długiej na trzysta siedemdziesiąt dziewięć metrów żelazobetonowej ściany oraz czterech wież poboru wody. Do budowy zużyto dwa i pół miliona metrów sześciennych betonu, a ponieważ zapora znajduje się na pustyni, w pobliżu najpierw musiało powstać miasto dla budowniczych. Istnieje ono do dziś i nazywa się Boulder City. Zapora miała między innymi produkować energię elektryczną i wciąż jest strategicznym punktem w regionie. Nic więc dziwnego, że przed wjazdem trzeba się zatrzymać, otworzyć okno, a dobrze zbudowany żołnierz pyta cię, czy przypadkiem nie masz ze sobą broni. Za pierwszym razem, kiedy jechałem z Tomkiem i Sabiną, zażartowałem, że mam trzy sztuki w bagażniku. Teraz już wiedziałem, że nie powinienem tego robić, bo dla nich jest to całkowicie normalne i sprawę traktują poważnie.

21 grudnia 2019 roku, sobota

Do *Lightning Field* jechaliśmy jakieś półtorej godziny, żeby

znowu stanąć przed bramą z napisem „Private property". Szybko jednak uciąłem dyskusję, wybiegając z auta i otwierając bramę, po czym pojechaliśmy dalej. Po kolejnych piętnastu minutach dojechaliśmy do pięknego, odosobnionego domku jak z westernów, przed którym stała praca stworzona przez Waltera De Marię.

W 1977 roku na równinie w zachodnim Nowym Meksyku powstała potężna instalacja, bo składająca się z czterystu wypolerowanych słupków ze stali nierdzewnej, rozstawionych w regularnym szyku na powierzchni pola o wymiarach jeden kilometr na jedną milę. Z założenia główną częścią pracy są wyładowania uderzające w pręty. Z łatwością mogę sobie wyobrazić siebie siedzącego w fotelu bujanym na werandzie drewnianego domku, popijającego drinka i podziwiającego pioruny. Co prawda można taki domek wynająć i spędzić tutaj trochę czasu, ale już zauważyć wyładowania elektromagnetyczne nie jest tak łatwo, a sfotografowanie ich wydaje się prawie niemożliwe. Walter De Maria zatrudnił fotografa, który wypożyczył z NASA sprzęt mogący trafić idealnie w moment błyskawicy. Po dziewięciu miesiącach oczekiwania, prób i błędów udało mu się. Są to jedyne zdjęcia pokazujące *Lightning Field* w pełnej okazałości.

Po krótkim relaksie ruszyliśmy dalej, w stronę granicy z Meksykiem. Zatrzymaliśmy się przy lokalnym sklepiku z napisem „Jewelry". Prowadził go Indianin z niesamowicie rzucającą się w oczy sztuczną szczęką, a dokładniej mówiąc, jedynie jej górną częścią. Nawet był trochę zabawny, w każdym razie dużo się śmiał. Mówił, że trzeba żyć szybko, aktywnie, a jeśli być z kobietą, to tylko ze starszą.

Już od dłuższego czasu szukałem biżuterii z turkusem. Podobno odpędza on złe moce. W końcu udało mi się taką znaleźć.

Chwilę po tym, jak zrobiło się ciemno, dojechaliśmy do El Paso. Przejeżdżając przez wiadukt, zapłaciliśmy trzy dolary i nawet się nie zorientowaliśmy, a już byliśmy w Ciudad Juárez. Dziwne było to, że nikt nas nie kontrolował, ale po krótkiej przejażdżce z łatwością dało się dostrzec, że nie są to już Stany Zjednoczone. Ulice dużo mniej oświetlone, znacznie więcej śmieci, wszystko wygląda jak zbudowane z kontenerów albo kartonów. Żeby bezsensownie nie krążyć po mieście, zatrzymaliśmy się na parkingu; w internecie znaleźliśmy tam hotel wyglądający w miarę przyzwoicie. Zanim się zakwaterowaliśmy, w hotelowym barze wypiliśmy po kieliszeczku tequili i rozeszliśmy się do swoich pokoi.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie mogę otworzyć drzwi kartą magnetyczną. Wróciłem do recepcji, a po chwili próbowałem z kimś z obsługi. Pan jakieś piętnaście czy dwadzieścia minut szarpał za drzwi do mojego pokoju, po czym uśmiechnął się i powiedział: „Proszę, wchodź". Ponieważ wiedziałem, że za trzy godziny znowu będę stał przed tymi drzwiami, tylko że tym razem pijany, zamknąłem mu je przed nosem. Tak jak myślałem, zaczęło się to samo. Po kolejnych dwudziestu minutach zabawnemu panu z obsługi znowu udało się otworzyć drzwi. Podenerwowany zabrałem mu karty i krzyknąłem, że pewnie spotkamy się za kilka godzin. Nie mówił po angielsku, więc w sumie bez różnicy.

To nasz jedyny wieczór w Meksyku, dlatego postanowi-

liśmy wyjść z hotelu. Paul w Foursquare, czyli aplikacji, w której ludzie polecają sobie restauracje, znalazł podobno smaczny i przystępny lokal. Nie czekając na posiłek, poprosiłem kelnera o podanie tequili i – co kluczowe – na jego pytanie, którą sobie życzę, odpowiedziałem, żeby coś mi zaproponował. Potem przynosił ją jeszcze kilka razy, żeby na koniec przedstawić mi rachunek na dwieście dolarów, z czego tequila kosztowała sto pięćdziesiąt pięć.

22 grudnia 2019 roku, niedziela

Obudził mnie telefon. Dzwonił Paul, aby powiedzieć, że czas najwyższy zejść na śniadanie. Szkoda by było je przegapić, bo nie byliśmy już w Stanach, tylko w Meksyku, a szwedzki stół wyglądał naprawdę smacznie. Ogólnie warunki hotelowe były dobre, na pewno bardziej przypominające europejskie; jedynym mankamentem były te cholerne drzwi do mojego pokoju. Tęskniłem za takim jedzeniem. Z pełnymi brzuchami razem z Paulem wskoczyliśmy do basenu, a Sasha poszła na siłownię. Ponieważ wiedzieliśmy, że trochę jej zejdzie, zgodnie stwierdziliśmy, że jedziemy na zakupy.

Naszym celem było zrobienie zapasów na dalszą część podróży, bo – jak nam się wydawało – w Meksyku powinno być sporo taniej. Kiedy myślę o Ameryce i supermarkecie, w mojej głowie pojawia się obraz otyłego pana na wózku elektrycznym z małą kierownicą. Tym razem tym panem był Paul. Gdy to zobaczyłem, nie mogłem przestać się śmiać. Wyjechał zza zakrętu, zatrzymał się przy stoisku z tequilą

i do koszyka zawieszonego na kierownicy zaczął wkładać kolejne butelki bez opamiętania. Widząc, jak świetnie się bawi, poprosiłem go o użyczenie tego wehikułu. Tak też jeździłem, przepuszczałem ludzi, cofałem, trąbiłem, aż w końcu na parkingu przed sklepem pan parkingowy zatrzymał ruch, przepuszczając mnie przez ulicę. Odwróciłem się w jego stronę i powiedziałem: „Muchas gracias, muchacho!". Paul, widząc tę scenę, popłakał się ze śmiechu. Z autem wypełnionym tacos, nachos i tequilą wróciliśmy po Sashę do hotelu, skąd pojechaliśmy pod mur między Stanami a Meksykiem.

Grupa ludzi popierających Donalda Trumpa rozpoczęła akcję „We Build the Wall". W internecie uzbierali dwadzieścia dwa miliony dolarów i ruszyli z projektem wzmocnienia granicy. Budowany na prywatnym terenie mur w stanach Nowy Meksyk i Teksas, niedaleko El Paso, liczy dwadzieścia jeden mil. Odcinek połączył dwa już wcześniej istniejące fragmenty. Do tej malutkiej miejscowości mieliśmy niecałe dwadzieścia kilometrów, a jechaliśmy cały czas wzdłuż granicy. Co chwilę mijaliśmy ludzi patrolujących ten obszar. W pewnym momencie spotkaliśmy dwóch strażników granicznych stojących obok dużej, białej ciężarówki, a w rękach trzymających długą broń. Atmosfera cały czas była napięta. Może mi się tylko wydaje, ale w powietrzu dało się odczuć przerażenie Sashy siedzącej z tyłu. Opuściłem szybę, a strażnik nerwowo złapał za broń. Po krótkiej rozmowie wyciągnąłem z bagażnika głowę Kalina, tłumacząc mu, że chciałbym ją przymocować na betonowym podeście, znajdującym się około sześćdziesięciu–siedemdziesięciu metrów od nas. Okazało się, że tutejsi ludzie są bardzo pozytywnie

nastawieni do takich inicjatyw. Oczywiście wynikało to z ich oburzenia zachowaniem Trumpa, a może też z tego, że pomiędzy szczebelkami tego płotu udaje im się czasem dostrzec migawki lepszego, dostatniego życia.

Na mojej drodze stała już tylko niezbyt głęboka rzeka. Trochę pomoczyłem sobie buty, ale myślę, że było warto. Betonowy podest okazał się idealny, a sam pomnik nigdzie nie będzie bezpieczniejszy niż tutaj.

Kalina Czerwińska – 31°46'37.3"N 106°31'26.1"W

15 czerwca 1992 roku, Guadalajara. Na parterze niewielkiego mieszkania w centrum miasta słychać krzyk szczupłej, niskiej brunetki. Do środka wbiega jej mąż i widzi, że to właśnie teraz jego żonie odeszły wody. Zanosi ją do swojego rozklekotanego auta i jadą do szpitala. Tam na korytarzu w temperaturze trzydziestu sześciu stopni rodzi się Kalina. Matka ze względu na przepełnienie szpitala opuszcza go już po czterech godzinach od porodu.

Zarówno ona, jak i jej mąż są pracowici, ale mało przedsiębiorczy. W tym czasie w Meksyku można żyć na akceptowalnym poziomie, jednak trzeba być albo biznesmenem, albo złodziejem. Oni nie są ani jednym, ani drugim, dlatego z trudem opłacają rachunki i muszą ograniczać swoje potrzeby w drastyczny sposób. Z nadzieją przyjmują wiadomość o umowie podpisanej między Kanadą, Meksykiem i Stanami Zjednoczonymi, dotyczącej specjalnych stref przemysłowych, w których nie będą obowiązywały cła ani podatki.

SENTRA
KIA
SPORTAGE
EMF-40-17

W ciągu pół roku powstają setki tysięcy miejsc pracy w takich korporacjach jak General Motors, General Electric, Zenith czy Panasonic, ale większość z nich na granicy ze Stanami Zjednoczonymi, jako że jest to wygodne dla Amerykanów, czyli właścicieli dziewięćdziesięciu procent wszystkich maquilador. Rodzina Czerwińskich, która nie ma nic do stracenia, przeprowadza się do Ciudad Juárez. Już po tygodniu obydwoje rodzice znajdują pracę. Ojciec w szwalni, a matka, ze względu na swoje małe i precyzyjne dłonie, w fabryce sprzętu audio. Wydawałoby się, że sytuacja znacząco się poprawi, lecz pomimo codziennej dziesięciogodzinnej pracy obojga rodziców wypłaty są tak niskie, że nie mogą oni sobie pozwolić nawet na kilka dni wolnego. Z Kaliną widują się jedynie wieczorami. Dziewczynka dorasta głównie na ulicy, co nie ma na nią dobrego wpływu.

31 stycznia 2009 roku matka po powrocie do domu zauważa, że pokój córki jest pusty. Ostatni raz, gdy z nią rozmawiała, była godzina czternasta. Ustaliły, że Kalina pójdzie do centrum handlowego kupić nowe obuwie do tenisa. Teraz jest już dwudziesta druga, zaczyna się zmierzchać, a ona nie odbiera telefonu. Matka tak jakby od pewnego czasu przeczuwała, że to się stanie. Od kilku lat w Ciudad Juárez codziennie giną młode dziewczyny, dlatego bardzo szybko i racjonalnie wszczyna akcję poszukiwawczą. Jeszcze tego samego wieczoru rozmawia z chłopakiem Kaliny i prawie wszystkimi koleżankami z jej liceum. Nie przynosi to efektu, więc razem z mężem udają się do paru terminali komunikacji miejskiej i przeszukują centrum miasta. Już następnego dnia matka składa doniesienie o zaginięciu, lecz nie zaprzestaje też własnych poszukiwań. Pomagają jej zarówno sąsiedzi, jak i znajomi, ale jedyne, co mogą zrobić, to rozwieszanie plakatów i pokazywanie zdjęć przypadkowym

ludziom.

Pomimo że Juárez ma milion trzysta tysięcy mieszkańców i powierzchnię dwustu dwudziestu jeden kilometrów kwadratowych, po tygodniu poszukiwań siostrom Judith i Aidzie, również pracującym w fabryce sprzętu audio, udaje się trafić na znaczącą poszlakę. Sprzedawca słodyczy z małego sklepiku w centrum miasta mówi, że widział Kalinę, ale już nie jako siedemnastoletnią uczennicę liceum, tylko jako prostytutkę. Policja nie działa zbyt sprawnie, ponieważ ma dużo spraw tego typu. Prywatne poszukiwania zawężają się jednak do okolicznych burdeli. W lokalnym hoteliku, popularnym wśród prostytutek, ludzie twierdzą, że widywali Kalinę pod wpływem narkotyków. Z jednej strony to pozytywna wiadomość, bo matka jest coraz bardziej pewna, że córka żyje, z drugiej jednak – to dwa równoległe wszechświaty. To samo miejsce, ten sam czas, a jednak nie mogą na siebie trafić.

W takim zawieszeniu matka żyje do 2015 roku, kiedy meksykańska policja odnajduje grób pięciu zaginionych kobiet, a wśród nich szczątki Kaliny. Na podstawie urazu czaszki stwierdzono, że zginęła od rany obuchowej. Sprawa jest bardzo głośna. Rozprawa toczy się przez kilka lat, a prokuratura co jakiś czas oddaje rodzinie kolejne kości.

„Oni dają mi ją w kawałkach. Miałam córkę, miałam ciało, a oni dają mi ją w kawałkach".

Spaliłem papierosa, zapisałem koordynaty. Pod koniec naszego spotkania ze strażą graniczną atmosfera była już bardzo luźna. Nawet pożyczyli Paulowi lunetę, przez którą obserwował, jak ja montuję głowę.

Po przygodach przy granicy wybraliśmy się na tacos do kolejnego miejsca polecanego przez Foursquare. Tym razem był to trafny wybór. Drzwi otworzył nam święty mikołaj. Dobra muzyka, tanie jedzenie, nie za czysto, no i dookoła hiszpański, którym cały czas byłem zachwycony.

Kiedy wjeżdżaliśmy z powrotem do Stanów Zjednoczonych, przeszliśmy drobiazgową kontrolę. Sashę przesłuchiwali przez prawie godzinę, a mnie zabrali ziemniaka, bo podobno nie można importować warzyw. Po przekroczeniu granicy ruszyliśmy w stronę Amarillo, gdzie mieliśmy zobaczyć kilka wkopanych w ziemię cadillaców. Całą drogę prowadziłem ja. Gdy nawigacja pokazywała „teraz pięćset kilometrów prosto", mogłem sobie pozwolić, by jednym okiem oglądać film dokumentalny o Donaldzie Trumpie.

Zatrzymaliśmy się w przydrożnym motelu i, niesamowicie zmęczeni, otworzyliśmy tequilę. Wtedy do naszego pokoju przez okienko zapukał przestraszony człowiek. Na korytarzu jakaś kobieta ciągle szukała zapalniczki, a kolejna – tego przestraszonego mężczyzny. Wszyscy byli bardzo zagubieni, roztrzęsieni i naćpani.

23 grudnia 2019 roku, poniedziałek

Głowa znowu mi pęka od kaca. Ostatnim, co zrobiłem wczoraj wieczorem, było obiecanie jednemu z tych zagubionych w czasoprzestrzeni ludzi, że zjem z nim dzisiaj śniadanie o godzinie ósmej. Jest już jedenasta, czyli godzina check-

-out. Miałem dziesięć minut na spakowanie rzeczy: zdjęć, ubrań, drona, czyli wszystkiego, co rozrzuciłem po pokoju, kiedy szedłem spać.

Niebo jest bardzo błękitne, jedziemy prostą drogą, a po naszej lewej stronie wyłania się *Cadillac Ranch*, czyli dziesięć cadillaców wbitych w ziemię pod kątem sześćdziesięciu stopni. Praca została zrealizowana w 1974 roku przez grupę Ant Farm. Ufundował ją zaś Stanley Marsh III, czyli bogaty i ekstrawagancki biznesmen. Słynął on z niezwykłego przywiązania do swojej posiadłości w Amarillo oraz ekscentrycznego podejścia do życia. Różne modele Cadillaca z roczników 1948–1968 zostały zakupione na okolicznych złomowiskach, a następnie zakopane nosem w dół na obrzeżach ziemi należącej właśnie do Stanleya Marsha. Po ukończeniu instalacji sukces rancza był błyskawiczny – niemal natychmiast zyskało ono rozgłos na całym świecie. Stoję teraz na tym polu pełnym ludzi, słońce mnie trochę oślepia i po czterdziestu pięciu latach od budowy nie widzę już potęgi amerykańskiej motoryzacji, tylko kikuty zalane farbą przez turystów. Pewnie twórcy to przewidzieli i chcieli uzyskać taki efekt, ale ja czuję się zawiedziony. Wydaje mi się, że straciliśmy czas, przyjeżdżając do Amarillo.

Może jednak nie wszystko stracone, bo nieopodal znajduje się *Amarillo Ramp*. Po kilku kilometrach znowu dojechaliśmy do szlabanu z napisem „No trespassing", tylko że tym razem obok niego stał domofon, na którym wisiała kartka z numerem telefonu. Zadzwoniliśmy. Paul wytłumaczył osobie po drugiej stronie, że to jedyna droga do landartowego dzieła sztuki, które tak bardzo chcemy zobaczyć.

Ze słuchawki usłyszeliśmy donośny głos: „Sztuka?! To nie jest sztuka!". Chwilę się pośmialiśmy i okazało się, że nasz rozmówca nie jest na tyle twardy, żeby nam stanowczo odmówić. Oczywiście całą historię Paul trochę naciągnął – powiedział, że przyjechaliśmy do Ameryki tylko po to, by to zobaczyć. Wtedy stróż – czy ktokolwiek, kto obsługiwał ten numer alarmowy – powiedział, że poda nam kod do bramy, jednak musimy pamiętać, że pierwsza część drogi jest federalna, więc możemy się nią poruszać, ale druga to już część prywatna. I wtedy padły słowa: „You know, you are in Texas, on private property, you know what can happen". Kod, gdyby ktoś go kiedykolwiek potrzebował, to: 1212.

Może to przez słowa stróża, a może przez serial z Chuckiem Norrisem, ale od tej pory co chwilę widzieliśmy łuski na drodze i podziurawione znaki. Po jakichś dwóch kilometrach dojechaliśmy do przemysłowych budynków. Moim zdaniem do miejsca, w którym wydobywano gaz łupkowy, bo niesamowicie tam śmierdziało. Pojechaliśmy dalej, podążając za wskazówkami ciągle gubiącej się nawigacji. Droga cały czas się pogarszała, było coraz więcej trawy i nierówności. Odwracam się i widzę Paula, który wygląda na przerażonego i mówi, że jeszcze nigdy nie był tak zesrany. Nie wiem dlaczego, bo w mojej ocenie byliśmy razem już w sto razy gorszych tarapatach, a jednak on wtedy traktował wszystko na luzie. Niebagatelny wpływ na jego zachowanie miała obecność Sashy. W pewnym momencie już nie było drogi i jechaliśmy tylko przez teksańskie stepy. W końcu udało nam się dotrzeć na miejsce.

Kilka dni wcześniej widzieliśmy *Spiral Jetty* wykonaną przez

Roberta Smithsona. To również autor *Amarillo Ramp*, zresztą to właśnie tutaj 20 lipca 1973 roku zginął w katastrofie lotniczej podczas robienia zdjęć swojego land artu. To dzieło sztuki jest spiralną groblą znikającą w ogromnym sztucznym jeziorze, obecnie już wyschniętym. Teraz wieje niesamowity wiatr. Na wzgórzu przy naszym dodge'u rozłożyłem drona i poprosiłem Paula, by jednostajnie, nie zmieniając swojej prędkości, przeszedł się po tym ziemnym ślimaku. Byłem zachwycony tą dokumentacją. Paul jako mała, czarna kropeczka porusza się od ogonka do główki po kształcie przypominającym plemnik.

Wsiedliśmy do auta i odjechaliśmy drogą między kaktusami i wijącymi się krzakami jak z westernów. W końcu przejechaliśmy przez bramę z napisem „Mack Dick Ranch". Gdy opuściliśmy Amarillo, zahaczyliśmy jeszcze o pracę odnoszącą się do cadillaców – ktoś kilka kilometrów dalej wkopał kombajny pod takim samym kątem. Może trochę na wyrost, ale teraz będę bardzo krytyczny. O ile do pracy Ant Farm i cadillaców odnoszę się dość pozytywnie i bardzo chciałbym ją zobaczyć w latach 70., o tyle nie dostrzegam jakiejkolwiek wartości wkopanych kombajnów.

Zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, zamówiliśmy trzy hot dogi, kupiliśmy kilka piw i pomyślałem, że czas najwyższy rozrobić ostatniego Kalina. Zorganizowaliśmy sobie taki szybki biwak, wzbogacany przez zapach spalin przejeżdżających samochodów, po czym musieliśmy zdecydować, dokąd jedziemy. Opcje były trzy, a czasu niewiele. Mogliśmy jechać bezpośrednio do Nowego Jorku albo dodatkowo zahaczyć o Chicago, albo nadłożyć dwa i pół tysiąca kilometrów przez Miami, gdzie moglibyśmy się napić piña colady. Po krótkiej dyskusji zdecydowaliśmy, że skoro zostało nam tylko pięć dni, powinniśmy wybrać między Nowym Jorkiem a Chicago. Rzuciliśmy więc monetą, która zatrzymała się na Statui Wolności. Mimo to po tym, jak szybko zalałem formę, wypiłem dwa piwka i wsiedliśmy do auta, Paul włączył nawigację i wydał komendę „Chicago". Bardzo nie lubię takich zachowań, ale czego się nie robi dla miłości – bo to właśnie Sasha miała głęboką nadzieję, że wypadnie miasto Ala Capone.

24 grudnia 2019 roku, wtorek

Jechaliśmy całą noc. Chwilę się zdrzemnęliśmy w aucie, po czym wyruszyliśmy do domu zaprojektowanego przez Miesa van der Rohe. Znajduje się on kilkadziesiąt kilometrów od Chicago. Wszystkie wjazdy na posiadłość były pozamykane. Znaleźliśmy jednak miejsce, w którym siatka była przerwana, co pozwoliło nam wejść do środka. Jestem pod dużym wrażeniem. Budynek znajduje się bezpośrednio przy rzece, a dookoła niego rosną wysokie drzewa, które razem z delikatną formą Miesa tworzą szalenie harmonijną kompozycję.

Dom został zaprojektowany jako mieszkalny dla pani Farnsworth. Obecnie znajduje się tutaj muzeum. Trochę smutne jest to, że van der Rohe tworzył go, myśląc o osobie pijącej rano kawę i patrzącej przez te wielkie szklane ściany, a teraz nikt nie jest w stanie tego doświadczyć. W 1945 roku bardzo znana w Chicago nefrolog, Edith Farnsworth, zleciła wybu-

dowanie swojego weekendowego domu za miastem chyba najbardziej znanemu architektowi XX wieku. Była ona dość świadomą klientką i razem z architektem chciała stworzyć coś ponadczasowego. Prace nad projektem trwały sześć lat, a historia obejmuje też gorący romans, który gdy już się skończył, to na sali sądowej. Edith zarzucała architektowi za duże koszty budowy i brak podstawowej funkcjonalności. Teraz powstaje o tym film, w którym Miesa van der Rohe gra Ralph Fiennes.

Po tym, jak zrobiłem sobie ładnego polaroida do kolekcji, ruszyliśmy w dalszą drogę. Chicago kojarzy mi się z olbrzymią Polonią, w większości tworzoną przez bardzo wierzący elektorat PiS-u. Pomyślałem, że skoro dzisiaj jest wigilia dnia narodzin Jezusa Chrystusa, to może uda nam się dołączyć do jakiejś wielkiej wspólnej kolacji razem z Polakami na emigracji. Faktycznie organizują oni wydarzenie o nazwie „Kolacja dla samotnych i bezdomnych" – to impreza w dużej sali gimnastycznej, gdzie podają pomarańcze, soczki Helena w plastikowych kubeczkach i uszka. Niestety wszystko skończyło się o czternastej, a była już prawie piętnasta.

Po godzinie dojechaliśmy do South Loop Hotel. Wszyscy się cieszyliśmy, że chociaż na chwilę się zatrzymamy. Nocleg w aucie i ponad tysiąc kilometrów sprawiły, że byliśmy bardzo zmęczeni, więc już po kilkudziesięciu sekundach Paul podjechał dużym wózkiem boya hotelowego, zapakowaliśmy bagaże i zakwaterowaliśmy się w naszym trzyosobowym pokoju. Po krótkiej drzemce zdecydowaliśmy, że idziemy zorganizować sobie kolację wigilijną. Wszyscy się wystroiliśmy, Paul na drogę przygotował każdemu po drinku w papierowym kubeczku i ruszyliśmy, ale w Boże Narodzenie wszystkie restauracje w Chicago są zamknięte. Zamiast uszek jedliśmy kurczaka z 7-Eleven, a zamiast barszczu piliśmy wódkę. Miasto dzisiaj zamarło, co sprawia, że wygląda epicko. Można spokojnie podziwiać tę monumentalną architekturę, nie patrząc przez pryzmat zatłoczonych ulic.

25 grudnia 2019 roku, środa

W końcu mogliśmy trochę pospać. Wczorajszego wieczoru zamówiliśmy late check-out. Paul z Sashą byli na tyle mili, że przynieśli mi do łóżka moje ulubione śniadanie, czyli jajko po benedyktyńsku. Po tym, jak lekko skacowany wziąłem kąpiel, wyszliśmy zwiedzać. Jest piękna, słoneczna pogoda, niebo niebieskie, lekki mróz, dookoła ceglane budynki Chicago. Na parkingu hotelowym otwieram formę Kalina – ładnie wyszedł.

Przed wyjazdem zrobiłem siedem metalowych tabliczek w różnych językach. W Libanie tabliczkę sprawdził mi Ghassan i okazało się, że jest tam jakiś błąd, więc w Bejrucie użyłem tej po angielsku. Mam zatem teraz odlaną głowę z ostatnią tabliczką – w języku arabskim i w dodatku z błędem. Z samej głowy i jej trwałości jestem jednak niezwykle zadowolony.

Prosto z South Loop Hotel pojechaliśmy na dalszą część wycieczki tropami Miesa van der Rohe. Ten niemiecki architekt przyjechał tu w 1938 roku, kiedy został przez nazistów zmuszony do wiecznej emigracji. W Ameryce rewolucjonizował budowę, obdzierał ją z dekoracji i przyoblekał

w gładką skórę ze szkła. Wielu przeciwników Miesa zarzucało mu, że późno opuścił nazistowskie Niemcy, jednak prawda jest taka, że zrobił to jako jeden z nielicznych. Takie sławy jak Hans Poelzig czy Hugo Häring zostały w Rzeszy.

Dzisiejszy dzień zaczynamy od kampusu IIT, budowanego od 1941 do 1958 roku. Van der Rohe postawił tutaj aż dwadzieścia dwa budynki, nadając uczelni modernistyczny i ponadczasowy wizerunek. Byłem zachwycony detalami, lekkością charakteryzującą schody do lewitujących podestów. Moją uwagę przykuły też szlachetność materiałów i dokładność wykończenia. Louis Sullivan powiedział takie bardzo znane zdanie: „Form follows function". Architekt Chicago – czyli Mies – uważał dokładnie odwrotnie, z czym ja tak bardzo się zgadzam i co z łatwością mogę dostrzec we wszystkich projektowanych przez niego budynkach.

Dzień skończyliśmy w Subwayu, każdy wziął po kanapce i poszliśmy do parku w centrum Chicago, gdzie obok nas pomiędzy drzewami skakały wiewiórki. Po bożonarodzeniowym posiłku wsiedliśmy do naszego dodge'a i ruszyliśmy do Waszyngtonu.

26 grudnia 2019 roku, czwartek

Szósta rano, ostatnie dwie godziny prowadził Paul, bo mnie oczy już same się zamykały i zasypiałem za kierownicą. Za jednym razem zrobiliśmy tysiąc kilometrów, zatrzymaliśmy się jedynie dwa razy na szybkie siku. Już w centrum Waszyngtonu, ponieważ nie mogliśmy znaleźć żadnego parkingu, włączyliśmy światła awaryjne i chwilę się zdrzemnęliśmy. W końcu zostawiliśmy auto niecałe trzy kilometry od Białego Domu. Wziąłem Kalina, do kieszeni włożyłem klej i zahaczywszy o 7-Eleven, gdzie kupiliśmy szybkie śniadanie, ruszyliśmy w stronę domu prezydenta. Pojawił się niespodziewanie, oczekiwałem, że wywrze na mnie większe wrażenie. Trwały prace remontowe, a główną fasadę ledwo było widać.

Obeszliśmy go dookoła i skierowaliśmy się w stronę pomnika Waszyngtona. Pamiętam taką scenę z *Forresta Gumpa*, kiedy Forrest jako bohater wojenny przedziera się do swojej ukochanej Jenny przez grupę hipisów zgromadzonych na placu przed Białym Domem, przeciwników wojny wietnamskiej. Cieszę się, że mogę tutaj być. W tej chwili czuję, że dotykam historii, a Wietnam łączy mi się ze Stanami. Kiedy przechodziłem obok pierwszej budki strażniczej, ochroniarz krzyknął do mnie: „Ej, co tam niesiesz?!", na co ja odpowiedziałem, że Kalina Czerwińskiego. Ponieważ nie nawiązała się żadna dłuższa konwersacja, poszedłem dalej. Sasha i Paul byli podenerwowani całą sytuacją. Ja też miałem moment zwątpienia i zastanawiałem się, czy powinienem to robić właśnie tutaj, ale gdy zobaczyłem betonowy postument, na którym znajdowała się tabliczka informująca, że jest to punkt zerowy i że to od niego liczone są odległości od Waszyngtonu, byłem już pewny, że to odpowiednie miejsce.

Miałem szczęście do ekspozycji samego pomnika. W Bangkoku specjalnie wybudowane schody ekspozycyjne – tak bym je nazwał – w Meksyku wielki betonowy słupek, a tutaj podstawa, która nie nosiła za sobą innej wartości artystycznej, co bardzo mi odpowiadało. Idealną sytuacją jest ta wro-

cławska, kiedy sam kopię fundament, buduję postument, a na nim osadzam głowę. Jednak mimo dużych chęci podczas tej podróży nie zdołałem zrobić tego wszystkiego, więc chwile, w których odkrywałem dobre miejsce bez naleciałości historycznych czy artystycznych, były dla mnie chwilami radości.

Było dużo ludzi, więc przez moment się wahałem, ale w końcu przymocowałem pomnik. Poprosiłem jakiegoś starszego pana, żeby zrobił mi zdjęcie. Wtedy okazało się, że klisza znowu jest prześwietlona i raczej nic z tego nie będzie. Zrobiłem jeszcze kilka zdjęć telefonem i z uśmiechem na twarzy zacząłem się oddalać od głowy.

Wtedy obok mnie przejechało paru ochroniarzy na rowerach. Kierowali się w stronę punktu zerowego. Wkrótce zbliżyli się do mnie i zajechali mi drogę. Zatrzymali również Paula i Sashę. Wówczas ja już siedziałem na ławce, a dookoła mnie było nie kilku, ale kilkunastu agentów Secret Service. Jeden z nich zadawał mi pytania na temat moich poglądów politycznych, tego, czy ta akcja jest skierowana przeciwko prezydentowi Stanów Zjednoczonych, z czego jest wykonany pomnik i po co ja to w ogóle robię. Podczas rozmowy nie było nieprzyjemnie, chociaż atmosfera była napięta. Co chwilę wracali do tych samych kwestii, tylko że od drugiej strony, aby sprawdzić konsekwencję moich wypowiedzi.

Jakieś dwa tygodnie wcześniej Thomas z Phoenix, którego spotkałem w Los Angeles, nie potrafił mi powiedzieć, co jest stolicą Francji, więc pomyślałem, że to idealna sytuacja, żeby odnieść się do wiedzy agenta. Zapytałem, jak nazywa

się stolica Francji, Wielkiej Brytanii. Znał odpowiedź, ale taki twór jak Unia Europejska był mu kompletnie obcy. Dziwił się, że nie potrzebuję paszportu, żeby podróżować, na co ja mu odpowiedziałem, że Stany Zjednoczone i Unia są w niektórych sprawach bardzo do siebie podobne, i ironicznie zapytałem, czy potrzebuję paszportu, żeby wjechać do Teksasu. Podobno tylko dwadzieścia procent Amerykanów ma paszport. Dla nich świat to Ameryka i może kolonie, z których czerpią korzyści. Po mniej więcej półgodzinie przyszedł do mnie kolejny agent specjalny, tylko że tym razem ubrany w garnitur. Wyglądał jak z filmów szpiegowskich z lat 70. Miał jasną, brązową skórzaną walizkę i notesik, w którym zapisywał dane dotyczące mnie i Kalina Czerwińskiego. Wciąż zadawał mi pytanie, czy dobrze się czuję, i powtarzał, że w każdej chwili mogę opuścić to miejsce. Obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że to tylko formułki, które musi pleść bez opamiętania.

Głowę w końcu kazali mi zabrać, ale cieszę się, że spróbowałem. Poczułem, że Donald jest o włos ode mnie, że jest na wyciągnięcie ręki. Stwierdziłem, że może jego prawdziwy dom to Trump Tower, co pozytywnie nastrajało mnie na dalsze dni podróży.

Jestem strasznie zmęczony. Sasha i Paul poszli zwiedzać muzeum, a ja spałem oparty o stolik w recepcji. Do pokonania mieliśmy jeszcze dwieście kilometrów. Ładnie zachodziło słońce, a my, jadąc przez Filadelfię, słuchaliśmy *Streets of Philadelphia* Bruce'a Springsteena. Kiedy już wjeżdżaliśmy do Nowego Jorku, na widok Manhattanu zamarliśmy. Było to jak ze snów. Co chwilę gubiliśmy drogę, zafascynowani

widokami, słuchaliśmy amerykańskiej muzyki i pomimo zmęczenia byliśmy niesamowicie szczęśliwi.

Kiedy tylko dojechaliśmy do naszego brooklyńskiego hotelu, Paul wybiegł z auta, bo musiał szybko skorzystać z toalety. Bardzo nieprzyjemna ciemnoskóra recepcjonistka o rubensowskich kształtach kazała nam wszystkim stać i czekać na zameldowanie. Dopiero wtedy będziemy mogli skorzystać z toalety, już jako goście hotelowi. Wytworzyła się wyjątkowo napięta atmosfera. O cokolwiek pytaliśmy, odpowiedź brzmiała: „nie". Z toalety nie mogliśmy skorzystać, auta na parkingu nie mogliśmy zostawić, płatności nie mogliśmy rozdzielić. Co chwila musieliśmy wychodzić na zewnątrz, żeby uspokoić emocje.

Po zakwaterowaniu wyszliśmy na krótki spacer. Znowu wszystko wydaje się niesamowicie filmowe: żółte światło, ze studzienek kanalizacyjnych paruje chyba woda, czasem przeleci jakiś papierek niesiony przez wiatr. Kupiliśmy kilka piw, siedliśmy na podwórku warsztatu samochodowego, wszystko dookoła było wyłożone oponami. To pewnie przez zmęczenie i emocje, ale czuję, że gram w spektaklu teatralnym.

27 grudnia 2019 roku, piątek

Wczoraj wieczorem przed pójściem spać udałem się do auta po kabel do ładowarki. Gdy szedłem rampą prowadzącą do hotelu, pośliznąłem się, upadłem na tyłek i zjechałem prawie pod ladę tej nieprzyjemnej recepcjonistki. Kiedy popatrzyłem jej w oczy, zobaczyłem niewyobrażalną radość.

Od tamtej pory nie potrafię przestać o niej myśleć, a dokładniej: przestać myśleć o tym, jak się jej odpłacić.

Na mapie Nowego Jorku mieliśmy zaznaczone kilka celów, dlatego uznaliśmy, że lepiej będzie poruszać się dzisiaj autem. Już po kilku minutach wiedzieliśmy, że ten dzień raczej spędzimy w korkach, ale za bardzo nam to nie przeszkadzało, bo nie mogliśmy się nacieszyć widokiem Manhattanu. Zaczęliśmy od Muzeum Guggenheima, zaprojektowanego przez Franka Lloyda Wrighta. Tworzył on proste, funkcjonalne bryły, świetnie wkomponowane w naturę. Kiedy rozpoczynał karierę w Ameryce, wszyscy dookoła czerpali pełnymi garściami z europejskich nurtów, a Wright stał się pionierem zmian i legendą modernistycznej architektury. Rok temu na listę światowego dziedzictwa UNESCO wpisano aż osiem jego realizacji, między innymi muzeum, w którym się teraz znajdujemy.

Nad tym projektem Wright pracował szesnaście lat i wykonał ponad siedemset koncepcji. W efekcie samo muzeum otwarto dziesięć lat po śmierci Solomona Roberta Guggenheima i pół roku po śmierci architekta. Niepozorna cylindryczna elewacja kryje wewnątrz efektowne przeszklone sklepienie. Bez wątpienia obiekt zwraca uwagę swoją nietypową formą. Jak usłyszałem we wstępie audioprzewodnika, przez wiele lat budził kontrowersje i głosy niezadowolenia. Sprzeciw zgłaszali sami artyści, ponieważ w okrągłym budynku bardzo trudno wystawić prace tak, aby były właściwie rozstawione i oświetlone. Narrator buduje jednak zupełnie inną atmosferę.

Wchodzimy właśnie do dzieła sztuki, bo Bóg w Stanach

stworzył dwanaście rzeczy, które są na liście światowego dziedzictwa UNESCO, a Frank Lloyd Wright niewiele mniej – osiem. Wewnętrzny ciąg komunikacyjny stanowi spirala, wzdłuż której prezentowane są obrazy i rzeźby. Na mnie rampa wywarła ogromne wrażenie; sama droga, którą się przechodzi w trakcie oglądania kolejnych wystaw, wydaje się idealnym planem dla ładnego, poetyckiego filmu. Kiedy jednak zboczy się z głównej trasy i wejdzie w głąb sal wystawienniczych, wrażenie jest już dużo gorsze. Zdecydowanie forma przytłoczyła i pokonała funkcję. Różnice poziomów, kąty, pomieszczenia techniczne… Wszystko to mogłoby działać znacznie lepiej, ale czego się nie robi dla czystego piękna?

Fundacja Guggenheima ma olbrzymie zbiory, dlatego wystawy, które odbywają się w jej muzeach, organizuje głównie z własnych zasobów. Kuratorzy wybierają już istniejące prace i komponują je ze sobą, żeby następnie otworzyć dla publiki. Nie wiem, czy nie pozwalają sobie na za dużo, zestawiając różnych artystów, którzy może posługiwali się podobnymi środkami przekazu, jednak niekoniecznie mieli to samo do powiedzenia, niewykluczone, że reprezentowali całkowicie odmienne wartości. Jestem pewny, że kilkoro z nich przewraca się w grobach. Podsumowując: największe wrażenie wywarły na mnie nie wystawiane obiekty, ale sam budynek, radykalność decyzji i konsekwencja Franka Lloyda Wrighta.

Stamtąd pojechaliśmy na skrzyżowanie Piątej Alei, Broadwayu i 23. ulicy, gdzie stoi Flatiron. Wieżowiec zbudowany w 1902 roku jest jednym z pierwszych budynków, w których zastosowano stalowy szkielet. Jednak nie to sprawia, że prawdopodobnie każdy z nas go kiedyś widział. Budynek szybko zyskał sławę dzięki swojej oryginalnej bryle. Od południa wygląda jak każdy elegancki wieżowiec w Nowym Jorku, lecz od północy jest wąski na jedynie dwa metry, co nadaje mu dynamikę i wydaje się zakłócać perspektywę. Taki kształt zyskał przez działkę, która początkowo była problemem dla architektów, jednak szybko okazała się wyłącznie zaletą, bo dzięki temu obiekt jest niepowtarzalny, a teraz już ikoniczny.

Znowu w korkach kierowaliśmy się w stronę Brooklynu. Kilka lat temu po raz pierwszy obejrzałem film pod tytułem *Brooklyn Boogie*, opowiadający o sklepie tytoniowym będącym miejscem schadzek zarówno przypadkowych klientów, jak i stałych bywalców. Koncentruje się tam życie pobliskich mieszkańców, a każdy z nich opowiada inną historię. Znany reżyser Bob, czyli Jim Jarmusch, stara się rzucić palenie, żona właściciela sklepu chce się rozstać z mężem, a on sam zamknąć interes i zająć się zdrową żywnością. Wszystko to jednak tylko co chwilę powracające plany. *Brooklyn Boogie* to portret legendarnej dzielnicy Nowego Jorku i jej mieszkańców. Czuję duży sentyment do tego miejsca i jego historii. Moim sklepem był Mazak, czyli drukarnia, którą kiedyś prowadziłem, Brooklynem – Ołbin, a sam siebie trochę utożsamiałem z Auggie'em, filmowym sprzedawcą. Miał on jasne wartości, łatwo i szybko korzystał z życia, a ciekawe sytuacje same mu się przydarzały.

Zawsze marzyłem, żeby zobaczyć to miejsce na żywo. Teraz stoję przed ceglaną elewacją, przed którą rozgrywa się

pierwsza scena filmu. Auggie pali papierosa, a obok niego biegnie młody chłopak, który przed chwilą wyrwał torebkę eleganckiej bizneswoman. Główny bohater go zatrzymuje i doprowadza przed ofiarę rabunku. Okazuje się jednak, że ten chłopaczek ma tylko kilkanaście lat, a ofiara, wykazując współczucie, chce raczej go wypuścić, niż wezwać policję. Wtedy Auggie podirytowany mówi, że na darmo biegł, odbiera kobiecie torebkę, oddaje ją złodziejowi i każe mu uciekać.

Dzisiaj sklep jest podzielony na dwa mniejsze i tylko w jednym z nich sprzedają tytoń. Ekspedientka zaś nawet nie zdawała sobie sprawy z wyjątkowości miejsca, w którym pracuje.

Teraz siedzimy w naszym dodge'u i kierujemy się w stronę hotelu. Od wczoraj bardzo dużo się wydarzyło, jednak z głowy wciąż nie wychodzi mi to, że pomnik sprzed Białego Domu kazali mi rozmontować i zabrać. Wtedy obiecałem sobie, że jeśli nie Biały Dom, to Trump Tower.

Zaparkowaliśmy jakieś dwieście metrów od budynku, głowę wsadziłem do plecaka i poszedłem na miejsce, tym razem z Paulem. Mówił, że ma wyrzuty sumienia, że w Waszyngtonie mi nie pomógł, dlatego dzisiaj postara się to nadrobić. Bardzo mnie to ucieszyło. Głównego wejścia strzegą uzbrojeni w długą broń policjanci, a przed wkroczeniem do wnętrza trzeba przejść kontrolę jak na lotnisku. Wyłożyłem plecak na taśmę z rentgenem, przeszukali mnie i bezproblemowo przeszliśmy na drugą stronę. Pan obsługujący komputer co prawda zauważył czarną plamę z wystającym kawałkiem metalu, jednak tylko od niechcenia zajrzał do środka i powiedział: „Go, go".

Wnętrza, wyglądające trochę jak z serialu *Dynastia*, były całe pokryte marmurem i złotem. Przed windą mogliśmy wybrać poziom: Trump Store, Trump Grill, Trump Boutique, Trump Bar. Ten człowiek oszalał. Zjechaliśmy na poziom minus jeden, do sklepu Trumpa, gdzie można kupić czapeczkę z jego nazwiskiem, jedną z biografii albo koszulkę. W centrum holu są schody ruchome, którymi Trump zjeżdża, kiedy jest ważna uroczystość – i wtedy gra muzyka typu *We Are the Champions*. W jednym z filmów dokumentalnych jego bliscy współpracownicy mówili, że to wszystko było robione trochę dla żartu, dla śmiechu, ale nagle okazało się, że większość społeczeństwa traktuje to poważnie i co gorsza, sam Trump też.

Na ścianach pomiędzy marmurowymi płytami znajdowały się wnęki o głębokości dwudziestu–trzydziestu centymetrów. Znalazłem fragment, na którym stały sztuczne kwiaty. Co ważne, miałem do niego łatwy dostęp z poziomu człowieka. Jedyny problem stanowiło to, że niedaleko było wejście do budynku, więc stało tam troje ochroniarzy – jedna kobieta i dwóch mężczyzn. Wtedy jednak pomyślałem, że jeśli teraz nie spróbuję, to nie zrobię tego już nigdy. Wyciągnąłem głowę z plecaka, a następnie postawiłem ją we wnęce. Oni chyba tego nie zauważyli.

Kalin Czerwiński – 40°45'44.8"N 73°58'26.3"W

19 października 1885 roku. Parowiec Eider, a na pokładzie szesnastoletni Frederick Czerwiński. Z oddali spogląda na pra-

wie już ukończoną Statuę Wolności. Królestwo Prus opuścił jedenaście dni temu z nadzieją na spory zarobek. Nie on jedyny, w Europie był to początek wielkiej emigracji.

W 1894 roku Czerwiński przenosi się do górniczego miasta Monte Cristo na Zachodnim Wybrzeżu. Pięć lat wcześniej odkryto tam złoża minerałów. Młody biznesmen jednak zdaje sobie sprawę z tego, jak niewielkie są szanse na odnalezienie złota, dlatego postanawia zarobić na tych wszystkich naiwnych poszukiwaczach, zapewniając im alkohol, restauracje i hotele ze specjalnymi apartamentami dla prostytutek. W ten właśnie sposób rodzi się dynastia amerykańskich Czerwińskich. Jego syn, Fred, zaraz po ślubie rozpoczyna karierę w branży nieruchomości, inwestuje w dorobek ojca i odnosi wielki sukces finansowy. Razem z żoną mieszkają w Nowym Jorku, budują osiedla dla ludzi średnio zamożnych oraz prowadzą życie typowej rodziny celebrytów.

14 czerwca 1946 roku w szpitalu w nowojorskiej dzielnicy Queens Fredowi rodzi się syn, Kalin. On i czwórka jego rodzeństwa mają bardzo beztroskie dzieciństwo. Beztroskie w znaczeniu braku kontroli. Do tego stopnia, że gdy Kalin ma trzynaście lat, rodzice zapisują go do Nowojorskiej Akademii Wojskowej, prywatnej szkoły z internatem, trochę licząc na to, że zasmakuje on brakującej dyscypliny. Pięć lat później Kalin zaczyna studia na Uniwersytecie Pensylwanii. Jest wysoki, przystojny, jeździ dobrymi autami, zawsze mówi o tym, jakie osiąga sukcesy w nauce, co jednak nie ma oparcia w rzeczywistości – cztery razy zdaje warunkowo. W maju 1968 roku zyskuje tytuł licencjata w dziedzinie ekonomii i zaraz po tym rozpoczyna karierę w firmie deweloperskiej ojca.

Odnoszący sukcesy młody biznesmen żeni się z pochodzącą z Czech eksmodelką, o czym rozpisuje się większość brukowców. Do tej pory cała rodzina była znana, ale na średnim szczeblu. Takich jak oni w Nowym Jorku były setki. Wszystko to zmienia się w 1978 roku, kiedy z inwestycji w Queens czy Brooklynie przenoszą się na środek Manhattanu. Cała sprawa budzi wiele kontrowersji, ponieważ Fred razem z Kalinem proponują miastu odrestaurowanie hotelu Commodore i tym samym przyciągnięcie turystów z powrotem do miasta. Oferują to jednak w zamian za przyszłe ulgi w podatku od nieruchomości w wysokości czterystu milionów dolarów. Rada miasta burzliwie dyskutuje, ale pod koniec zwycięża naiwność i bezradność w czasach kryzysu. Zwycięża myślenie „nie mamy nic, więc możemy mieć tylko więcej" – i tak już dwa lata później hotel zostaje otwarty jako Grand Hyatt.

W 1984 roku mimo sprzeciwu ojca Kalin podejmuje radykalne decyzje, inwestując w kasyna w Atlantic City, którymi zarządza jego żona – Ivana. Okazuje się ona świetną menadżerką, co nie do końca odpowiada jej mężowi, bo to on lubi stać w świetle jupiterów. W 1987 roku opublikowana zostaje książka Art of the Deal*, która jest pierwsza na liście bestsellerów „New York Timesa" przez czterdzieści osiem tygodni. Według tego dziennika poszerzyła ona sławę Czerwińskiego daleko poza Nowy Jork, promując jego wizerunek jako człowieka odnoszącego sukcesy, wielkiego dealera i potentata. Sam Kalin nazwał* Art of the Deal *swoją drugą ulubioną książką, zaraz po Biblii. Wszystkie dochody ze sprzedaży tego bestsellera przekazywane są na służbę zdrowia, sport oraz organizacje o konserwatywnych poglądach.*

Czerwiński Plaza w Atlantic City, Czerwiński Tower w Nowym Jorku, Czerwiński Organization i wszystkie inne inwestycje budują markę… Tak jakby zalewają formę wybudowaną przez Kalina betonem zbrojonym. Z biegiem czasu forma wysycha, a jego nazwisko jest już czymś niepodważalnym. On sam zaczyna myśleć o sobie jak o człowieku niezwyciężonym. Zaczyna myśleć o sobie jak o człowieku, który zamienia wszystko w złoto, i tym samym podejmuje coraz bardziej ryzykowne transakcje. Kupuje między innymi hotel Plaza za czterysta dwadzieścia pięć milionów dolarów, żeby już dwa lata później stracić go za trzysta milionów dolarów na rzecz Citibanku. Ponadto jego największa inwestycja w kasyno Taj Mahal z roku na rok przynosi coraz dotkliwsze straty.

Kalinowi nie wystarcza pieniędzy, żeby spłacać odsetki kredytów, które zaciągnął, ale dalej z uporem maniaka buduje markę. Na tyle stabilną, że Japończycy płacą mu dwadzieścia milionów dolarów za sam fakt nazwania swojej inwestycji „Czerwiński". Opinia publiczna zaczyna się gubić w tym, czy Kalin ma więcej kredytów, czy środków, lecz marka jest już niepodważalna, a jego pewność siebie urasta do tego stopnia, że porzuca on swoją żonę; przyjaciołom mówi, że nie chce więcej sypiać z kobietą, która urodziła już dzieci. Kilka miesięcy później opinii publicznej ukazuje się Marla, jego żona na kolejne siedem lat. W wywiadach Czerwiński przyznaje, że najważniejszy dla niego jest sukces, a kiedy relacja między kobietą a mężczyzną zaczyna się psuć, to tak, jakby nieść zbędne kilogramy, więc teraz zrzuca balast i dąży do postawionego sobie wcześniej celu.

Jego matka, Mary Czerwińska, w wywiadach zawsze mówiła, że jedne dzieci rodzą się po to, żeby zostać strażakami, a Kalin urodził się po to, żeby zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Stopniowo budował kapitał polityczny, by później oświadczyć społeczeństwu, że woli się zajmować prawdziwym biznesem niż polityką. Zrobił to, bo wiedział, że w danym momencie nastroje społeczne nie sprzyjają konserwatywnym poglądom. Miał rację. W 2009 roku prezydentem zostaje czarnoskóry Barack Obama. W końcu jednak przychodzi kryzys migracyjny i hasłami takimi jak „mur pomiędzy Meksykiem a Stanami" i marką swojego nazwiska Kalinowi udaje się zwyciężyć w wyborach. Ameryka przestaje być państwem, a staje się przedsiębiorstwem zarządzanym przez prezesa Kalina Czerwińskiego.

Kiedy Paul robił mi polaroida, ochrona na mnie spoglądała, ale nie zareagowała. Na odchodne zapytałem jeszcze żołnierza z długą bronią, czy mogę sobie z nim zrobić zdjęcie. Stanowczo odmówił. Po przejściu kilkudziesięciu metrów postanowiłem jednak wrócić i zrobić dokładniejszą dokumentację całego otoczenia. Ulice były dość zatłoczone. Gdy od głównego wejścia dzieliło mnie może kilkanaście metrów, zauważyłem, że łysy, dobrze zbudowany ochroniarz, który stał obok Kalina, wybiega i nerwowo się rozgląda. Wtedy zachowałem się jak w filmie *Tożsamość Bourne'a* – założyłem czapeczkę z daszkiem i poszedłem dalej.

Po chwili jednak zacząłem się zastanawiać, czy prawdopodobnie wzbudzony przeze mnie alarm bombowy nikomu nie zaszkodzi. Paul, gdy tylko się o tym dowiedział, wpadł w panikę. Powiedział, że nie popiera takich zachowań, żałuje, że ze mną poszedł, i sam nigdy by czegoś takiego nie zro-

bił. Dla mnie to nie był głupkowaty wybryk, tylko działanie, dla którego ciągnę trzydziestokilogramową walizkę przez ostatnie trzy miesiące i trzydzieści tysięcy kilometrów. Poza tym przecież przeszliśmy przez skanowanie rentgenem i gołym okiem widać, że pomnik jest zrobiony z betonu. Gdybym chciał to zrobić oficjalnie, chyba wcześniej musiałbym się napić wódki z Donaldem Trumpem, co wydaje się mało realne. Mimo wszystko postanowiłem zobaczyć, czy nie został ogłoszony alarm bombowy. Po paru minutach znowu byłem w głównym holu Trump Tower. Tym razem bez czapeczki i bez kurtki, w nadziei, że nikt mnie nie rozpozna. Pomnika już nie było, a obok mnie stało kilku elegancko ubranych ochroniarzy.

Pomimo wszystkich wątpliwości, które mi dzisiaj towarzyszyły, znowu jestem szczęśliwy. Kalin został u Trumpa i może skończy w jego gabinecie.

28 grudnia 2019 roku, sobota

Po wczorajszych wydarzeniach postanowiliśmy, że dzisiejszy dzień spędzimy osobno. Paul podrzucił mnie tylko do Downtown Manhattan, bo stamtąd miałem się wybrać na Statuę Wolności. Kolejka do kas biletowych na rejs miała kilka kilometrów. Szedłem wzdłuż niej jakieś czterdzieści minut. Miałem okazję, żeby się wcisnąć, ale nie pragnąłem tej wycieczki tak bardzo jak inni, więc odpuściłem. Kiedy doszedłem do bramek, zaczepiła mnie jakaś młoda ciemnoskóra dziewczyna w mocno znoszonych trampkach. Po tym, jak opowiedziała mi strasznie naciąganą historię swojego życia, namówiła mnie na bilet. Co prawda o osiem dolarów droższy i bez wyjścia na ląd przy Statui Wolności, ale za to bez kolejki.

Już po trzydziestu minutach byłem na pokładzie statku, który na burcie miał polsko brzmiące nazwisko – Radwansky. Cała wycieczka trwała może dwie godziny, strasznie wiało, było zimno i nieprzyjemnie, ale momenty, w których co chwilę gdzieś za horyzontem pojawiała się i znikała Statua Wolności, mi to wynagradzały. Od kiedy zobaczyłem pierwszą część *Ojca chrzestnego*, moim marzeniem było przypłynąć, a nie przylecieć do Stanów. Dzisiaj chociaż w jakimś stopniu się ono spełniło.

Po wszystkim skierowałem się w stronę Wall Street i od tamtej pory moje oczy patrzyły już tylko w górę, bo ta perspektywa wydaje się tam najważniejsza. W końcu doszedłem do smukłego, czarnego wieżowca o pięknych proporcjach, zaprojektowanego przez Miesa van der Rohe. Po chwili w oddali dostrzegłem parę skrzydeł czy też rozłożone ręce, czyli dzieło Calatravy, znajdujące się w bezpośrednim sąsiedztwie Ground Zero. Po prostu nie wiedziałem, gdzie mam patrzeć. Szybkim krokiem minąłem pracę Calatravy i udałem się w kierunku Ground Zero.

Na poziomie ulicy stworzono plac obsadzony setkami dębów, które mają oddzielać zwiedzających od zgiełku miasta i budować nastrój kontemplacji. Całe założenie zajmuje sześćdziesiąt arów. Między drzewami, w miejscu dawnych fundamentów World Trade Center, wpuszczone są dwa baseny. Są one negatywem kiedyś tutaj stojących olbrzymich wieżowców, zaprojektowanych przez Minoru Yamasakie-

go. Powoli spacerując wzdłuż krawędzi tych wielkich wyrw w ziemi, czytałem tabliczki upamiętniające wszystkie ofiary z 11 września. Lapidarna forma pomnika delikatnie prowadzi nas do zadumy i przemyśleń. Wszystko to budzi respekt i sprawia, że łzy same cisną się do oczu.

Zadzwoniłem do ojca, bo bardzo chciałem mu powiedzieć, że tutaj jestem. On też był w Stanach, tylko że trzydzieści dwa lata temu. Po rozmowie przesłał mi swoje zdjęcia, na których jeszcze stoją te dwie wieże.

29 grudnia 2019 roku, niedziela

Ostatni dzień w Stanach Zjednoczonych i ostatni dzień mojej podróży. Jest godzina szósta rano, Sasha jeszcze śpi, a my z Paulem wybieramy się na przedmieścia miasta zobaczyć słynny Glass House Philipa Johnsona, w którym rozgrywały się sceny romansu między nim a Andym Warholem.

To modernistyczny dom mieszkalny znajdujący się w New Canaan, zbudowany w 1949 roku jako prywatny dom Johnsona. Budynek ma kształt prostopadłościanu, a jego elewację tworzą szklane ściany połączone stalowymi ramami, co umożliwia niczym nieograniczony wgląd do wnętrza. W środku brakuje jakichkolwiek podziałów. Na otwartej przestrzeni zaaranżowano kuchnię, sypialnię, salon. Jedyną osłoniętą częścią jest łazienka umieszczona w centralnie wymurowanej tubie z kamienia. Wyposażenie stanowią delikatne meble wykonane według projektu Miesa van der Rohe. Wszystko wydaje się jakby rozmywać z krajobrazem. Obok stoi zbudowany już nieco później dom dla gości, który jest negatywem głównego obiektu. Jego masywna, prostopadłościenna ceglana bryła nie ma w ogóle okien.

Tak to wszystko wyglądało na zdjęciach w internecie. Teraz jednak tutaj stoję, część szklanego domu jest przykryta folią, a część obita płytami OSB. Trudno znaleźć miejsce, w którym można by popatrzeć przez niego na wylot. Obeszliśmy go dookoła, chwilę ponarzekaliśmy i ruszyliśmy w stronę Nowego Jorku.

Dojechaliśmy na koniec ulicy West Street, skąd przyjaciel mojego ojca, Roman, zrobił mu zdjęcie, uwieczniając w tle dwie wieże World Trade Center. Sporo się zmieniło, ale jest kilka charakterystycznych budynków, dzięki którym ze stuprocentową pewnością mogę powiedzieć, że to było właśnie tutaj. Zbigniew Grześków miał wtedy dwadzieścia siedem lat i był przystojnym brunetem, który przyjechał do Stanów, żeby zarobić na utrzymanie swojej przyszłej rodziny, bo za kilka miesięcy urodzi się moja siostra. Jest wiele różnic między mną dzisiaj a nim wtedy. Czasem jednak wydaje mi się, że wierzył w tę samą wolność co ja.

Po drugiej wojnie światowej moja babcia Genowefa i dziadek Dominik osiedlili się w Kotliskach – niewielkiej wiosce kilkadziesiąt kilometrów od granicy polsko-czeskiej i polsko-niemieckiej. Mieli prawdziwe gospodarstwo z krowami, kurami i świniami. 22 kwietnia 1959 roku urodził się Zbysiu Grześków. Pomagał im w codziennych obowiązkach. Był do tego stopnia uczuciowym dzieckiem, że zaprzyjaźnił się z jedną ze świń, które babcia hodowała na rzeź. Nazwał ją Kuba, oswoił i przez długi czas się nią zajmował. Dochodziło do tego, że Kuba wchodził do domu na drzemkę na sofie

razem z małym Zbyszkiem. Kiedy po kilku latach prosiaczek zamienił się w wielkiego tucznika, babcia Gienia nie miała serca oddać go dziadkowi Dominikowi do prowizorycznej wędzarni znajdującej się za domem, dlatego postanowiła go odsprzedać, co pewnie nie zmieniło losu Kuby, ale złagodziło ból w oczach mojego ojca.

PARK
SIGNAL AHEAD

„Prawdziwa wolność, wrota między światami, nowe marzenie".

Wyjeżdżając, uciekałem od tego, co dzieje się teraz w Polsce.
Przez trzy miesiące swoją uwagę skupiałem jedynie na afirmacji istnienia Człowieka. Istoty pięknej samej w sobie, bez względu na miejsce i czas urodzenia, bez względu na jej słabości.
Forma człowieka to dzienniki z mojej podróży dookoła świata.
Czytając je, poznasz osiem historii różnych od siebie postaci, którym stawiałem pomniki w najodleglejszych zakątkach świata.
Wszystkie były odlane z tej samej formy, którą po siedemdziesięciu dwóch dniach przywiozłem z powrotem do Wrocławia.

O tym, jak porwał mnie Hezbollah.

O tym, czym jest ping-pong show.

O tym, że komunizm nie jest taki zły.

O tym, że pieniądze to czasem wszystko.

O tym, jak masturbują się w Japonii.

O tym, że z Meksyku nie można wywozić warzyw.

O tym, że Ameryka jest plastikowa, ale piękna.